


Monika Stiller

♥ MORSKIE
PAMIĘTNIKI
3

An illustration of a mermaid with long, dark hair, holding a large, multi-colored feather (yellow, green, and blue) in her hands. She is positioned in the lower half of the cover, with her body and tail visible. The background is a dark blue sea under a sunset sky with orange and red hues. A large, dark, pointed object, possibly a ship's mast or a lighthouse, is visible in the upper right corner.

Fanny Hill

Monika Stiler

**MORSKIE PAMIĘTNIKI
FANNY HILL**

Python Publishing House

Spis treści

OD WYDAWCY	3
ROZDZIAŁ I w którym wyruszam w morze pozostając jeszcze na lądzie	5
ROZDZIAŁ II w którym na horyzoncie mojego nowego życia pojawiają się cienie.	13
ROZDZIAŁ III w którym w niecodzienny sposób żegnam się z przeszłością i witam przyszłość grając w wista	21
ROZDZIAŁ IV w którym witam się, żegnam i kreślę galerię postaci, jaką tworzą moi współpasażerowie.	30
ROZDZIAŁ V w którym po raz drugi na partyjkę wista przychodzi do mnie pan Kapitan	41
ROZDZIAŁ VI w którym zdobywamy wiele nowych doświadczeń i widzimy jak inni robią to samo.	49
ROZDZIAŁ VII w którym do akcji wtrącają się siły wyższe w postaci straszliwej burzy.	68

OD WYDAWCY

Koleje książeczki, którą oddajemy teraz Państwu, są tak samo niezwykle, jak przygody jej narratorki. Wydana została po raz pierwszy i jedyny w 1828 roku w Stanach Zjednoczonych sposobem domowym, niechlujnym, żeby nigdy nie być oficjalnie sprzedawaną lecz krążyć wśród czytelników bocznymi kanałami. Egzemplarz tego unikalnego wydania trafił do nas dzięki pani Monice Stiler, amerykańskiej tłumaczce i autorce polskiego pochodzenia, która podjęła się trudu nie tylko zwykłego tłumaczenia, ale i poprawienia, uporządkowania i wreszcie uzupełnienia brakujących fragmentów. Jej praca była tak duża, że właściwie mała broszura zamieniła się w sporą książeczkę.

Uważamy, iż dobrze się stało, gdy tajemnicami jednej z najbardziej fascynujących kobiet w literaturze erotycznej - Fanny zajęła się w końcu kobieta. Mężczyźni mają swoją sensację, politykę, wojny i kryminały. Miłośnicą niechaj zajmują się kobiety.

Rozdział I

*w którym wyruszam w morze
pozostając jeszcze na lądzie.*

Znowu wracam do ciebie, mój pamiętniku, i to w czasie dla mnie szczególnym. Oto siedzę w kajucie klipera „Rainbow” i płynę do... Ale o tym za chwilę.

Nie jestem już tą młodą kochającą życie i przez życie kochaną osobką. Od śmierci mojego drogiego Karola minęły dwa lata, ale wciąż mi jest jeszcze trudno ułożyć sobie bez niego przyszłość. Moje małżeństwo szczęśliwe, jak to tylko sobie można wyobrazić, trwało dziesięć lat i, mimo że bezdzietne, przyniosło mi wiele szczęścia, na które nie wiem w jaki sposób zasłużyłam. Miałam pięknego i dobrego człowieka za męża, bogaty dom i spokojne życie. Miałam też i mam w dalszym ciągu jedną z największych w kraju fortun, którą zapisał mi pewien starszy pan*, a mój Karol utrwalił i wzmocnił. Niestety mam teraz wrażenie, że sprawdza się powiedzenie ludzi biednych: pieniądze szczęścia nie dają. Dają za to niezależność, z którą jednak nie wiem, co zrobić.

Tamta Fanny, z Londynu, z Marybone, nawet ta z małej wioski z hrabstwa Lancashire, była młoda i piękna. Ja, kilkanaście lat później, jestem samotną kobietą po trzydziestce, której uroda niewątpliwie przemija. Dziś rano, tutaj w kajucie, po raz pierwszy od długiego czasu stanęłam naga przed lustrem. Zobaczyłam kobietę dojrzałą lecz na swój sposób piękną. Tak, podobam się sobie, choć moje piersi nie przypominają już kształtnych drożdżowych bułeczek, a moje biodra stały się pełne i zaokrąglają się jak linia dzbana. Dzbana - podkreślam - który

* patrz "Pamiętniki Fanny Hill" Johna Clelanda wydane przez Wydawnictwo „Alfa” (przyp. tłum.).

może jeszcze nosić w sobie rozgrzewające, dające radość wino. Ciało dziewiętnastoletniej panny i ciało dojrzałej wdowy - to dwa różne światy. A jednak i jedno i drugie jest ciałem kobiety.

Powinam na początku wyjaśnić skąd wzięłam się na statku. Żeby to wytłumaczyć, muszę sięgnąć dwa lata wstecz.

Otóż po śmierci mojego Karola przez cały rok nie potrafiłam poradzić sobie z własnym smutkiem, który zasnuł niebo nadę mną czarną, beznadziejną chmurą. Nie wychodziłam z domu dalej niż do topolowego traktu, który znaczył granice naszej posiadłości w Hatcliff. Nie przyjmowałam żadnych gości, nie pisywałam listów, ze służbą nie rozmawiałam więcej niż to konieczne. Tutaj mogę się przyznać, że myślałam nawet o śmierci. Ale kiedy minął pierwszy rok mojej rozpacz, powoli zaczęła się we **mnie** budzić chęć do życia. Najpierw delikatnie poprzez zainteresowanie kwitnieniem piwonii w ogrodzie i zwróceniem uwagi na oberwany rąbek koronki przy sukni, a potem przez tęsknotę za przyjaciółkami, rozmową, drugim ciałem. Samotność w Hatcliff zaczęła dawać mi się we znaki. Coraz częściej zdarzało mi się myśleć o Londynie, wspominać... Zorientowałam się jednak, że okres dziesięciu lat jest aż nadto długi, żeby świat naszych przyjaciół, dobrze znanych miejsc zmienił się nie do poznania. Z ogromnym żalem przyjęłam wiadomość, że pani Cole zmarła, a jej dziewczyny rozproszyły się gdzieś po świecie. Z pewnością wiele z nich pozakładało własne interesy, część wyszła za mąż, pozmieniała nazwiska. Dom pani Cole był jedynym miejscem, do którego poszłabym po pociechę, choć może to brzmi niedorzecznie. Dom pani Cole był przecież burdelem.

Pod koniec maja wybrałam się więc do Londynu. Okazja nadarzała się sama, trzeba bowiem było dopełnić formalności spadkowych i finansowych o czym przedtem, przepełniona bólem po śmierci Karola, nie chciałam nawet myśleć.

Zabrałam ze sobą Mary, moją pokojówkę oraz woźnicę, Colina, który tak wyszykował odświętną karetkę, że z powodze-

niem mogła wyjechać na ulice Londynu i jeszcze zrobić wrażenie.

Wynajęłam elegancki apartament przy Basil Street tuż obok świetnej acz nie rzucającej się w oczy restauracji. Następnego dnia rano wyruszyłam na poszukiwanie mojej młodości. To, co jednak znalazłam, rozczarowało mnie do wszelkich możliwych granic.

Pomijając to, że sam wielki Londyn podupadł przez te dziesięć lat — więcej powozów, a więc więcej końskiego łajna, więcej pieszych, a więc więcej gwaru, poszturchiwań i nonszalanckich - to wydawał mi się na dodatek mniejszy i jakby w złym guście. Dom pani Cole był teraz małym pensjonatem o wątpliwej reputacji. Nowy właściciel (czy też właścicielka) kazał powiesić nad frontowymi drzwiami latarnię z czerwonym kloszem - co świadczyło już samo za siebie. Czy miejsce, gdzie daje się i bierze przyjemność i radość musi być oznaczone tak wulgarnymi symbolami? Czy przybytek miłości trzeba od razu sprowadzać do domu rozpusty?

Przed domem kręciły się wymalowane i wydekoltowane dziewczyny nie pozostawiając mi żadnych złudzeń nie tyle co do charakteru, ile co do jakości oferowanych usług. Było mi żal tych panien pochodzących najczęściej z biedy podmiejskich wsi. Kilkanaście lat temu wyglądałam tak jak one, ale na mojej twarzy nigdy nie było tego nieco smutnego, nieco agresywnego wyrazu kobiet, które po stosunku natychmiast sięgają po pieniądze. Każda praca wykonywana bez przyjemności traci sens i jest partaczona. Te dziewczyny z ulicy, dla których oddawanie się za pieniądze jest tylko zarabianiem pieniędzy, szybko się stoczą na dno lub zaczną wspinać się w górę przy pomocy manipulacji, przestępstwa i kłamstwa. To nie miłość z wieloma mężczyznami demoralizuje, ale nastawienie się na moment, gdy mężczyzna rozsypując sakiewkę wygarnie z niej parę monet. Żeby być dobrą kurtyzana, trzeba być artystką. Zupełnie jak malarz, który two-

rzy swój obraz z potrzeby serca, a pieniądze dostaje jakby „przy okazji”. Tak się rozfilozofowałam, że obudziła się we mnie potrzeba podzielenia się z kimś moim doświadczeniem. Przyszło mi nawet do głowy, żeby założyć w przyszłości niewielką, sekretną szkółkę dla dobrze zapowiadających się dziewcząt. Moje podniecenie minęło jednak, kiedy znowu spojrzałam na zmęczone twarze ulicznych prostytutek. Może już czasy się zmieniły, pomyślałam, może już do nich nie pasuję. Wróciłam do hotelu smutna i zniechęcona.

Postanowiłam iść sama do restauracji na kolację. Z pewnością wypadało to tak bogatej wdowie jak ja.

Mary, która szykowała mnie do wyjścia terkotała zachwycona stolicą.

- Taakie p e r u g i, takie kapelusze! A buty! Jakiesik błyszczące z k u k a r d a m i na przedzie i tyle, a surduty to mają ze dwa tuziny guzików.

Jej gadanina dała mi asumpt, żeby potraktować Londyn handlowo, to znaczy załatwić formalności bankowe, zrobić zakupy i zaraz potem wracać do domu. A tam? Co będzie w Hatcliff? Ale o tym nie chciałam jeszcze myśleć.

Kolację zjadłam sama w hotelowej restauracji. Dawno już na stole przede mną nie stały takie rarytasy: faszerowane uszy cielęce, różne rodzaje pasztetów z szynki, gęś ze szparagami i zielonym groszkiem, polędwica barania z czarnymi winogronami, a do tego kilka smaków owocowych galaretek. Pozwoliłam sobie na to szaleństwo, żeby osłodzić sobie moją samotność i rozczarowanie Londynem. Przy kawie dość już wyraźnie odczułam obecność mojego gorse.

W restauracji nie było wielu gości. Ciepły maj sprzyjał raczej wyjazdom za miasto. W tej pustawej, eleganckiej sali czułam się nieswojo pomimo pysznego jedzenia i komfortu. Wydawało mi się, że ludzie patrzą na mnie. Skarciłam samą siebie w duchu przypisując to wrażenie zmęczeniu i odzwyczajeniu się

od obecności ludzi. Lecz kiedy tylko podniosłam wzrok napotykałam umykające jak myszy spojrzenia znad innych stolików. Byłam pewna, że wychodząc słyszałam, a nie śniłam, szepty: „To ona”, „To Fanny Hill”. Wsiadając do powozu, który miał mnie zawieźć na przedstawienie do Opery uświadomiłam sobie, że stary Londyn rozpoznał mnie po dziesięciu latach. Sprawilo mi to przyjemność.

To, co było jednak tylko wrażeniem zmieniło się w pewność, kiedy Colin podjechał pod gmach Opery. Już na schodach oglądano się za mną, ale siedząc samotnie w łoży byłam po prostu sensacją. Z początku czułam się zażenowana tym zainteresowaniem, ale potem wyprostowałam się godnie i ze śmiałością, o którą siebie nie podejrzewałam, odpowiadałam na spojrzenia.

Rzeczywiście, w ciągu wielu miesięcy pracy u pani Cole i, że tak powiem, na własną rękę, stałam się znana. Mówiono o mnie. Polecano mnie sobie nawzajem. Specjalnie do mnie przychodzili najwyżej postawieni mężczyźni nie tylko Anglii i Europy, ale pamiętali mnie także stangreci i lokaje. Nigdy nie zależało mi na sławie. To nawet nie było to, że przykładałam się do mojej pracy. Tajemnica mojego sukcesu była o wiele prostsza — po prostu kochałam to, co robię. Moja praca nie tylko dawała mi przyjemność - choć przyznam nie z każdym - ale i poczucie, że daję innym przyjemność. Niezbyt dobrze nadaję się do filozofii, ale myślę, że równowaga między tym, co się daje, a tym, co bierze jest ideałem, do którego powinien dążyć każdy uczciwy człowiek. Nikczemnicy zawsze biorą więcej niż dają, zaś tylko święci zdolni są dawać o wiele więcej niż wezmą sami.

Wymknęłam się cicho z łoży przed końcem ostatniego aktu. Bałam się, że ci którzy na mnie patrzyli z daleka, będą teraz chcieli oglądać mnie z bliska, niczym jakiś wykopany w Egipcie eksponat. Na pewno będą zainteresowani stanem mojej skóry, ni by przypadkowo obrzuca wzrokiem mój biust i talię czy jeszcze sprężyste i giętkie, a miłe panie małżonki i córki przyjrzą się

moim włosom czy nie farbowane.

Dumając o tym smutno szłam do powozu i nagle z zamyślenia wyrwały mnie dziwne odgłosy. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że moja mata karetą kołysze się niebezpiecznie z boku na bok, aż trzeszczą rzemienie. Obeszłam ją ostrożnie dookoła i przez na wpół otwarte drzwi zajrzałam do środka. Dzięki latarniom spod Opery ciemność w środku nie była absolutna. Moim oczom ukazała się jasna plama z ciemnym podłużnym cieniem poruszająca się w rytmie, który przenosząc się na karetę powodował jej kołysanie. Nie zestarzałam się na tyle, żeby nie spostrzec, iż mam przed sobą męski tyłek. Domyśliłam się, że musi to być tyłek Colina. Ale pod spodem... Spod Colina wystawały ukośnie w górę wyprężone nogi z opadniętymi do kostek pończochami i zakończone pantoflami należącymi zapewne do mojej Mary.

Moim pierwszym impulsem było krzyknąć na nich, tupnąć nogą jak na parzące się psy na spacerze w eleganckim parku. Ale ten moment gniewu szybko minął, poczułam za to coś, do czego wolałabym się nie przyznawać. Dlaczego mam im przeszkadzać, pomyślałam. Przecież im jest teraz dobrze. Odeszłam przeczekać ich zapamiętanie... Stałam w ciemnościach pod wielkim kasztanem, żeby się oprzeć - tak byłam słaba. Moje ciało ogarniało bijące ze środka brzucha gorąco, mój oddech przyspieszył się i stał się płytszy. Dotknęłam dłońmi piersi - nabrzmiały i napierały na stanik, pulchnymi wzgórkami wychodziły z dekoltu. Pragnęłam. Moje ciało chciało tego rozkołysanego ruchu, tego wewnętrznego rozpychania i omdlewającej władczej przyjemności. Nic innego nie było ważne. Stałam sama pod kasztanem, niedaleko pełnej ludzi Opery, obok powozu, w którym dwoje moich służących powoli dochodziło do szczytu.

Powóz zakołysał się szybciej, a potem nagle znieruchomiał. Wystająca przez uchylone drzwiczki noga naprężyła się i zadrżała, a potem zwiotczała. Wiejski pantofel zsunął się

i upadł na ziemię. Kilka chwil trwała niezmacona niczym cisza.

Z trudem oderwałam się od drzewa i pewniejszym już krokiem podeszłam do drzwi powozu.

- A co ty tu robisz, Mary? - zapytałam udając zdziwienie.

Mary pospiesznie zapinała guziki od stanika. Włosy miała w nieładzie i biło od niej gorąco.

- To ja ją przywozłem... - odezwał się Colin. - Wydawało mi się, że będzie jej samotnie, a że i ja tutaj na panią samotnie czekam... Więc wróciłem po nią, żeby nam się lepiej czekało. Proszę o wybaczenie szanownej pani. — dodał.

- Jedziemy. - rzuciłam.

Mary w pełnej poczucia winy pozie usiadła na przeciwko mnie i nie odzywała się przestraszona przez całą drogę. W powozie unosił się kwaśnowodny zapach potu i nasienia.

- Gdzie twój pantofelek? - zapytałam obojętnie, kiedy wysiadaliśmy z karety.

Dziewczyna spuściła oczy.

- Może wpadł pod siedzenie w powozie. — odpowiedziała zakłopotana.

To, co widziałam w powozie nie dawało mi spokoju. Biały plama męskich pośladków, trzeszczące rytmicznie rzemienie, kołysanie - to wszystko jak podmuch gorącego wiatru łamało i niszczyło budowany przez ostatnie dwa lata kruchy domek samotności, wstrzemięźliwości i oddalenia od samej siebie. Z mojego ciała spadała skorupka, wykluwałam się na nowo. Kiedy położyłam się do snu w wytwornej hotelowej pościeli, moja skóra była tak wrażliwa, że dotyk koronek i mereżek nie pozwalał mi usnąć. Przewracałam się nie wiedząc co się ze mną dzieje. Jednak, gdy przypadkiem rąbek mojej jedwabnej koszuli zaplątał się gdzieś między nogami i delikatnie poruszył włoski na mojej cipce, przez całe moje ciało przeszedł dreszcz dawno zapomnianej przyjemności. Nie było się co dalej oszukiwać, kochany pamięt-

nikli, moje ciało, moja niezrównana cipeńka budziły się ze snu i dopominały swego. Pozwoliłam moim dłoniom powędrować pod kołdrę i podczas, gdy jedna z nich podciągała wyżej nocną koszulę, druga wystawiwszy wskazujący palec jak swoją czułą natychmiast znalazła czarodziejski guziczek. Guziczek ów rósł i sztywniał powodując jednocześnie rozpulchnianie otaczających go mięsistych płatków. Moja dziurka otwierała się z nadzieją na odwiedzinę jakiegoś barczystego gościa. Nogi odsunęły się automatycznie rozrzucając koce. Moja cipka znowu spoglądała na świat. Wystarczyło kilka lekkich potarć palcem, żeby od środka brzucha na zewnątrz wypłynęło kilka gwałtownych skurczów. Westchnęłam, rzuciłam biodrami - i już było po wszystkim. Jaka straszna jest samotność! Mimo doznanej przyjemności moja dziurka ani myślała się zamykać. Wydawało mi się, jakby miała jeszcze na coś nadzieję.

- Jutro, pojutrze. - powiedziałam. - Jutro zaczynamy nowe życie.

Rozdział II

*w którym na horyzoncie mojego nowego życia
pojawiają się cienie.*

Obudziło mnie pukanie Mary.

- Proszę pani, coś się dzieje. Na dole czeka z pół tuzina różnych osób. O, dali bilety - powiedziała z przejęciem i wręczyła mi z ręki bileciki.

- Powinnaś mieć tackę na wizytówki - mruknęłam zła, że mnie obudzono.

Rzuciłam okiem na bilety. Harold P., żurnalista z jakiegoś Merkuriusza, baron von E., hrabia P., pani Esmeralda Fox (sądząc z nazwiska wróżka albo burdelmama) i kilka innych, bardziej pospolitych nazwisk. Czego oni ode mnie chcą, zastanawiałam się. Nie przypominałam sobie żadnego z tych nazwisk.

- Powiedz, że jeszcze śpię i nie będę przyjmować przed południem - podjęłam decyzję.

Wydawało mi się, że takie nagłe i nachalne zainteresowanie może być zło wróżebne i niosące kłopoty.

Zamówiłam lekkie śniadanie i wzięłam się za poranną toaletę. Kazałam przynieść sobie ciepłej wody i wsypać do niej świeżych płatków róż. Stałam naga w porcelanowej misie, a Mary delikatnie i z namaszczeniem myła mnie gąbką. Myślałam o zakupach i całym dzisiejszym dniu. Byłam już zdecydowana wracać i na nowo ułożyć sobie w Hatciff życie w sposób poważny, ale i pełen przyjemności.

- Pani to ma zad - odezwała się nagle Mary z podziwem.

- Co masz na myśli mówiąc zad? - zapytałam kryjąc uśmiech.

- No, dupę - odparła dziewczyna. - Nie za duża nie za mała, a jędrna jak zad klaczy.

- Dziękuję - powiedziałam traktując to jak komplement.

- Powinna pani wyjść za męża. Dostyc już tej żałoby. Szkoda ta-

kiego ciała. Colin mówił... - Mary nie skończyła, jakby ugryzła się w język.

- Co mówił Colin, Mary? - dopytywałam się.

- Nie, nic... tak mi się coś wyrwało - tłumaczyła się niezręcznie.

- Nie kręć, mała. Co też mówił Colin?

Mary nabrała powietrza w płuca.

- Mówił, że każdy facet w okolicy dałby wiele, żeby panią mieć. I sam Colin oblizuje się na panią - powiedziała szybko.

To było nie do wiary — zrobiłam się cała czerwona. Spłonęłam rumieńcem! Ja, Fanny Hill! Mary zauważyła to i energiczniej nacierała mnie gąbką.

- Niech się nie przejmuj pani tym, co mówią chłopcy. To same świntuchy. Jeden lepszy od drugiego.

Gąbka prowadzona jej ręką zawędrowała na wzgórek łonowy. Strumyczek letniej wody spłynął pomiędzy moje nabrzmiałe wargi. Nieoczekiwane doznanie przyjemności kazało zamknąć mi oczy.

- Coś pani dzisiaj nie swoja - podsumowała kąpiel Mary.

Po kąpeli Mary pomogła mi ułożyć włosy i zaraz potem przyniesiono pocztę. Zdziwiłam się, że było do mnie aż tyle listów. Jedno wyjście do miasta, jedna kolacja i jedna wizyta w Operze. Przepływ informacji i plotek w Londynie był imponująco szybki. Otwierałam jeden list po drugim, rzucałam okiem na treść i odkładałam na bok.

Pierwszy był pisany ręką pana H., mojego pierwszego chlebowdawcy, z którym jednak zerwałam w dość gwałtownych okolicznościach*. Otóż pan H. - ciekawe czy taki jurny jak przed dwudziestu laty - oferował mi gościnę w swoim domu w Kingstone pisząc też, że nie wie w jaki sposób okiełzna swoją niecierpli-

* patrz wspomniane wcześniej "Pamiętniki Fanny Hill" (przyp. tłum.).

wość czekając na moją odpowiedź. Stary lubieżnik. Obracałam przez chwilę jego list w dłoni. W stanie w jakim się teraz znajdowałam moje konkretne wspomnienia nie tyle dotyczyły samego pana H. ile jego imponującego organu. Na to wspomnienie solidarnie zareagowało moje ciało - moja cipka rosła jak drożdżowe ciasteczko napierając na koronki majtek. Rozluźniłam się i dalej przeglądałam to, co mieli mi do powiedzenia inni.

Następny list był od niejakiej pani Burns, która proponowała mi prowadzenie „niezwykle dochodowego pensjonatu” i „zorganizowanie szkółki dla młodych i jeszcze niedoświadczonych panienek”. Czy to nie o tym myślałam wczoraj przechodząc obok miejsca, gdzie kiedyś mieszkałam u pani Cole? Pani Burns dawała mi 40% zysków. Dziś jednak już mnie to nie interesowało. Przynajmniej nie tak rano.

Trzeci list napisał lord D., który pragnął mnie dziś odwiedzić. Nie mogłam przypomnieć sobie jego twarzy. Czwarty i piąty list – to samo, zmieniały się tylko nazwiska. Dopiero następny był nieco ciekawszy. Pisała pewna dama podpisująca się jako „Matka i żona”, że „takie kurwy jak ty nie powinny w ogóle chodzić po ziemi” i tak dalej i tym podobnie. Radziła mi wynosić się z Londynu zanim nie zginę marnie w jakichś tajemniczych okolicznościach. Inne listy to zaproszenia, wyrazy szacunku, radości z „powrotu na scenę londyńską” (jak primadonny!), prośby o uświetnienie przyjęć, a nawet literackich wieczorów. Jakże wiele ode mnie oczekiwano!

Nagle zobaczyłam kopertę inną niż wszystkie, może dlatego, że zaadresowana była pismem w jakiś sposób mi znanym. Czyj to charakter pisma? Rozerwałam niecierpliwie papier i przeczytałam, co następuje:

* patrz wspomniane wcześniej "Pamiętniki Fanny Hill" (przyp. tłum.).

„Droga, kochana moja Fanny, dowiedziałam się przed chwilą, że widziano Cię dziś wieczór w Operze i cieszy mnie to bardzo, że jesteś, że żyjesz. Moja kochana przyjaciółko, jakże tęskniłam do Ciebie, jakże martwiłam się i przeżywałam, kiedy umarł Twój Karol. Sądzę, że już się zorientowałaś kto do Ciebie pisze, czy nie?

Nie nazywam się już Luiza. Mam inne imię i nazwisko jednej z najbardziej szanowanych rodzin w Anglii. Ze względu na Twoje i moje bezpieczeństwo nie mogę go tu teraz wymienić. Gdyby ten list wpadł w niepowołane ręce, byłby dla mnie wyrokiem.

Króciutko napiszę Ci, co się ze mną działo po Twoim wyjeździe z Karolem, ale to teraz nie jest najważniejsze. Pracowałam jeszcze u pani Cole, a po jej śmierci znalazłam się praktycznie na bruku. Pewne okoliczności śmierci pani Cole sprawiły, że wolałam zmienić zajęcie. Coś złego czaiło się wokół. Znalazłam pracę z mieszkaniem u pewnej modystki i naszywałam ciekiny na wytworne surduty. Pewnie się domyślasz, że niezbyt dobrze czułam się przy takim zajęciu. Toteż, kiedy zjawił się ktoś tak wysoko postawiony jak mój przyszły mąż, poczułam się wyróżniona i szczęśliwa. Głupia i młoda nie wiedziałam w co się pakuję. Był to zbieg okoliczności, a ja chciałam dobrze wyjść za mąż bez względu na koszty. Przydały mi się trochę moje zdolności aktorskie oraz pewne sztuczki, o których nie muszę Ci teraz pisać. Mojemu mężowi nawet nie przyszłoby do głowy, że nie byłam dziewczicą... A co dopiero cała reszta. Można by więc sądzić, że udało mi się to, o czym marzą wszystkie dziewczęta pracujące na chleb swoim ciałem. A jednak jestem głęboko nieszczęśliwa. Mój mąż okazał się być potworem. Nie będę Ci opisywać moich nieszczęść, bo są pilniejsze sprawy. Wierzę też, że kiedy się spotkamy, będziesz chciała mnie wysłuchać. Chcę,

* patrz wspomniane wcześniej „Pamiętniki Fanny Hill” (przyp. tłum.).

żebyś wiedziała tylko, że człowieka, którego poślubiłam nienawidzę z całego serca także dlatego, iż chce on Twojej zguby. Właśnie o tym chcę teraz napisać.

Dziś, jakiś czas temu, mój mąż ze swoimi męskimi przyjaciółmi (jedyną kobietą z jaką kontaktuje się czasami to monstrum jestem ja) wrócili z Opery gdzie wywołałaś prawdziwą sensację. Oczywiście rozpoznano Cię. Mój mąż i jego kumple byli tym podekscytowani. Głośno i brzydko wyrażali się o Tobie, zaciekawiło mnie to i zaniepokoiło, więc stanęłam pod drzwiami i podsłuchiwałam. Od dawna już podejrzewałam, że tworzą oni jakieś tajemne stowarzyszenie i oddają się niebezpiecznym albo wstrętnym rytuałom. Dziś stałam się tego pewna. Nazywają się Mściciele Białej Róży. Ich przywódcą nie jest mój mąż, myślę, że jest na to za głupi, ale ktoś, kogo nazywają Kratorem. Nie widziałam go, ale rozpoznałabym go po głosie. Celem tego stowarzyszenia jest, och mój Boże, jak to niedorzecznie brzmi, mordowanie prostytutek. Pamiętasz, Fanny, te morderstwa w White Chapel, te ciała wyłowione z Tamizy? To z pewnością oni! Postawili sobie za zadanie oczyścić świat z nierządu, brudu i grzechu. Gdy dowiedzieli się, że zjawiłaś się w Londynie, postanowili działać. Teraz wiem, że śmierć pani Cole nie była przypadkowa, ale miała zapoczątkować łańcuch śmierci, naszych śmierci. Czy to nie ironia losu, że stałam się żoną mojego niedoszłego mordercy?

Twoim zabójcą ma być ten Krator. Ma dość wysoki głos sędzę więc, że jest niewysokiego wzrostu i dość szczupły. Z ich rozmowy zrozumiałam też, że jest to mężczyzna dość szczególny, ale nie wiem o co może chodzić. Może kaleki albo obcokrajowiec - choć nie miał żadnego szczególnego akcentu. Wspominali też o kimś kto nazywa się Młot na Ladacznice. Strzeż się tego człowieka!

Fanny, nie powinnaś zostawać dłużej w Londynie. Myślę też, że od jutra będziesz już śledzona. Twoje posiadłości też nie

są już bezpieczne.

Teraz czytaj uważnie!

Nasza Henrietta, niezrównana i kochana Henrietta, z którą pracowałyśmy u pani Cole wyszła za mąż za jakiegoś łapiducha i wyjechała do Ameryki. Oboje zrobili tam spore pieniądze i mieszkają szczęśliwie w mieście Nowy Jork. Henrietta bardzo tęskni za nami, zwłaszcza za Tobą, Fanny, i kiedy dowiedziała się o śmierci Karola, chciała, żebyś rzuciła tu wszystko i przyjechała do niej. Nie miałam okazji tego wcześniej Ci przekazać, ale teraz jest to kwestia Twojego życia lub śmierci. Za tydzień odchodzi statek do naszych byłych kolonii, na który mogłabyś zdążyć, gdybyś się pospieszyła. Ja mam nadzieję popłynąć następnym, jeżeli Bóg da mi okazję ucieczki ze **szponów** mojego męża. W Nowym Jorku zapytasz o Henriettę Burling i każdy wskaże Ci drogę. Nie lekceważ tego wszystkiego, co tu nieudolnie próbuję Ci przekazać.

Oby Bóg czuwał nad Tobą. I nade mną.

Twoja Luiza.

P.S. Z wiadomych względów spal ten list zaraz po przeczytaniu. Wieczorem zjawi się u Ciebie pewna starsza osoba, której ufam. Przekaż jej u s t n i e co postanowiłaś. Chcę być spokojna.

L."

Zaniepokoiłam się nie na żarty, ale nie **tylę** grożącym mi niebezpieczeństwem ile stanem Luizy. Pismo było niewątpliwie jej, ale niespokojne, pełne skreśleń i wykrzykników. Dziewczyna musiała być u kresu wytrzymałości. To chyba nie **mogło być** prawdą — ponure zebrania jakichś diabolicznych wyznawców czystości. Może to przewrażliwiona wyobraźnia Luizy płatała jej figle?

Obok niepokoju o Luizę list ten wzbudził we mnie tęsknotę za dziewczętami, dawnym stylem życia, przyjemnościami i beztróską.

Mary przygotowała wszystko na wyjście na planowane zakupy, więc nie zmieniałam już planów, jednak przez całą drogę myślałam o liście. A jeżeli to wszystko jest prawdą? Jeżeli grozi mi rzeczywiście niebezpieczeństwo? Dobrze pamiętałam tajemnicze zniknięcia dziewcząt z portowej dzielnicy, których ciała wyławiano potem z Tamizy. Jeżeli to była zorganizowana szajka, sekta. U pani Cole nic nam nie groziło, nie byliśmy portowymi dziwkami... A jednak pani Cole...

Zakupy mnie już nie interesowały i ku rozczarowaniu Mary wróciłyśmy do hotelu. I tu stało się coś, co podjęło z a m n i e decyzję. Na szerokim łożu w mojej sypialni leżała biała róża. Biała róża - jak wyzwanie, ostrzeżenie, jak znak. Zawołałam hotelową służbę i zapytałam skąd wziął się pojedynczy kwiat na mojej pościeli. Pokojówka wzruszyła ramionami. - Nikt tu nie wchodził, pani - powiedziała. - Mogę przysiąc. Odesłałam ją i nie chciałam już robić zamieszania. Wzięłam kwiat do ręki. Był świeży i pachnący. Musiał być zerwany dziś rano.

W ciągu jednego popołudnia załatwiłam mnóstwo rzeczy. Przede wszystkim kupiłam dwa bilety na najbliższy statek do Ameryki. Kosztowały majątek. Nabyłam też cztery ogromne kufry i kilka podręcznych toreb. Skompletowałam sobie nową garderobę i nie było w niej już nic w czarnym kolorze. Kupiłam też kilka innych niezbędnych na podróż rzeczy i wróciłam do hotelu czekając na posłańca od Luizy.

Rzeczywiście o zmierzchu Mary zaanonsowała mi szep-tem „panią od Luizy”. Była to starsza, szczupłutka kobietka wyglądająca na przestraszoną swoją misją. Dwa razy powtórzyłam jej mój plan do ucha. Po incydencie z różą nie ufałam temu hotelowi. Potem wręczyłam jej mały pakunek dla jej pani. Patrzy-

łam z troską jak ukryła go pod ubraniem i kłaniając się kilka razy wyszła.

Całą noc modliłam się, żeby nam się udało, a rano wróciliśmy do Hatcliff, żeby w ciągu tygodnia przygotować się do najdalszej w moim życiu podróży. Do Ameryki.

Rozdział III

*w którym w nieoczekiwany sposób żegnam się
z przeszłością i witam przyszłość grając w wista.*

Statek, którym płyniemy nazywa się „Rainbow” i jest od roku jednostką czysto handlową i pasażerską. Czasy wożenia żołnierzy i broni skończyły się kilkanaście miesięcy temu, kiedy nasza kolonia uzyskała niepodległość. Teraz wozi towary, bo handel po każdej wojnie odradza się szybciej niż trawa po ziemi, oraz zamożnych pasażerów.

Od kiedy wypłynęliśmy na pełne morze, nie mogę wyjść ze zdumienia, że cała ta konstrukcja z drewna, lin i płótna posuwa się naprzód i nie przewraca. Wysokość masztów i skomplikowane ożaglowanie wzbudza mój prawdziwy podziw i poczucie niezwykłego zaufania do załogi klipra. Od przedwczoraj horyzont wygląda ciągle tak samo - szara linia otaczająca nas niby magiczne, ogromne kolo. Gdyby nie wietrzyk i trzepotanie na górze żagli sądziłabym, że wcale się nie poruszamy.

Mamy najelegantszą na statku kajutę składającą się z dwóch pomieszczeń. Pierwsze, większe pełni rolę sypialni i bawialni zarazem. Są tu dwie koje, przyśrubowany do podłogi stół, dwa krzesła i fotel. Jeden z moich kufrów, ustawiony pionowo pełni rolę szafy i bieliźniarki. Drugi służy za komodę. Pozostałe dwa kapitan umieścił w ładowni. Mniejsze pomieszczenie służy nam za łazienkę, przebieralnię i garderobę. Jestem w końcu damą, czyż nie? Czujemy się tutaj jak u siebie w domu. „My”, bowiem Opatrzność wyraźnie nam sprzyja. Tak, jest tu ze mną Luiza, chociaż w postaci zupełnie nowej. Luiza ma na imię George i gra rolę mojego osobistego lokaja, którego bogata lady zabiera ze sobą w daleką podróż. Żeby wyjaśnić w jaki sposób piękna Luiza stała się młodym chłopcem, muszę cofnąć się do dnia, kiedy spłoszona białą różą na moim łóżku podjęłam naj-

ważniejszą chyba w życiu decyzję i wróciłam do Hatciff, ale tylko po to, żeby się spakować do |xxlróży.

Przygotowania zajęły mi dokładnie trzy dni. Wraz z Mary przygotowowałyśmy moją garderobę, prały i krochmaliły bieliznę, wyciągały z szaf co cenniejsze rzeczy, żeby zapakować je do kufrów. Czwarty dzień był cały poświęcony rozmowom z moim zarządcą, któremu zleciłam notarialnie opiekę nad majątkiem zabezpieczając szczegółowo warunki życia służby. Stać mnie było na to, żeby zapewnić im spokojny i uczciwy byt. Wielu z nich żyło ze mną i z Karolem przez całe dziesięć lat naszego szczęśliwego małżeństwa. Piątego dnia poszłam na cmentarz pożegnać się z Karolem. Stojąc nad jego grobem miałam wrażenie, że gdyby żył, zrobiłby to samo, co ja. Dobrze mnie znał. Wiedział, że zawsze będę miała w sobie ogromną miłość do życia. Jestem pewna, że popierałby moją decyzję. Prawdziwa miłość to po prostu pragnienie szczęścia dla drugiej osoby. A on mnie przecież kochał prawdziwą miłością.

To był ostatni dzień mojego pobytu w Hatcliff. Rano, o świcie mieliśmy wyruszyć powozem do Londynu i wieczorem zamustrować na kliper.

Tego wieczoru Mary była niepokieszona. Nie odzywała się do mnie. Biegała z góry na dół nosząc rzeczy do pakowania, przygotowując moje pudry i kosmetyki. Kiedy wieczorem pomagała mi się myć (po raz ostatni!) nie mogła już zapanować nad płaczem.

- Co my tu bez pani zrobimy? Kim ja się będę zajmować? - zawodziła nalewając do wanny wody.

Mnie też było przykro. Zostawiałam wszystko to, co dobrze znałam, szłam gdzieś w nieznane. Nie wątpiłam, że Mary umie kocha i na pewno będzie za mną na początku tęsknić. Na początku, bo byłam pewna, że już wkrótce wyjdzie za Colina za mąż i będzie zajęta już całkiem czymś innym. Rozbierając się już podszłam do niej i przytuliłam ją mocno. Spowodowało to prawdzi-

wyatak płaczu. Głaskałam ją po głowie i uspokajałam jak dziecko. Wtem Mary uspokoiła się nagle i powiedziała:

- Pani wie, że jestem zwykłą wiejską dziewczyną i nie mam niczego czym mogłabym panią obdarować, tak, jak pani mnie. Ale mam za to coś, czego pani brakuje i tym chciałabym się z panią podzielić. Chcę pani dać na tę ostatnią noc mojego Colina.

- Co? - zapytałam nie wierząc własnym uszom.

Mary **śmiało** chwyciła mnie za ramiona i spojrzała mi prosto w oczy.

- Byłam z panią przez cały czas i wiem, że nie miała pani mężczyny od śmierci pana. To bardzo długo. Wiem, że gdyby nie pani smutek i żałoba nigdy nie wytrzymałaby pani tyle czasu bez mężczyzny. Znam panią, pani ma prawdziwą krew w żyłach nie letnią wodę jak te wszystkie cherlawe lady. I wiem też, że czeka pani długa podróż pełna trudów i niewygody. Do tego trzeba siły. Nic tak nie daje siły jak **miłość** z młodym, pięknym mężczyzną. A i Colinowi przyda się na koniec pewna odmiana. Po ślubie na nic podobnego już mu nie pozwolę.

Byłam wstrząśnięta.

- Mary, co ty mówisz? Chcesz mi wepchnąć do łóżka swojego narzeczonego?

- Nie ma w tym nic złego - odparła Mary już spokojnie i zaczęła **mnie** myć namydloną gąbką.

- Mary, nie mogę tego zrobić, nie chcę - powiedziałam.

Nie odpowiedziała tylko popatrzyła na mnie jakoś tak smutno. Wyobraziłam sobie co mogła teraz czuć ta klęcząca przede mną prosta dziewczyna. Zawód, rozczarowanie, odrzucenie. Jej pani nie chciała od niej przyjąć tego, co miała najdroższe. Na pamiątkę, w prezencie. Ale czy daje się w prezencie swoich narzeczonych?

- Mary, proszę wybaczyć mi... - zaczęłam.

Rzuciła gąbkę i wybiegła z płaczem z sypialni.

Nie pokazała się wieczorem. Pytałam o nią służbę, ale

w tym zamieszczeniu spowodowanym pakowaniem się nikt jej nie widział. Byłam o nią niespokojna i było mi jakoś nieprzyjemnie. Nie mogłam tak tego zostawić. Kiedy zrobiło się ciemno, wyszłam z pałacu jej poszukać. Przypuszczałam, że może być gdzieś w stajniach z Colinem.

Szłam parkiem w stronę stajni. Wieczór był pachnący i parny. Niebo, o ton jeszcze jaśniejsze niż park, pełne było ruchomych, latających kształtów i domyśliłam się, że są to chrabąszcze. Zeszłam ze ścieżki i szłam teraz na przełaj przez wysoką, soczystą i wilgotną od rosy trawę. Zza krzaków kwitnących rododendronów zobaczyłam niski budynek stajni i małe światełko lampy wiszące u otwartych drzwi. Podeszłam bliżej i poczułam ciepły zapach koni, świeżego siana, bliskiej podróży.

- Mary? - zawołałam cicho.

Weszłam do środka. Wewnątrz panował półmrok. Któryś z koni kopnął kopytem o drewnianą zagrodę. Usłyszałam za sobą szelst i obróciłam się wystraszona. Ale to nie była Mary. To był Colin.

- Co... co ty tu robisz? - zapytałam nie wiadomo czemu zmieszana.

- Pracuję - powiedział spokojnie.

Patrzył na mnie śmiało i z zaciekawieniem. Poczułam się tym wzrokiem onieśmielona. Tutaj on był panem. Znalazłam się w królestwie mojego stangreta i stajennego w jednej osobie.

- Właściwie to przyszłam się pożegnać... i szukam Mary. Nie widziałaś jej? - nabrałam trochę śmiałości.

Nie odpowiedział, ale za to zrobił krok w moją stronę. Staliśmy teraz naprzeciwko siebie na wyciągnięcie ręki. Wiedziałam już, co się stanie. Wiele razy widziałam ten wzrok. Przez myśl przemknęło mi wspomnienie poruszających się rytmicznie pośladków i robiłam się słaba. W jednym momencie moje piersi nabrzmiały, a między nogami zrobiło mi się gorąco i wilgotno. Colin podszedł do mnie zupełnie blisko i bez żadnego pardonu wyciągnął

mi z dekoltu piersi. Zaczął je pieścić i całować. Kiedy się wyprostował, żeby się przyssać teraz do moich ust, przez grubą warstwę mojej sukni poczułam jego nabrzmiały, wielki członek. Wyglądało to tak, jakby włożył sobie w spodnie kawałek grubego kija. Dotyk tego groźnego organu sprawił, że zaczęłam tracić władzę w nogach. Moje ciało wiedzione naturalnym instynktem chciało się położyć. Ale Colin nie pozwolił mi na to. Kucnął i podnosząc suknie chwycił mnie za kostki. Jego chropowate ręce sunęły po moich nogach w górę i w końcu dotknęły delikatnie rozpalonego miejsca ukrytego za majtkami. To dotknięcie było jak kamień rzucony w wodę mojego ciała - rozeszły się zaraz fale rozkoszy i dotarły do każdego zakamarka mnie. Wtedy poczułam szarpnięcie. To Colin rozerwał delikatny materiał majtek. Między moimi nabrzmiałymi do granic możliwości wargami znalazł się jego palec. Posuwał się we wszystkich kierunkach jakby badając teren. Zarzuciłam mu ręce na szyję. Och, jak chciałam, żeby już we mnie wszedł. Chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo jego szorstki palec zanurzył się do połowy w gorące granice mojej dziurki.

- No, już... już... chodź - szeptałam do ucha.

Ale Colin wyciągnął palec i zaczął teraz gmerać ręką przy swoich pludrach. Po chwili podrzucił moją suknię do góry i przysunął swoje biodra do moich. Na wzgórkach, między włosami poczułam cudowne gorące dotknięcie męskiego penisa. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki moje biodra natychmiast poderwały się w górę i z niezwykłą precyzją naprowadziły moją spragnioną dziurkę na ogromny organ Colina. Colin mruknął coś z zaskoczenia i zadowolenia zarazem. Złapał jednocześnie dłońmi moje pośladki i wsunął mnie do siebie do końca. Jakże rozkosznie mnie rozpierał. Żeby to jeszcze trwało, całą wieczność! Objęłam nogami jego biodra, a on nagle zaczął ze mną iść przez stajnię. Zdziwione konie przyglądały się temu dwugłowemu zwierzęciu, jakie stanowiliśmy.

- Colin, proszę zostań tu... poruszaj się tylko. Przecież nie muszę cię uczyć, widziałam jak robiłeś to z Mary - szeptałam.
 - To nie to samo. Teraz jestem w piczce mojej pani - powiedział nie przestając maszerować.

Odwrociłam głowę i zobaczyłam, że jego celem jest ostatni, pusty boks. Był do połowy zapełniony świeżym sianem. Tutaj Colin delikatnie klęknął i położył mnie na sianie. Kiedy zaczął się poruszać, najpierw bardzo powoli, potem coraz szybciej i szybciej, widać było, że już nie panuje przed sytuacją jak przed chwilą. Dołączyłam do niego poruszając biodrami. On był młody i jurny, ja spragniona, więc nie trwało to zbyt długo. Zaraz potem, jak się wyprężył, znieruchomiał i opadł na mnie bez życia, doszłam i ja. Ale w tej pierwszej od długiego czasu przyjemności nie brała udziału tylko moja cipka, jak to często bywało przedtem. Teraz ja cała zamieniłam się w kurczący się i rozkurczający tunel. Straciłam oddech, a kiedy go znowu odzyskałam nie czułam nic innego niż błogość. Ten chłopak był cudowny. Mary wiedziała, co robi.

Pozwoliłam Colinowi poleżeć jeszcze trochę na mnie. Jego pot i nasienie wypływające z napełnionej po brzegi dziurki wsiąkały w moją suknię znacząc ją już prawie przeze mnie zapomnianym zapachem mężczyzny. Poruszyłam się i chłopak posłusznie, aż wyraźnie niechętnie zsunął się ze mnie.

- Muszę już iść Colin - powiedziałam upinając byle jak włosy. Patrzył z zachwytem na moje nagie piersi.
 - Pani... czy... - zaczął niepewnie.
 - Byłeś cudowny. Długo to będę pamiętać - przerwałam mu wstając.

Rzuciłam jeszcze okiem na jego ptaszka, który o wiele teraz mniejszy wystawał mu jeszcze ze spodni. Kilka wprawnych ruchów i byłby gotowy do dalszej drogi, pomyślałam i nagle przypomniały mi się wszystkie sztuczki, jakie zastosowałyby też młoda Fanny Hill. Odwróciłam się i wybiegłam ze stajni.

- U nas to się nazywa czyszczenie komina - rzucił za mną Colin bez żenady. — Dobrej nocy, pani.

Tej nocy spałam wybornie i obudziłam się wypoczęta i świeża. Mary miała rację. Weszła rano i przyniosła mi śniadanie. Zjadłam wszystko z apetytem. Przez cały czas Mary uśmiechała się do mnie tajemniczo.

- Mary, powinnam ci coś powiedzieć... - zaczęłam.
- Proszę nic nie mówić. Wiem wszystko - odrzekła.

Pożegnanie z domem, w którym spędziłam dziesięć szczęśliwych lat było szczególnie smutne. Do Londynu odwiózł mnie drugi, starszy stangret, o co poprosiłam Mary. Nie chciałam już spotkania z Colinem.

W Londynie nigdzie się już nie zatrzymywałam. Powóz zawiózł mnie prosto do portu. Tutaj przystojni (co zaraz wpadło mi w oko), młodzi marynarze chwycili moje kufry i wnieśli na pokład. Przy trapie kapitan powitał mnie jako panią Elwirę Mole, wdowę, płynącą do Ameryki do siostry - na to bowiem nawisko wykupiłam bilet ze względów bezpieczeństwa.

Kapitan był bardzo miły i osobiście pomógł mi nanieść moje pomniejsze bagaże do kajuty. Delikatnie interesował się kim będzie ta druga osoba dzieląca ze mną ten „apartament”.

- Ach, to mój lokaj. Kazałam mu zrobić jeszcze drobne zakupy przed podróżą - odpowiedziałam.

- Czy nie lepiej byłoby umieścić go w pomieszczeniach dla służby? - zapytał kapitan i zaczynałam mieć wrażenie, że usiłuje upiec w tym wszystkim swą własną pieczeń.

- Proszę sobie wyobrazić kapitanie, że nie mogę się bez niego obejść - odrzekłam niewinnie. - Zna moje przyzwyczajenia i potrzeby. Wie, że muszę mieć w nocy otwarte okno, a przed snem piję gorące zioła. Poza tym, to taki wrażliwy chłopiec. Na pewno źle by się czuł ze służbą.

Kapitan popatrzył na mnie podejrzliwie, a potem w jego oczach

zabłysł lubieżny ognek.

- Ach - powiedział tylko i skłonił się nie zamierzając jednak odejść. Był to dorodny, wysoki mężczyzna z potężnym brzuchem i gęstą czarną brodą, jaką często noszą marynarze. Mimo wielkiej postury jego dłonie były małe i miękkie i wyraźnie kontrastowały z resztą postaci. Wiedziałam, z doświadczenia, że taki kontrast wróży faceta szczególnie łasego na „te rzeczy”, człowieka, który tak samo lubi się kochać jak jeść i który przywiązuje wielką wagę do jednego i drugiego. Byłam zadowolona. Równie dobrze kapitanem mógł być ascetyczny, zasuszony i zdziwaczały tetryk.

- Będę szczęśliwa mogąc pana zapraszać codziennie na partyjkę wista. Gra w karty robi dobrze samotnej wdowie przed snem - powiedziałam filuternie i uśmiechnęłam się do niego.

- Jestem zaszczycony tą propozycją - powiedział i wreszcie wyszedł.

Może nie było tego po mnie widać, ale bardzo się denerwowałam. Czekałam na Luizę. Mój plan, ten, który wyszeptalam na ucho starej posłance był prosty i nie skomplikowany. Luiza miała wypatrzeć dogodną chwilę w ciągu dwóch dni, kiedy „Rainbow” mustrował towary i pasażerów, żeby przebrać się w rzeczy, które jej przysłałam i dostać się do portu. Zanim by się zorientowano w jej domu, że zniknęła, statek odpłynąłby w siną dal. Nawet, gdyby jej mężowi przyszło do głowy szukać jej na stojących w porcie żaglowcach, z pewnością nie dotarłby do lokaja pani Elwiry Mole. Zdawałam sobie sprawę, że moją najsilniejszą stroną nie jest inteligencja, ale ten plan wydał mi się dobry.

Jednakże pierwszego wieczoru Luiza nie zjawiła się. Za to z zaproszenia skorzystał mój kapitan. Przyszedł z butelką rumu w ręce i, jak na kapitana przystało, z fajką w zębach. Przez cały wieczór rzeczywiście graliśmy w wista i bardzo miło spędziliśmy ten czas. Przy okazji wypytałam go o innych pasażerów

„Rainbow”, a on chętnie przekazywał mi to, co wiedział. Kapitan też był dociekliwy. Pytał o mojego zmarłego męża (powiedziałam, że zmarł dawno i był bardzo stary i bardzo bogaty), o cel podróży, o nieobecność mojego lokaja. Od razu wyczułam, że jego zainteresowanie ma jeden podtekst. Podobałam mu się.

Dwa razy z rzędu wygrałam partię. Po pierwsze z powodu rumu, a po drugie z powodu mojego dekoltu. Kapitan z trudem tylko odrywał oczy od tajemniczego przedziałka moich pełnych piersi. Zdawałam sobie z tego doskonale sprawę i traktowałam to jako atut w grze.

Po trzecim kieliszku rumu napięcie trochę ze mnie opadło i na chwilę zapomniałam o Luizie.

- Czy widział pan kartę, na której jest król i dama jednocześnie?
- zapytałam kapitana, gdy składaliśmy już karty.
- Król i dama? Nie, chyba nie ma takiej karty, pani.
- Owszem jest. Pokażę ją kiedyś panu. Myślę, że powinna pana zaciekawić.

Rozdział IV

*w którym witam się, żegnám i kreślę galerię postaci,
jaką tworzą moi współpasażerowie.*

Rankiem, kiedy jeszcze spałam ktoś gwałtownie zapukał do moich drzwi. Zerwałam się przestraszona, na wpół przytomna. Zanim jeszcze krzyknęłam „proszę”, drzwi otworzyły się i stanęła w nich... Luiza. Chłopięcy strój, włosy po męsku zaczesane w kitkę i przewiązane kokardą, zaróżowiona od biegu twarz. Tak, to była Luiza! Prawie się nie zmieniła, może tylko oczy były smutniejsze, a wokół ust pojawiły się zmarszczki jakby od ciąglego płaczu.

Rzuciłyśmy się sobie w ramiona i łzy pociekły nam ciurkiem. Przez pierwsze minuty nie byłyśmy w stanie nic powiedzieć. Luiza płakała jak mała dziewczynka. Wtuliła się we mnie tak mocno, że z trudnością utrzymywałam równowagę. Kiedy wreszcie usiadłyśmy i przyjrzałam jej się dokładniej, zobaczyłam jak bardzo była wychudzona i zmizerowana. Zawsze była drobna, ale teraz wyglądała jak szkielet. Jej zawsze piękna oliwkowa cera miała teraz szary, ziemisty odcień. Ileż musiała wycierpieć ta dziewczyna.

Pół dnia nie robiłyśmy nic innego, jak tylko gadałyśmy ze sobą. Musiałyśmy przecież opowiedzieć sobie całe dwanaście lat. Zamówiłam dwa obfite śniadania, a kiedy je przyniesiono, zamknęłam drzwi na klucz. Na samym początku Luiza powiedziała mi, że Stowarzyszenie Białej Róży wie o tym, że jestem na „Rainbow”. Mało tego, na statek zostanie przysłany ktoś, kto w czasie podróży spowoduje wypadek lub po prostu zamorduje mnie.

— Ach, czy jestem tak ważną osobą, żeby wysyłać za mną do Ameryki mordercę? - wykrzyknęłam zrozpaczona. - Gdzie się więc mam ukryć przed tymi szaleńcami? Co ja im zrobiłam?

- Słuchaj Fanny, to jest po prostu zbieg okoliczności. Jeden z członków Stowarzyszenia i tak miał płynąć do Nowego Jorku, a tobą ma się zająć p r z y o k a z j i .

- Zabić mnie przy okazji! - nagle ta cała afera z białą różą wydała mi się śmieszna i niedorzeczna. Zaczęłam się głośno śmiać.

- Fanny, na miłość boską, dlaczego się śmiejesz? - powiedziała Luiza przerażona. - To nie są żarty, to szaleńcy!

- Najważniejsze, kochana, że jesteśmy razem - powiedziałam już spokojnie. — Zamkniemy się tutaj i nie będziemy wychodzić. Kapitan jest już po naszej stronie. Acha, czy mordercą ma być ten, jak mu tam, Krator?

- Najprawdopodobniej.

- Czy on cię kiedykolwiek widział?

- Nie, mój mąż nigdy mnie im nie pokazywał. Najczęściej siedziałam zamknięta gdzieś na tyłach domu i tylko... tylko wieczorem przychodził do mnie - Luizie zatrzęsa się broda. Westchnęła opanowując płacz. Objęłam ją znowu ramieniem i Luiza płacząc opowiedziała mi o swoim smutnym małżeńskim życiu, które mogłoby być przestrogą dla nieostrożnych dziewcząt, które skusiło dobre nazwisko i perspektywa zostania żoną bogatego szlachcica.

Już noc poślubna rozwiała jej marzenia o spokojnym przyzwyczajonym życiu u boku starszego arystokraty. Wprawdzie pan młody dał się nabrać na stary numer z ałunem i pęcherzykiem kurzej krwi wyciśniętym na prześcieradło, ale jak się okazało, wcale nie szło tu o jej dziewictwo. Jej mąż nienawidził kobiet. Ożenił się z nią prawdopodobnie dla pozorów. Całe ich życie traktował jako sposób na zemstę za cały rodzaj żeński. Korzystał ze swoich praw brutalnie, nie szczędząc jej bicia i przymusu. Najpierw krążył niespokojnie pod jej sypialnią, a potem w jakimś zdeterminowaniu wpychał jej nabrzmiały do granic możliwości członek. Kończył zawsze nie zrobiwszy nawet trzech ruchów. Ale najgorsze następowało zawsze potem. Nieod-

miennie zaczynał ją wtedy bić płacząc i śliniąc się, wyzywając od kurew, worów mięsa i diabelskich dziur. Jego skomlenie przechodziło we wściekłość. Wtedy nierzadko przywiązywał ją do łóżka, kneblował i okładał pejczem. Potem zostawiał ją tak naga, zziębniętą na cały dzień bez jedzenia i picia.

- Nie próbowałaś nigdy uciec? - zapytałam.
- Bałam się, że mnie odnajdzie i zabije. Spotkała mnie kara za moje grzechy - odpowiedziała.
- Teraz jesteś już bezpieczna.

Opowiadałam jej o sobie. Kiedy słuchała, jej twarz wypogadzała się powoli. Starałam się być spokojna i żartować z tego wszystkiego, co się nam przydarzyło. Nalałam jej kieliszek rumu od kapitana, który wypła jak lekarstwo. Potem usnęła.

Zajęłam się małymi porządkami i pisaniem Ciebie, mój pamiętniku, niecierpliwie czekając wieczoru, kiedy nasz kliper miał ruszyć w morze. Wreszcie poczułam upragnione kołysanie.

Moim pierwszym odruchem było wybiec na pokład i zobaczyć po raz ostatni brzeg Anglii. Kto wie, kiedy tu jeszcze wrócę... jeżeli uda mi się wrócić. Jednak najpierw musiałam się martwić, czy w ogóle dopłynę do Ameryki. Jeżeli wziąć serio to, co mówiła Luiza, to gdzieś niedaleko mnie, może w sąsiedniej kajucie, jest człowiek, który czyha na moje życie. Cofnęłam się od drzwi z ręką na ustach. Trzeba się było zastanowić. Po pierwsze, człowiek ten, kimkolwiek jest, będzie prawdopodobnie udawał zupełnie - kogoś innego. Po drugie, będzie planował zamordowanie mnie w czasie, gdy będzie jak najmniej świadków, czyli w nocy lub w czasie dnia w mojej kajucie. Myślenie nie jest moją mocną stroną, ale mam, jak każda kobieta, trochę intuicji. Po trzecie, nie będzie mnie mordował tak blisko brzegu, kiedy można jeszcze w każdej chwili zawrócić i ściągnąć na statek policję.

Mając powyższe przemyślenia i wnioski z nich płynące na uwadze postanowiłam wyjść na pokład, pożegnać się z Ang-

lią oraz zrobić pierwsze rozpoznanie wśród pasażerów. Kiedy **będę** wiedziała kim jest mój wróg, na pewno znajdę na niego sposób.

Zrobiłam sobie delikatny makijaż, przepychając moją sztywną szeroką suknie przez drzwi kajuty wyszłam na pokład.

Tylko nieliczni pasażerowie stali przy barierce. Za to na brzegu zebrał się mały tłumek składający się głównie z kobiet i dzieci. Przypuszczam, że były to nieszczęsne żony marynarzy, które żegnały swoich mężów na dłuższy czas. Bóg jeden wie na jakie pokusy narażone są te biedne dziewczyny podczas nieobecności ich mężów.

Po chwili żaglowiec zrobił skręt i cały port i żegnający nas ludzie znaleźli się z tyłu za rufą. Widziałam teraz cienką jak wstążka linię brzegową, która niepostrzeżenie przechodziła w migoczącą wieczornym słońcem nieskończoność wody. Żłote błyski migały po ciemnoszafirowej, niebieskiej i granatowej powierzchni. Miałam kiedyś taką suknię z brokatu. A jeśli morze jest brokatową suknią jakiejś ogromnej damy?

Z moich zachwyków wyrwał mnie przyjemny męski głos należący do przystojnego acz niedbale ubranego mężczyzny. Miał na oko ponad czterdzieści lat, był dobrze zbudowany i bardzo wysoki. Ledwie sięgałam mu do ramienia. W jego twarzy było coś niebezpiecznego, co postawiło mnie zaraz w stan gotowości - mógł to być przecież mój przyszły morderca. Teraz, kiedy na spokojnie przypominam sobie tę twarz wydaje mi się, że niepokój budzi jej p t a s i o ś ć : duże, bystre, uważne oczy, wydatny nieco garbaty nos i małe usta. Wrażenie to potęgował jeszcze brak peruki. Krótko przystrzyżone, siwiejące włosy przypominały małe pióra.

- Czy mógłbym mieć zaszczyt przedstawić się pani skoro i tak skazani jesteśmy na wiele dni wspólnego losu — zapytał kłaniając się wytwornie.

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się zapraszająco. Mówił głębo-

kim basem, a więc najprawdopodobniej nie był mordercą.

- James Falcon, preceptor, nauczyciel, rodowity baltimorczyk
- powiedział z prawdziwym wdziękiem.

Zaczęliśmy uprzejmą rozmowę, podczas której dowiedziałam się, że ów mister wraca do Ameryki ze swoim podopiecznym, młodym chłopcem, który skończył był właśnie naukę w starej ojczyźnie i przygotowuje się do przejścia obowiązków ojca, bogatego amerykańskiego plantatora. W czasie rozmowy zorientowałam się, że James Falcon jest w każdym calu dżentelmenem i to w dodatku dobrze poinformowanym jeżeli chodzi o innych pasażerów. Z tego względu starałam się być dla niego bardzo miła i delikatnie wypytywałam go o innych. Jego natomiast zainteresowało to, że jestem samotną kobietą, której towarzyszy tylko lokaj w tak długiej podróży. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie próbował wiązać z tym faktem pewnych dla siebie korzyści. Szybko się zaprzyjaźniliśmy i równie szybko pozbyłam się w stosunku do niego wszelkich podejrzeń. Może doprawdy jestem zbyt naiwnie nastawiona do ludzi. Z rozmyślną kokieterią przyjmowałam jego grzeczne komplementy i widziałam, że jego stalowe oczy rozbłysły jak u hazardzisty. Z pewnością James Falcon był mężczyzną, który lubił grać w „tę grę”.

Nagle naszą miłą rozmowę przerwał piskliwy męski głos besztający jednego ze stewardów. Spięłam się cała i musiałam wyglądać na przestraszoną, bo Amerykanin dotknął uspokajająco mojej dłoni.

- Niechże się pani nie denerwuje, to tylko ten furiat Bonetti. Czy pani wie, że płyniemy ze sławą światowych scen operowych?

Wskazał mi nieznacznym ruchem głowy niskiego, pękatego Włocha wymachującego krótkimi, upierścienionymi rękami i wrzeszczącego dyszkantem na przestraszonego służącego.

- Płynie podbić amerykańskie sceny operowe. Zdaje się, że nie jest już, niestety, w swojej najlepszej formie. W Ameryce ludzie

nie są tak wymagający.

Włoch nie wyglądał na mordercę, ale pamiętałam dobrze, że jedyną wskazówką, jaką dysponujemy z Luizą jest wysoki głos Kratora. Jeżeli jest on jeszcze dobrym aktorem, mógł się wcielić w postać nerwowego Włocha. Zapisałam sobie w pamięci, że na tego człowieka trzeba uważać. I wymyślić sposób, żeby zweryfikować to podejrzenie.

Tymczasem Falcon już pokazał mi stojącą przy przeciwnej burcie, odwróconą do nas tyłem rodzinę. Otyły mężczyzna dobiegający zapewne pięćdziesiątki, jeszcze bardziej otyła kobieta w kapeluszu tak dziwacznym, że aż smutnym oraz dwie, dla odmiany, chude jak patyki panny. Kiedy odwróciły się zaciekawione jak i wszyscy wrzaskami Włocha, zobaczyłam, że są, biedactwa, okropnie brzydkie. Ziemiste, jakby wklęsnięte twarze z długimi nosami i bezmyślnymi, wielkimi oczyma. Falcon nieznacznie skrzywił się na ich widok. Jakże musiałam być atrakcyjna w takich dekoracjach!

- Państwo Bacon - powiedziały usłużnie mój towarzysz. - Wielki bankier. Ma w Ameryce kilka plantacji bakunu lecz wciąż jest Anglikiem. Jego córki Ernestyna i Prudencja mimo wielkich posagów nie znalazły do tej pory w ojczyźnie amatorów. Teraz płyną do Ameryki, gdzie jak już zauważyłem, ludzie nie są tak wymagający.

Zamyśliłam się na chwilę patrząc na krępą postać bankiera. Teoretycznie mógł być Kratorem. Jest bogaty i ustawiony, obraca się więc w podobnych kręgach, co mąż Luizy. Rodzinę mógł wziąć dla niepoznaki. Jeżeli znaleziono by mnie martwą w kajucie, któż podejrzewałby szacownego bankiera, który gdzie wydać córki za mąż. Trzeba uważać. Przede wszystkim trzeba sprawdzić czy mówi dyszkantem.

- Czy pan jest kawalerem, drogi panie Falcon - spytałam niewinnie patrząc znacząco na panny Bacon.

Falcon zrozumiał moją żartobliwą aluzję i ukłonił się, a potem

popatrzył mi głęboko w oczy.

- Ach, nie. Ja szukam kogoś specjalnego.

Udałam zakłopotanie. Jego wzrok mimochodem spłynął na mój spory dekolt, a potem z trudem oderwał się i poszybował na ciemniejące morze. „No, mój sokole”, pomyślałam sobie z radością, mam cię już w garści.”

Zanim zadzwoniono na uroczystą, bo pierwszą i dlatego wspólną kolację (potem już posiłki roznoszone były do kajut) wiedziałam wszystko o współpasażerach.

Płynęło więc z nami dwóch brytyjskich oficerów, którzy na pewno wieźli jakieś ważne dokumenty i na pewno chcieli ten fakt ukryć. Ich wymuszenie naturalne zachowanie było tak sztuczne, że przebywając w ich pobliżu miało się ochotę mówić szeptem i używać szyfru. Co chwila wymieniali z sobą pełne znaczenia spojrzenia, chrząkali, nasłuchiwali niespokojnie. Obaj byli młodzi i przystojni, choć jeden z nich był młodszy i przystojniejszy. Mundury dodawały ich młodym ciałom męskości i powagi. Mieli gładko wygolone twarze i schludne peruki. Nigdy nie rozstawali się ze sobą, zapewne mieli rozkaz cały czas asekurować jeden drugiego. Ich dłonie nerwowo i niespokojnie błądziły zawsze w okolicach szpady i pistoletu. Zastanawiałam się, co też mogą wieść ci tak młodzi chłopcy. Materiały szpiegowskie? Dokumenty związane z niepodległością młodego amerykańskiego państwa? Insignia władzy? Złoto? Nie sądzę, żeby to oni mogli być narzędziem szaleńczego zamysłu Kratora.

Równie dziwna para pojawiła się dopiero przy kolacji. Młody i subtelny mężczyzna w obcisłym srebrnym surducie i romantycznych ząbotach oraz stara, że nie powiem zgrzybiała kobieta wystrojona w najbardziej drogie i wyszukane toalety, które kontrastując z jej zwiędłą już twarzą i kościstym ciałem robiły nieprzyjemne wrażenie. Kiedy Falcon powiedział mi, że mam przed sobą małżeństwo, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. On świeży, młody, dystyngowany, delikatny, może tylko zbyt

sztynny, ona mała, stara, pomarszczona, a do tego porywca. On — jakby z innego świata (Falcon powiedział „Księżycowy”), nieobecny, zamyślony, patrzący w morze, ona - poprawiająca wciąż nerwowo góry koronek kryjące jej pomarszczoną szyję, przywołująca go do siebie skrzekliwym głosem. Istniało jedno wytłumaczenie tego wyzywającego prawa natury mariażu - pieśniadze. Ponieważ Falcon nie znał bliżej tej pary, oboje snuliśmy na ich temat domysły. Na pewno zła rodzina w pogoni za pieniędzmi mającymi uzdrowić upadającą świetność rodu wydała nieboraka za tę poczwara licząc, że poczwara i tak niedługo umrze. Albo inaczej: ta stara poczwara to nikiemnica i czarownica. Naćpała niewinnego chłopca jakimiś narkotykami i zawlokła przed ołtarz. Albo: stara poczwara jest w rzeczywistości piękną dziewczyną, która zapadła na straszliwą chorobę zmieniającą rysy twarzy i całą postać.

Wymyślaliśmy najbardziej niesamowite historie, wszystko, żeby nie dopuścić do siebie myśli, że po prostu jest jak jest. Niestety rzeczywistość nas rozczarowała. W czasie kolacji bowiem młodzieniec zachowywał się w stosunku do poczwary jak kochający, ba, pełen miłości i pożądania małżonek. Siedzący po mojej drugiej ręce kapitan szepnął mi, że są to hrabia i hrabina de Pure płynący do Ameryki w poślubną podróż. No cóż, niedziwienie się niczemu należy do dobrych obyczajów.

Obok śpiewaka Bonettiego siedział jeszcze mężczyzna o przyjemnej, miękkiej twarzy, który niestety, wydał mi się od razu podejrzany. Mężczyzna ten bowiem nie odezwał się ani razu. Patrzył za to bystro, przysłuchiwał się wszystkim rozmowom, kiwał potakująco i trochę głupawo głową w odpowiedzi na wszelkie zaproszenia do wspólnej rozmowy. Co do niego mój cenny informator też nie miał zbyt wielu danych. Wiedział tylko, że

* nieprzetłumaczalna gra słów: „falcon” znaczy po angielsku „sokół” (przyj. tłum.).

ten człowiek jest żurnalistą. Nazywał się Weiss, co już samo w sobie wydawało mi się podejrzane. Takie nazwisko może nosić każdy.

Na zakończenie wypadałoby wspomnieć o podopiecznym Jamesa Falcona, paniczu Altenborough. Nie jest to jednak osoba tak interesująca, jak zdawałoby się świadczyć o tym jego nazwisko. Panicz Harold ma około siedemnastu lat, włosy koloru zwiędłej marchewki i ogólnie przysadzistą postać. Jego bardzo zwyczajna twarz jest lekko opuchnięta (może to jakaś choroba?), a spojówki oczu zaczerwienione. W towarzystwie odzywa się rzadko, a kiedy już zabierze głos, ma tendencję do wygłaszania mów bez względu na to, czy ktoś go słucha czy nie. Tę swoją zdolność zademonstrował wszystkim właśnie przy kolacji rozprawiając dobry kwadrans o dwóch gatunkach mew atlantyckich. Jego oracja nie znudziła tylko obu panien Bacon, które być może także i w nim widzą dobrą partię.

Z prawdziwym żalem pożegnałam się po kolacji z Falconem. Jego żal wydawał się być jeszcze większy niż mój. Na dłoni mi złożył długi, gorący pocałunek. Widziałam, że trudno mu było tak po prostu odejść spod drzwi mojej kajuty.

W środku zniecierpliwiona czekała na mnie Luiza. Biedna, nie mogła będąc lokajem uczestniczyć w kolacji, a beze mnie w ogóle nie miała śmiałości pokazywać się sama na pokładzie.

- Luizo, jesteś teraz mężczyzną! O wiele więcej ci można. Możesz chodzić sobie sama gdzie chcesz, możesz sobie przekląć, zażyć tabaki, uszczypnąć pokojówkę, zrobić siku prosto do morza... — przekomarzałam się z nią.

- Przestań, Fanny, zupełnie cię nie rozumiem. Jak możesz być taka beztrocka, kiedy tu w pobliżu jest twój morderca?

Luiza miała rację. Trzeba było teraz usiąść i obmyśleć jakiś sposób samoobrony. Opowiedziałam jej na początek o pasażerach. Jej uwaga, tak jak i zresztą moja, zaraz skoncentrowała się na

Weissie. Nie podzielała też mojego entuzjazmu dla Jamesa Falcona. Mógł być współnikiem.

- Tego Amerykanina musimy sprawdzić. Trzeba zobaczyć, czy jest normalnym mężczyzną - powiedziała stanowczo Luiza.

- A cóż to ma do rzeczy? - zdziwiłam się.

- Czy sądzisz moja droga, że prawdziwy, normalny mężczyzna, który lubi kochać się z kobietą... po bożemu, dla przyjemności, mógłby taką kobietę potem choćby skrzywdzić? Prawdziwe oblicze człowieka ujawnia się podczas stosunku. Wtedy nic nie można ukryć. Wtedy jest się dla drugiego jak na tacy. To po pierwsze. Po drugie, ma się wtedy większą siłę przekonywania. Wielu rzeczy można się dowiedzieć. A po trzecie możemy sobie stworzyć przez to malutki oddziałik oddanych nam panów, którzy w razie czego staną w naszej obronie.

Byłam zaskoczona przebiegłością małej Luizy i prostotą planu, ale z drugiej strony ja jako madame Elwira, wdowa i kobieta dojrzała... Luiza musiała dostrzec wahanie w moich oczach, bo powiedziała:

- Nie bądź niemądra, Fanny. Przecież my obie tylko na tym się znamy. Cóż innego możemy robić? Szyć kapelusze?

- Widzę, że ten sen podzielał na ciebie ożywczo. Od razu takie plany. Masz głowę do interesów, mała. Po twoim przerażeniu nie pozostał nawet ślad.

Luiza podeszła do lusterka i z bliska przyglądała się krytycznie swojej cerze.

- Takie postępowanie dyktują mi warunki, w jakich się znalazłyśmy. I jestem w końcu wolna. Mogę odpowiadać sama za siebie.

W takim oto, nieco wojowniczym nastroju, położyłyśmy się spać, ale, oczywiście, trudno nam było zasnąć. Luiza roztoczyła przede mną obrazy pełne pokus: pasjonująca, niebezpieczna gra, wieczory i noce pełne przyjemności i zabawy, nowe, interesujące znajomości. Tak, chciałam tego, tęskniłam do tego, tego mi właśnie brakowało od ostatnich dwóch lat. Odwróciłam

głowę i popatrzyłam w oczy Luizie. Wiedziałam, że potrzebowała tego samego, wiedziałam, że o tym samym teraz myślała. Po prostu - rozumialiśmy się bez słów.

Przytuliłyśmy się do siebie i szepem ustaliłyśmy, że pierwszy będzie kapitan.

- Jesteś gotowa? - zapytała mnie Luiza.

- Jestem gotowa - odpowiedziałam i nie mogłam się już doczekać następnego dnia.

Rozdział V

*w którym po raz drugi na partyjkę wista
przychodzi do mnie pan kapitan.*

Następnego dnia straciliśmy z oczu ład. Było to dla mnie wielkie przeżycie — płynąć tak w nieznaną i nie móc w razie czego wysiąść. Luiza, jak przystało na lokajkę, wyniosła mi na pokład fotelik i usiadła nieopodal wprost na deskach pokładu. Pilnie wszystko oglądając spod kapelusza zaraz dostrzegłam, że tak przystojny i o delikatnej urodzie służący wpadł w oko pannom Bacon. Ich ojciec nie byłby tym ucieszony. Ale pan Bacon w ogóle nie pokazywał się na pokładzie. Pewnie liczył swoje pieniądze zamknięte na trzy spusty w kajucie. Nie pokazał się też śpiewak Bonetti. Podobno miał już początki choroby morskiej.

Zaraz oczywiście, dosiadł się do mnie mister Falcon, lecz dziś konwersacja z nim nie była dla mnie tak atrakcyjna jak wczoraj. Dziś było gorąco. Poza tym zwróciłam uwagę na rzecz bardzo istotną. Na statku była przecież duża załoga. Zupełnie męska. Mnóstwo młodych i starych, pięknych i brzydkich, pociągających i odpychających mężczyzn. Załogę też dobrze byłoby mieć po swojej stronie, ale to już zdaje się, przechodziło nasze możliwości.

Po południu do mojego i Falcona towarzystwa dosiadły się panny Bacon z matką, panicz Altenborough i Kapitan. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, co było nudne niewiarygodnie. Ponad kapeluszami pań Bacon widziałam samotnie stojącą przy burcie moją Luizę i, z drugiej strony, przyglądającego się jej bacznie milczącego żurnalistę.

Delikatnie wypytywany o Weissa Kapitan wiedział niewiele. Weiss miał być bogatym Żydem, znanym dziennikarzem i w ogóle wpływową osobą. Falcon natomiast uważał, że Weiss jest masonem udającym się do Ameryki w celu inspiracji nowej

łoży lub coś w tym rodzaju. Sposób w jaki ten człowiek patrzył na Luizę w stroju lokaja podsunął mi myśl, że Weiss jest też homoseksualistą.

- Czy słyszał pan jego głos, Kapitanie - zapytałam, gdy Kapitan wieczorem odprowadził mnie pod drzwi kajuty.
- Niestety, ten człowiek jest wyjątkowo małowówny.
- A może to niemowa? - zapytałam podejrzliwie.
- To niewykluczone.

Gdy miałam już wejść do siebie, odwróciłam się jeszcze i nie dbale rzuciłam:

- A może miałby pan ochotę na partyjkę wista?

Kapitan owszem miał. Podziękował za zaproszenie przestępując z nogi na nogę. Przyszedł za jakąś godzinę z butelką rumu i pudełeczkiem czekoladek. Nie wiem skąd bierze się ten przesąd, że kobiety bardziej niż mężczyźni kochają słodycze?

Luiza zakaperowała się w sąsiedniej garderobie. Obiecała, że nie będzie podsłuchiwać, ale i tak wiedziałam, że już wygodnie usadowiła się z uchem przy cienkiej, drewnianej ścianie.

Po rozegraniu dwóch partyjek, które tym razem pozwoliłam kapitanowi wygrać, zjedzeniu pudełka czekoladek i wypiciu pół butelki rumu (ja piłam bardzo umiarkowanie) odłożyłam karty i westchnęłam ze smutkiem:

- Mam straszne kłopoty panie kapitanie...

... i opowiedziałam mu o tajemniczym, paskudnym typie, który mnie prześladowuje i grozi śmiercią. Jako powód wymyśliłam zadowioną zemstę wrogiej mi i zazdrosnej kobiety, która nie cofnęła się nawet przed wynajęciem płatnego mordercy. O dziwo, kapitan uwierzył w ten nieprawdopodobny motyw. Najpierw zerwał się i chwycił za szpadę. Musiałam go trochę ostudzić. Przyśunęłam się do niego i niewinnie poprosiłam o ochronę.

- Ponieważ wiem, że na pewno ten mężczyzna znajduje się na statku i z pewnością udaje kogo innego, muszę być bardzo uważna i próbować dowiadywać się jak najwięcej o pasażerach. Poza

tym przydałaby mi się dyskretna ochrona...

- Och, to poważna sprawa, droga pani - odpowiedział Kapitan.
 - Z mojej strony jestem gotowy służyć pani wszystkim, czego pani tylko zażąda.

- Gdyby tak jeden z pana dzielnych marynarzy mógł dyskretnie kręcić się pod moimi drzwiami, czułabym się o wiele bezpieczniejsza.

- Od zaraz! - wykrzyknął kapitan i zerwał się na równe nogi.
 - Nie, nie. Póki jest pan tu ze mną nic mi nie grozi - powiedziałam i podałam mu rękę, żeby mógł usiąść. - Nie psujmy sobie teraz tak miło rozpoczętego wieczoru. Mam dla pana małą niespodziankę.

Wstałam i z mojego bagażu wyjęłam małą talię specjalnych kart, które miałam jeszcze ze starych, dobrych czasów.

- Obiecałam panu pokazać magiczną kartę, na której są razem król i królowa.

Rozłożyłam przed nim karty. Przedstawiały najbardziej wyszukane pozycje miłosne, jakie tylko można sobie wyobrazić. Królowa z waletem, dwie królowe z królem, dwóch króli z waletem i królową, dwie królowe... Kombinacji było bardzo wiele. Kapitan otworzył usta i patrzył osłupiały. Potem podniósł na mnie wzrok. Zrozumiał obietnicę. W jego oczach pojawił się nieobecny do tej pory handlowy błysk, ale nie potrzeba było słów, żeby określić warunki umowy. Delikatnie pociągnęłam za troczki gorsetu i suknia opadła ze mnie na podłogę. Westchnął oczarowany moją nagością.

- Taka piękność... taki skarb na moim statku - powiedział ochryple i zabrał się do roboty.

Ośmielony tym, że się rozebrałam zaczął i on zdejmować z siebie swoje kaftany, koszule i pludry. Niepotrzebnie, bo żeby się z nim kochać nie musiałam widzieć jego potężnego, owłosionego ciała. Jego brzuch był tak duży, że zasłaniał mi zupełnie to, co mnie w tej chwili interesowało. Dopadł mnie jednym kro-

kiem, przycisnął mocno do siebie i pomiędzy udami poczułam jego niecierpliwą dłoń. Dotarła już pomiędzy nabrzmiewające wargi i najwyraźniej szukała dziurki. Poddałam mu biodra do przodu czując, czując, że moja cipka samoistnie już przygotowała się na to, co miało nastąpić.

- Och... tak... tak... zacznijmy już... proszę - szeptałam mu do ucha.

Zachęcony kapitan zaczął napierać na mnie swoim wielkim brzuchem. Zaczęłam tracić równowagę. Złapał mnie za pośladki i wyginał się do tyłu usiłując dotknąć mnie swoim filutem. Jego brzuch był jednak prawdziwą przeszkodą. Sięgnęłam więc ręką i wyciągnęłam spod fałd tłuszczu krótki, ale masywny organ kapitana. Jęknął z rozkoszy.

- Widzę, że wiesz, pani, jak się zabierać do rzeczy - powiedział poruszając członkiem w mojej dłoni.

Pociągnęłam go bezceremonialnie na koję i położyłam się szeroko roztawiając nogi. Przyjął to zaproszenie i runął na mnie swoimi dwustu funtami żywej wagi. Straciłam oddech i poczułam, że moje żebra zatrzęszczały niebezpiecznie.

- Uduśisz mnie, pan. Musimy zacząć inaczej - krzyknęłam.

Zsunął się ze mnie i jak chłopczyk oczekiwał klęcząc na dalsze instrukcje. Spod białego, obwisłego brzucha wyglądał ciekawie nabrzmiały członek. Kazałam mu się położyć na podłodze i mając już dość tych przepychanek usiadłam okrakiem na niego celując swoją dziurką wprost na drążek kapitana. Udało się za pierwszym razem. Chciałam teraz poruszać się na dół i do góry, ale brzuch, **mimo** że rozlany teraz nieco na boki zawadzał moim kolanom. Odwróciłam się więc na drążku tyłem do twarzy kapitana i miałam przed oczami owłosione nogi w opuszczonych do kostek wełnianych pończochach. Oparłam się dłońmi o podłogę i zaczęłam jazdę. Kapitan jęczał i wzdychał głaszcząc mnie po wypiętej w jego stronę pupie. Kiedy czułam, że jest już blisko, przestawałam albo zmieniałam rytm. Potem robiłam kilka ni-

chów okrężnych biodrami i zaczynałam od nowa. Mimo swojej krótkości organ kapitana był całkiem całkiem. Rozpychał mnie od środka i ubijał jak tłuczek. Sam fakt trzymania czegoś takiego w środku był już przyjemny. Przestałam na chwilę przygotowywać kapitana do ostatecznej gonitwy. Potem kucnęłam nad nim i zaczęłam kicać w miejscu jak prawdziwa żabka. Podniósł zdziwiony głowę, ale zaraz opuścił ją z jękiem rozkoszy. Obydwoje byliśmy już niedaleko, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zamarliśmy w tej groteskowej pozycji. Pukanie powtórzyło się.

- Kto tam? - zapytałam zupełnie opanowanym głosem.

- To ja, James Falcon, czy można? - usłyszeliśmy przytłumiony przez drzwi głos.

Uspokoiłam wzrokiem przestraszonego kapitana i ponowiłam wolno ruchy. Kapitan popatrzył na mnie z podziwem graniczącym z osłupieniem.

- Jestem już w łóżku, panie Falcon - powiedziałam spokojnie.

- Przyszedłem powiedzieć pani dobranoc - odparł po chwili głos zza drzwi.

- To miło z pana strony. - Teraz zaczęłam przyspieszać.

- W takim razie zobaczymy się jutro.

W głosie Jamesa Falcona pobrzmiwało rozczarowanie.

- Do jutra, przyjacielu.

Usłyszeliśmy oddalające się z tamtej strony odgłosy kroków. Teraz już bez pardonu przyspieszyłam tempo aż zabołały mnie napięte mięśnie nóg. Na sekundę przed gorącą falą osłabienia poczułam w środku radosne, mocne tryśnięcie kapitana i opadłam bez sił na jego wyprężone owłosione uda.

- Jesteś czarodziejką - wyszeptał kapitan z wdzięcznością.

Wstałam i pociągnęłam go żartobliwie za brodę.

- Idę do garderoby - powiedziałam wycierając się ręcznikiem.

W przebieralni rzuciła się na mnie Luiza.

- Fanny, ja też chcę. Wszystko słyszałam i przecież ja też mam

prawo. To niesprawiedliwe. Nie chce być twoim lokajem. Powiedzmy mu wszystko, niech jeszcze zostanie - szeptała podniecona i rozgorączkowana.

- Luizo, poczekajmy jeszcze trochę. To może być dla niego zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień - uspakajałam ją, choć już widziałam, że nic się nie da zrobić. Luiza uparła się. Nie było siły.

- Idź i powiedz mu albo ja wyjdę sama.

Owinęłam się prześcieradłem i zrezygnowana wróciłam do sypialni. Usiadłam przy kapitanie, który położył się na mojej koi.

- Proszę sobie wyobrazić, że mam jeszcze dla pana małą niespodziankę - powiedziałam zachęcająco.

- Znowu? - zapytał kapitan nie otwierając oczu.

Wzięłam go za rękę i używając trochę siły ściągnęłam z koi.

- Idziemy razem do garderoby.

- Po co?

- Zobaczysz, milutki.

Kapitan zobaczywszy lokaja dramatycznym gestem zakrył wiszącą mu pod brzuchem męskość.

- Ależ...

- To jest Luiza, panie kapitanie, moja najlepsza przyjaciółka - powiedziałam, a tymczasem Luiza rozpięła swój mundurek ukazując nieduże, ale zgrabne piersi. Udaje mężczyznę, bo na nią też czyha ten sam morderca. Zapewniani jednak pana, że jest stu-percentową, doskonałą kobietą.

Twarz kapitana wypogodziła się.

- To dla mnie zaszczyt poznać panią - powiedział skłaniając się.

Obie parsknęłyśmy śmiechem, bo szarmanckość kapitana połączona z jego podwójnie zwisającą nagością była groteskowa.

- Czy i ja mogłabym się włączyć do zabawy? - zapytała Luiza uprzejmie niczym prawdziwa dama zasłaniając tłumiące śmiech usta **dłonią**.

- Ależ oczywiście - Kapitan poczuł się widocznie gospodarzem. Osunął się na bok i przepuścił nas obie przodem. O tym, że pomysł mu się spodobał, świadczył wracający już powoli do dawnej postaci jego tłuczek.

Pomogłam mu rozebrać Luizę. Była dużo ode mnie szczuplejsza, ale też dużo zwinniejsza i giętka.

- Spadło dziś na mnie nieoczekiwane szczęście - wymruczał kapitan zaglądając z lubością między rozstawione na boki nogi Luizy. Chwyciła go natychmiast za włosy i delikatnie przysunęła jego twarz do swojej nabrzmiałej z pożądania, mięsistej cipeczki.
- Całuj mnie - prosiła odrzucając do tyłu głowę.

Kapitana nie trzeba było długa namawiać. Westchnął z lubością i zanurzył twarz między jej szczupłymi udami. Stałam z boku i widziałam jak pałka kapitana do tej pory ustawiona na pół gwizdka prostuje się teraz radośnie i leciutko drży. Luiza wiła się pod językiem pierwszego od długiego czasu mężczyzny jak ryba. Postanowiłam więc działać. Zrzuciłam z siebie prześcieradło i na czworakach podczołgałam się pod koję, na której leżała dziewczyna. Wypięłam tyłek i z trudem, pomagając sobie ręką wsunęłam się na drążek do ćwiczeń. Zakręciłam pupą, a kapitan wydał z siebie jęk podobny do kociego miauczenia. Wiedząc, co ma nadzieane na siebie zaczął się poruszać rytmicznie. Przez chwilę zadowoleni byliśmy wszyscy troje, ale kiedy Luiza poczuła jakiś ruch pod sobą, otworzyła oczy i zrozumiała, że oto zabieram jej najlepszy kąsek. Zsunęła się więc szybko z koi i położyła się na moich plecach wystawiając swoją rozkwitłą już różę przed zaskoczonego kapitana. Kapitan umiał znaleźć się w tak nietypowej sytuacji. Pchnął mnie jeszcze kilka razy po czym wyjął swojego rumaka i wsadził Luizie. Jęknęła i chwyciła za moje zwisające piersi. Nasz dzielny marynarz postanowił jednak być sprawiedliwy i za chwilę już robił dobrze mnie. Wkrótce wpadł w rytm i po równo obdzielał nas swoimi łaskami. Spragniona mężczyzny Luiza pierwsza zadrżała na mnie i zaraz zwiotczała. Nie cze-

kałam też ja i po raz drugi tego niezwykłego wieczora doплыnęłam do brzegu. Odwróciłam głowę i zobaczyłam kapitana trzymającego w dłoni swojego kusia i potrząsającego nim nad moimi biodrami. Po chwili wszyscy troje leżeliśmy splątani na podłodze.

- Nigdy nie miałem tak cudownych pasażerek - skomentował naszą partyjkę wista kapitan wkładając spodnie.

- Cała przyjemność po naszej stronie - powiedziała grzecznie Luiza.

Od tego wieczora każdej nocy stał pod naszymi drzwiami rosły marynarz z muszkietem za pasem.

Rozdział VI

*w którym zdobywamy wiele nowych doświadczeń
i widzimy, jak inni robią to samo.*

Musiałam wierzyć na słowo ludziom, którzy nie po raz pierwszy płynęli przez ocean statkiem, że poruszamy się do przodu. Pogoda bowiem była taka spokojna, morze tylko lekko pomarszczone delikatnym wietrzykiem, iż wydawało się, że stoimy w miejscu. Dla mnie ten bezruch, muszę przyznać, był nieco przygnębiający. Całe dni spędzaliśmy na pokładzie czytając, dyskutując i flirtując. Co chwila trzeba było przenosić krzeselka i foteliki za umykającym cieniem żagli.

Kapitan początkowo odwiedzał nas co wieczór, co stało się w końcu nużące. Poza tym blokował nam kabinę. Toteż w obsłudze kapitana szybko wyspecjalizowała się Luiza i para przeniosła się do kabiny kapitańskiej. Upał i nuda osłabiły chyba jednak siły żywotne naszego sprzymierzeńca, bo częstotliwość jego wizyt zaczęła w końcu słabnąć (ku zmartwieniu Luizy) i jego popyt na nasze usługi ustalił się mniej więcej na stałym poziomie — co trzeci dzień.

Będąc cały czas oblegana przez Jamesa Falcona zdołałam jednak nawiązać także inne znajomości. Zaprzyjaźniłam się na przykład z panią Bacon i miło rozmawiałyśmy sobie popołudniami o haftach, przetworach domowych i sposobach na mole i mrówki. Ta poczciwa kobieta zwierzyła mi się też z wielu sekretów jej nudnego życia. Dowiedziałam się więc, że jej mąż nie nadawał się już do niczego, a ona owszem, chętnie by coś sobie rzuciła na ząb. Skarzyła się też na swoje córki, które były nie tylko brzydkie (starsza pani doskonale zdawała sobie z tego sprawę), ale i bardzo popędliwe.

- Wyjeżdżamy z Anglii z powodu skandalu - powiedziała mi kiedyś świszczącym szeptem.

- Ach - wykrzyknęłam i załamalam ze zmartwienia ręce.
- Niechże pani sobie wyobrazi, że te niecnoty zadawały się z naszym ogrodnikiem, który potem uciekł do Londynu i próbował nas stamtąd szantażować.
- Cóż za podły człowiek!
- Całe szczęście, że żadna z nim nie zaszła. Toby dopiero był wstyd! Dlatego państwo Bacon chcieli jak najszybciej wydać swoje pociechy za mąż.
- Nie musi być ani bogaty, ani szlachcic, ani nawet jakiś tam przystojny. Byleby uczciwy człowiek, sama pani rozumie.

Upały wyгнаły na pokład także rzadziej widywanych na górze podróżnych. Codziennie po południu wyprowadzał na świeże powietrze swoją starszą żonę młody żonkoś. Ta para nie rozdzielała się ani na chwilę. Byli dla wszystkich uprzejmi, ale zachowywali odpowiedni dystans. Gdyby nie różnica wieku podejrzewałabym ich o prawdziwą miłość. Jednak miłość nie może być przeciwna naturze. Akceptuję miłość dwóch kobiet, dwóch mężczyzn, dwojga starców lub miłość zgoła prawie dzieci. Lecz kiedy mąż nie ma jeszcze dwudziestu lat, a żona ma na pewno koło siedemdziesiątki, musi to być podejrzane. Ta wymalowana, chuda kobieta wzbudzała we mnie prawdziwy wstręt. Wyobrażałam sobie jak może wyglądać wieczorem, kiedy rozbierze się z tych wszystkich kryjących jej starość koronek, kiedy położy się w łóżku obok młodego, dziecięcego jeszcze ciała jej męża i robiło mi się po prostu niedobrze.

Zapytałam o nią panią Bacon.

- Nie wiem, moja droga. Nikt ich nie zna. Może to Francuzi. Tak, rzeczywiście to mogli być Francuzi. Często miałam do czynienia z Francuzami, kiedy pracowałam u pani Cole. Zawsze im w głowie były jakieś cudactwa. Nigdy nie chcieli tego robić jak ludzie.

Wylazł na wierzch także śpiewak Bonetti. Jego służący biegał tam i z powrotem nosząc mu to szklanki z wodą, to sole,

to pigułki, to kapelusz. Tego chłopca zresztą z czasem bardzo polubiłam. Był nieśmiały i zawsze wystraszony. Bonetti często rozdawał mu kuksańce i złośliwe uwagi. Chłopak robił się wtedy czerwony i zaczynała trząść mu się broda jak małemu chłopcu. Ten kanciasty młody człowiek przypominał mi nieco Billa, mojego dawnego znajomego, z którym było mi szczególnie dobrze. Jestem wyczulona na tego typu intuicje. Często mówią nam one coś, czego nie widzi się wzrokiem. Być może służący Bonettiego miał talent mojego Billa, a ja miałam jeszcze dużo czasu, żeby to sprawdzić.

Przez kilka dobrych dni nie działo się naprawdę nic ciekawego i byłam już bliska zaproszenia na partyjkę wista mistera Falcona, kiedy pewnego wieczoru wydarzyło się coś, co wpędziło nas obie znowu w histerię strachu.

Oto wracając do siebie z pokładu otworzyłam drzwi i od razu zobaczyłam leżącą na mojej koi białą, świeżą różę. Natychmiast nam obu, mnie i Luizie, przyszło na myśl, że człowiek ten dysponuje umiejętnościami magicznymi. Nasz przeciwnik był potężniejszy niż nam się na początku wydawało.

Kapitan wydawał się zaafierowany. To było wyzwanie dla niego. Czyż nie był mężczyzną (prawdziwym!) i w dodatku kapitanem, a więc jakby właścicielem statku?

- Kogo podejrzewacie najbardziej? - zapytał.
- Weissa - odpowiedziałyśmy natychmiast obie.
- Trzeba więc śledzić Weissa - rzekł kapitan rzeczowo.
- Jak to „śledzić”? Przecież on całymi dniami siedzi na pokładzie gapiąc się, czytając albo pisząc - powiedziałam zdziwiona.
- Mam na myśli to, że nie należy spuszczać z niego oka, a ponadto zrobić dyskretną rewizję w jego pokoju - kapitan miał minę ministra policji. - Jako osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo moich pasażerów sam dokonam rewizji. Do was będzie na-

* I znowu postać z „Pamiętników”.

leżało jak najdłużej zatrzymać go na górnym pokładzie.

Umówiliśmy się, że zaczynamy jutro rano.

- Luizo - odezwał się już zupełnie innym tonem kapitan - czy nie miałyby pani ochoty na partyjkę wista?

- Och nie, kapitanie. Nie dzisiaj - Luiza omdlewającym gestem podniosła dłoń do czoła. - Jestem taka zdenerwowana...

- Wobec tego nie będę nalegał. Rozumiem. Ach, róża... - krzyknął za nami.

- Proszę sobie zachować to paskudztwo - powiedziałam i ruszyliśmy z Luizą do siebie zdecydowane zapewnić sobie na tę noc dobrą ochronę.

Rozumiałyśmy się bez słów.

- Może ten twój sokół z wychowankiem? - zapytała Luiza.

- Mam lepszy pomysł. Dawaj papier i atrament. Będziemy pisać liścik.

- Do kogo, do Falcona? - Luiza szukała czegoś w moich oczach, a potem przyniosła papier, pióro i atrament. - No, powiedz...

- Dwóch oficerów - powiedziałam tryumfalnie. - Oni nie rozstają się z bronią, są zawsze gotowi i jest ich dwóch.

- Zwariowałaś, Fanny, oni nigdy nie przyjdą na karty do jakiejś samotnej wdowy.

- Kto mówi o kartach? Na wista dobry jest kapitan czy Falcon. Dla oficerów trzeba wymyślić coś specjalnego.

Umoczyłam pióro i po chwili zastanowienia napisałam:

„Szanowni Panowie,

muszę panom przekazać natychmiast niezwyklej wagi wiadomość dotyczącą wiadomej sprawy. Czekam na panów dziś wieczorem. Proszę zabrać ze sobą broń.”

Podpisałam się zamasyście i złożyłam papier na czworo.

- Włóż teraz którąś z moich sukien - powiedziałam do Luizy.

- Ja pójdę wrzucić im to przez szparę w drzwiach. Sukienka musi być ciemna i skromna.

Kiedy wróciłam, Luiza właśnie kończyła zapinać haftki. Miałyśmy jeszcze chwilę czasu, więc przygotowałyśmy stół i ogarnęłyśmy i sypialnię i garderobę. Za jakiś czas usłyszałyśmy cichutkie pukanie do drzwi.

- Schowaj się na razie - powiedziałam szeptem do Luizy.

Bez słowa wskoczyła do garderoby zdając się we wszystkim na mnie. Otworzyłam drzwi i gestem zaprosiłam obu panów do środka. Obaj byli nienagannie ubrani w mundury i obaj jedną rękę trzymali przy pasie, a drugą na główce szpady.

- Pani nas wzywała... - zaczął ten, który podobał mi się bardziej.

Miał jasną wyrazistą twarz i niebieskie oczy. Jego jasne włosy związane były w przepisową kitkę. Włosy drugiego zaś były rude, a przystojna, męska twarz - piegowata. Typowi angielscy żołnierze.

- A więc, panowie, do rzeczy. Wszyscy wiemy, że jedziecie do Ameryki z ważną misją, która dotyczy wiadomej sprawy wagi państwowej...

Popatrzyli na siebie porozumiewawczo lecz z kamiennymi twarzami. Rudy jednak nie wytrzymał:

- Skąd... - zaczął.

Nie pozwoliłam mu skończyć. Ja musiałam mieć inicjatywę w tej rozmowie.

- Nie czas teraz na wyjaśnienia. Chciałam panom przekazać, że misja jest zagrożona. Na statku ukrywa się spiskowiec, który czyha na panów życie i na... - zawahałam się - na dokumenty, które wieziecie.

Ich wzrok natychmiast przeniósł się na dłonie położone na brzuchu. Potem znowu spojrzeli po sobie. Tym razem odezwał się blondyn:

- Ale skąd... - jemu też nie pozwoliłam skończyć.

- Może to panów zdziwi, ale człowiek, który przekazał panom te dokumenty, wynajął również mnie i moją współpracowniczkę - blefowałam na całego. - Luizo, wyjdź, proszę.

Luiza wyszła z garderoby i stanęła skromnie pod ścianą. Wrażenie, jakie wywarł mój niedawny lokaj zmieniony w śliczną kobietę, było piorunujące. Unieśli się obaj lekko z krzesel i szczeki im opadły psując już zupełnie kamienny wyraz ich żołnierskich twarzy.

- Dostałyśmy rozkaz - ciągnęłam - ubezpieczenia panów. Z racji tego, że jesteśmy kobietami, jesteśmy lepiej... utajnione. Dziś dostałyśmy sygnał, że szpieg szykuje się w najbliższych dniach do ostatecznego ataku. W tym celu będzie najpierw próbował zabić nas obie, bo jesteśmy najlepiej wtajemniczone. Po tem wykradnie panom dokument i pozbędzie się panów. Broda mojego faworyta zadrżała ze zdenerwowania.

- Kto jest tym szpiegiem? - zapytał przejętym szeptem.

- I tu jest problem — powiedziałam podnosząc znacząco palec do góry. - Nie wiemy. Luizo, przedstaw panom oficerom nasze podejrzenia.

Luiza nabrała powietrza w płuca i powiedziała:

- Szpiegiem jest najprawdopodobniej mężczyzna o cienkim dyskantowatym głosie w niewiadomym wieku i niewiadomego stanu.

- Bonetti - powiedział rudy i strzelił palcami. - Od razu wiedziałem, że on nie jest w porządku.

„Chwycili”, ucieszyłam się. Poszło łatwiej niż się spodziewałam.

- Albo ten młody z tą starą - z rozwągą rzeki blondyn.

- Zgadzam się z panem — powiedziałam. - To nie jest normalna para.

Rzeczywiście do tej pory nie przyszło mi do głowy, że młody zonkoś może być Kratorem. Trzeba o tym powiedzieć kapitanowi. I o Bonettim też, ale wtedy Krator musiałby być genialnym aktorem.

- My podejrzewałyśmy Weissa - wyrwała się Luiza.

- Ale jaki on ma głos? - zastanowił się Rudy.

Wyglądało na to, że zabawa się rozkręca. Zaproponowałam więc przedstawienie się imionami, jako że byliśmy wszyscy czworo po jednej, niewątpliwie słusznej, stronie.

- Bez nazwisk - dodałam jak prawdziwy tajny agent.

Rudy miał na imię Henry, a mój blondyn - Andrew. Kiedy tak siedzieliśmy sobie w zamkniętej na klucz kajucie i snuli domysły i przypuszczenia, zastanowiłam się dlaczego nie przyszło mi do głowy, że Kratorem może być któryś z tych miłych i przystojnych chłopców. Oczywiście obaj mieli piękne, męskie i głębokie głosy. Ale czyż głosem nie można manipulować? Czyż nie można zmieniać sobie brzmienia głosu w zależności od własnego wdzimisię? Aktorzy, którzy grają na scenie role kobiece dosyć naturalnie przechodzą w mówienie dyszkantem, a potem wracają do basu. Są też brzuchomówcy i różni inni magicy. Popatrzyłam teraz na coraz weselej rozmawiających z Luizą żołnierzy nieco inaczej. Wpuściłyśmy obcych mężczyzn do własnej kajuty i zamknęłyśmy drzwi na klucz odcinając sobie w ten sposób drogę odsieczy. Lecz z drugiej strony byłam pewna, że ktoś taki jak ten Krator, ktoś, kto czyha na życie drugiego, dla którego przestępstwem i zbrodnią jest cielesna miłość między mężczyzną i kobietą, ktoś taki nie może być pełnowartościowym na ciele i na duchu człowiekiem. Może to zgorzkniały quasimodo, garbus-impotent, szaleniec opętany własną chorobą wyobraźnią? Krator nie mógł być młody i piękny. Wiedziałam to. Wszystko, co do tej pory przeżyłam mówiło mi o tej starej prawdzie: jakie ciało, taki duch. Jak każda ogólna zasada i ta miała swoje wyjątki, ale generalnie mówiąc potrafiłam zaufać człowiekowi widząc, że jego oczy patrzą jasno i śmiało, a jego ciało jest proste i harmonijne. Budowa ciała ma jakiś tajemniczy związek z upodobaniami i charakterem. Dobrze umięśnieni, atletyczni mężczyźni o szerokich barach i wąskich biodrach lubią obnosić się ze swoją nagą

stojącą męskością. Prezentują się wtedy jak bażanty. Ci w miłości lubią użyć nieco przemocy - wykręcić ręce, złapać za kark, udać, że zmuszają kobietę do uległości. Z nimi trzeba się droczyć, bo podnieca ich opór. Lubią gonić nagą kobietę po komnacie, żeby ją później złapać, przygiąć do ziemi i wziąć od tyłu jak kogut bierze kurę, a pies sukę. Ci mężczyźni wybierają pozycje nie wymagające zbędnego dotykania się. Wolą pieszczotliwie gryźć, a nie całować się czy lizać. Uwielbiają kobiety dobrane obdarzone przez naturę. Piersi ich kochanek muszą być ciężkie, a tyłki mięsiste. Mężczyźni zaś nieatletyczni, ale za to z tendencjami do tycia, o drobnych stopach i dłoniach, wolą z pewnością kobiety szczupłe i zwinne. Sami są bowiem leniwi i wolą oddawać się w ręce aktywnych kochanek. Uwielbiają pocałunki i miłość francuską (typy atletyczne zdecydowanie wolą stosunki analne). Lubią leżeć i godzinami kontemplować smak i zapach skóry partnerki. Ich język jest bardzo wrażliwy, czuły i zwinny. Mogą kochać się w ciemnościach - nie muszą wcale widzieć kobiety, wystarczy, że ją czują. Ich najulubieńsze pozycje to takie, gdzie kobieta przejmuje całą aktywność, a oni leżą sobie spokojnie i chłoną... Toteż lubią być dosiadani.

Jest jeszcze trzeci typ mężczyzn ani nie atletycznych, ani nie tłustych. Typ ten jest wysoki i chudy, często ma zapadniętą klatkę piersiową i wystającą grdykę. Może nie prezentują się dobrane, kiedy są ubrani - ich długie ręce i nogi sprawiają wrażenie niezgrabności. Każda jednak obyta kobieta wie, że mają pięknie rozwinięty i imponujący organ. Niestety, natura czasami lubi płatać figle i dając doskonale narzędzie skąpi jednocześnie talentu do wykorzystania go. Gdyby dwa poprzednio opisywane typy dysponowały takimi możliwościami, zamęczyłyby wiele kobiet, każdy na swój sposób. Chudzi i wysocy panowie dzielą się, z grubsza rzecz biorąc, na dwa podtypy. Pierwszy nazwałabym typem filozofa, a drugi - maminsynkiem. Filozof traktuje miłość jak zadanie. Jest aktywnie zainteresowany budową rozłożo-

nej przed nim cipki, bada, sprawdza, wącha, smakuje, eksperymentuje. Lubi lustra, bo lubi i siebie traktować jako obiekt do badania. „Tak oto wygląda stosunek”, mówi do siebie poruszając biodrami w przód i w tył leżąc na kobiecie. „Oto odbywam właśnie stosunek płciowy”. Nigdy nie zapomina zapytać kobietę co dokładnie czuje i gdzie. Wierzy w mityczny PUNKT gdzieś w cipce, którego odnalezienie i odpowiednie pocieranie czy naciskanie natychmiast sprawi kobiecie niewysłowioną rozkosz. W gruncie rzeczy wierzy, że kobieta i w ogóle ciało ludzkie, są czymś na kształt maszyny, do obsługiwania której potrzeba tylko trochę fachowej wiedzy. Toteż typ ten chętnie nabywa różne podręczniki miłości i z pruską systematycznością przerabia jedną pozycję po drugiej.

Druąa odmiana tego typu, to maminsynek, choć nazwa ta może być nieco krzywdząca. Maminsynki w miłości fizycznej szukają przede wszystkim bezpieczeństwa, tulenia się do ciepłego, pachnącego kobietą-matką ciała. Wybierają kobiety o dużych piersiach, które możnaby w nieskończoność obrabiać, a w końcu zanurzyć się między nie i niewinnie usnąć. Zwracają baczną uwagę na to jak ubrana jest kobieta, znają się na modach, niejednokrotnie doradzają fachowo swoim kochankom co włożyć. I sami też lubią się stroić. W ciszy sypialni przymierzają często rzeczy swoich kochanek, a niektórych Z nich włożenie na siebie sukni wręcz podnieca. Zapewniam jednak, że są to normalni mężczyźni i jeśli trafią na kobietę nieco władczą i dominującą, będą szczęśliwi.

W międzyczasie, podczas, gdy ja zastanawiałam się nad typologią mężczyzn, Luiza poczyniła już sporo praktycznych kroków. Przekonała więc obu żołnierzy, że dobrze by zrobili zostając na tę noc u nas w celu wspólnego odparcia ewentualnego ataku. Dosyć szybko zmieniła też temat rozmowy przechodząc na rzeczy mniej denerwujące. Zobaczyłam, że zdjęła pod stołem pantofle i zaczęła stopą raz jednego, raz drugiego.

- Skoro mamy zostać tu razem przez całą noc, spędźmy ją przyjemnie — powiedziała Luiza.

Żołnierze spojrzeli po sobie, jakby wspólnie musieli uzgodnić decyzję. Luiza zsunęła niedbale rękawy sukni ukazując wielce ponętny dekolt.

- Zawsze będzie nas więcej do obrony - odezwał się niejawnie Andrew patrząc na koleżę.

- Tylko musimy pamiętać, żeby zachować gotowość - przytaknął skwapliwie Henry.

Nie było już na co czekać. Po chwili siedzieliśmy obie na kolanach naszych oficerów. Skłoniłam nawet mojego Andrew, żeby przeniósł swoją rękę ze szpady na moją pierś. Niestety druga ręka pozostała niewzruszona i dalej trzymała coś ważnego, co znajdowało się pod mundurem w okolicach wątroby. Miałam więc wrażenie, że jestem pieszczona przez jednorękiego. Luiza była bardziej niecierpliwa i już **śmiało** rozpiniała pantalony rudego Henry'ego. Zobaczyłam jak uwolniony się nagle z opinających spodni jego ptak wyskoczył rażno na świat zupełnie przygotowany do działania. Postanowiłam i ja się pospieszyć. Wymacałam ręką spory wzgórek. Czułam się jak mata dziewczynka przed rozpakowaniem prezentu z niespodzianką. Gładziłam dłońią tę ciepłą wypukłość, a ona, o dziwo, rosła jeszcze i jeszcze. Zdaje się, że miałam szczęście. Będzie coś z tego chłopaka. Delikatnie rozwiązałam troczki i w mojej ręce znalazł się cudownie prosty i twardy żołnierski organ mojego Andrew. Przesunęłam po nim dłońią w górę i w dół. Andrew westchnął, przymknął oczy i odrzucił do tyłu głowę. Ponieważ nie bardzo było mi wygodnie pociągnęłam go za ptaka w kierunku koi, ale on postanowił widocznie przejąć inicjatywę, bo porozumiewszy się wzrokiem z Henrym, wstał i odwrócił mnie tyłem do siebie. Kątem oka zauważyłam, że to samo zrobił jego kolega z Luizą. Ustawili nas jedna przy drugiej dając do zrozumienia, żebyśmy oparły się rękami o stół. Nie miałam nic przeciwko temu. Równocześnie zadarli

nam spódnice i halki na plecy i bez żadnych wstępnych karesów przystąpili do dzieła. Rozstawiłam szerzej nogi i mocniej wsparłam się na rękach, bo jazda zapowiadała się ostro.

- Daaawaj! - krzyknął Henry jakby wydawał komendę.

Zaczęli w tym samym momencie wykonując równe posuwiste ruchy. Dbali o rytm i widać było, że choć młodzi, są w tej pracy dobrze zaprawieni. Andrew trzymał mnie za biodra. Od czasu do czasu zakręcał nimi dostarczając mi w ten sposób szczególnej przyjemności.

- Tak, tak, tak mi rób - szeptałam wtedy, ale on mnie nie słuchał i zaraz wracał do poprzedniego prostego rytmu. Spjrzałam z boku na Luizę. Wyglądała na zadowoloną.

- Zmiaaana! - krzyknął teraz Henry (chyba był wyższy rangą) i zanim się zorientowałam, o co chodzi poczułam w sobie większy i bardziej mnie rozpychający organ rudego dowódcy. Zwiększyli szybkość ruchów i zdaje się, że powoli zaczęli zbliżać się do końca. Nie mogłyśmy im na to pozwolić. Jeszcze nie. Szarpnęłam się do przodu uwalniając się w ten sposób od zapamiętanego członka. Luiza wiedząc o co mi chodzi natychmiast zrobiła to samo. Nasi chłopcy stali teraz z czerwonymi, nabrzmiętymi ptakami kołyszącymi się w powietrzu, z kompletnym zaskoczeniem na twarzy.

- Zmiaaana - wydałam komendę i położyliśmy się na stole, jedna obok drugiej z wysoko zadartymi nogami. Henry miał szybszy refleks i natychmiast wkręcił swój aparat w moją dziurkę.

- Zdejmij mundur - szepnęłam.

Odmówił. Próbowaliśmy objąć go nogami, ale jego szpada kłuła mnie niemiłosiernie w uda. Chcąc nie chcąc musiałam trzymać nogi w powietrzu. Henry przymknął oczy, a na jego czerwonej z wysiłku twarzy zaczęły się pojawiać kropelki potu. Podłożył teraz dłonie pod moje pośladki i przystąpił do decydującego natarcia. Wydawało mu się, że czyści swoim wyciorem łufę mojej

cipki, żeby przygotować ją do ostatecznego wystrzału. Poczułam pierwsze fale ogarniającego mnie gorąca. I wtedy wszyscy czworo usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Obaj panowie zamarli w nas i chwycili wiszące u boku szpady.

- Kto tam? - zapytałam w miarę opanowanym głosem.

- To ja, madame, James Falcon. Przyszedłem powiedzieć pani dobranoc - usłyszeliśmy.

Andrew i Henry porozumieli się wzrokiem. Henry poruszył się, jakby chciał ze mnie wyjść, ale przytrzymałam go piętami.

- Jestem już w łóżku, panie Falcon - powiedziałam spokojnie.

- Ach, w takim razie dobranoc, do jutra - w głosie Amerykani-
na wyraźnie słychać było rozczarowanie.

- Dziękuję za troskę. Dobrej nocy.

Jeszcze przez chwilę trwaliliśmy bez ruchu wstrzymując oddech. Czułam, że ptaszek Henry'ego nieznacznie zwiotczał. Trzeba było działać.

- Chyba nie skończymy tego w tak nieodpowiednim momencie - odezwała się Luiza.

- Rzeczywiście — przytaknął jej Andrew - byłoby to godne po-
żałowania.

Zaczęłam teraz od wewnętrznego masażu. Zaciskałam i rozkurczałam rozochoczoną cipkę wokół ptaka Henry'ego, aż wrócił do swojej poprzedniej twardości. Zachwycony Henry popatrzył na mnie z podziwem i przystąpił do następnej tury. Za chwilę wiedziałam już, że nic nie jest w stanie nam przeszkodzić w podróży do Krainy Rozkoszy. Pośliniłam sobie jeszcze palec i delikatnie pocierałam się po moich płatkach. Nie mogłam oczekiwać takich subtelności po moim walecznym żołnierzu. Przybijaliśmy do brzegu razem. Najpierw poczułam szaleńcze skurcze w cipce, a zaraz potem opadła na mnie gęsta fala osłabienia. Za chwilę opadł na mnie też oficer Henry raniąc boleśnie mój brzuch metalowymi guzikami, naszywkami i emblematami. Czułam jak jego armata wali we mnie bezmyślnie cały zapas amunicji.

Mimo słabości w nogach zepchnęłam go stanowczo z siebie i wstałam zobaczyć, co też się dzieje z Luiza i jej nadobnym blondynem. Ze swoimi szczupłymi wysoko uniesionymi nogami Luiza wyglądała jak rosochate drzewko z dziuplą w środku. Głowa zwisała jej poza stół, rozpuszczone włosy omiały podłogę. Mokry od potu, ale zapięty pod szyję Andrew opierał się jednym kolaniem na stole i posuwał Luizę w łącie zajęczym tempie. Dziewczyna jęczała i wiła się łapiąc się kurczowo stołu. Nagle Andrew wyprężył się, jęknął i jego ciało przebiegła fala dreszczy. Nie trzymana teraz przez niego Luiza zaczęła zsuwać się niebezpiecznie ze stołu. Andrew chwycił ją za biodra i umęczony opadł twarzą na jej mokre gniazdko.

- Ach - powiedziała na koniec Luiza.

Sporo czasu nam zabrało przyjście do siebie i ogarnięcie się. Siły pokrzepiliśmy dobrym winem.

- Czy... te umiejętności pań wchodzi w zakres szkolenia was na tajne agentki? - zapytał Henry mając na myśli sposób, w jaki przywróciłam mu dawną świeżość.

- Oczywiście - odparłam. - Do tej pory nie wynaleziono lepszego sposobu na szpiegów z obcych wywiadów. Nie słyszał pan, że kobiety są w tej pracy najbardziej skuteczne?

Pogawędziliśmy sobie jeszcze trochę, a potem oficerowie poszli sobie. Wyglądali na zmęczonych nie tylko miłością, ale i ilością wrażeń, które stanowiły z pewnością dla ich nie nawykłych do przetwarzania informacji mózgow nie lada ciężar. Otwierając im drzwi zauważyłam, że marynarz, który miał nas pilnować, śpi sobie smacznie na podłodze. Delikatnym kopnięciem przywołałam go do przytomności.

- Co... co? - wyjąkał.

- Miałeś czuwać i pilnować nas.

Popatrzył z przerażeniem na ginących na zakręcie korytarza oficerów.

- Czy to... czy coś się stało?

- Masz szczęście, że to była druga nasza eskorta. Byli tu sprawdzić czy wszystko w porządku.

Marynarz wstał szybko na nogi. Był to potężnie zbudowany Irlandczyk w wieku około trzydziestu lat. Luiza spojrzawszy na niego popatrzyła na mnie znacząco.

- O nie, moja droga. Musimy dbać o swoją kondycję - powiedziałam i zamknęłam drzwi na klucz.

Lecz tej nocy nie dane nam było spać. Nasza kajuta należała do najlepszych także i dlatego, że była bezpośrednio pod drewnianym pokładem klipera. Dwie warstwy wysuszonych na słońcu i skąpanych w morskiej wodzie desek miało właściwość skrzywienia pod najlżejszym nawet krokiem. Zwykle nocą mało kto chodził akurat po spacerowej części statku, ale dziś wyglądało na to, że wszyscy pasażerowie umówili się tam na jakieś zawody sportowe. Przewracałam się z boku na bok próbując zignorować te skrzywienia. Wreszcie, po godzinie, nie wytrzymałam i usiadłam wściekła na brzegu łóżka. Luiza też nie spała.

- Co się tam dzieje? - zapytała.

- Pójdę zobaczyć.

- Nie, Fanny, to może być podstęp. Może chcą nas tam zabić. Zostań - mówiła Luiza.

- Może kapitan ma jakieś kłopoty? Idę - powiedziałam stanowczo i narzuciłam chustę na ramiona.

- Poczekaj, idę z tobą — rzekła Luiza i wzięła ze sobą srebrny korkociąg.

Uchyliłyśmy z trudem drzwi, bo zabarykadowało je ciało śpiącego Irlandczyka.

- Uważaj - szepnęłam.

Na palcach przeszłyśmy przez strażnika i po cichutku posuwałyśmy się do schodów, nad którymi majaczyła jaśniejsza plama nocnego nieba. Było cicho i ciemno jak w grobie. Statek kołysał się nieznacznie tylko od czasu do czasu powodując pojedynczy plusk wody o którąś z burt. Na pokładzie było jaśniej z powodu

zbliżającego się do pełni księżyca. Skuliłyśmy się w cieniu daszka od wejścia pod pokład i nadsłuchiwałyśmy. Tu, na zewnątrz dźwięki powróciły. Dochodziły nas teraz z lewej strony. Prawie na czworakach podeszłyśmy w tamtym kierunku. Coś jakby szurnięcia i podskoki dobywały się zza kupy lin. Kucnęłam i wyjrzałam.

Na niedbale rzuconym zwoju liny leżała Baconówna - zdaje się Prudencja - trzymając pod brodą zadartą swoją elegancką koszulę nocną. Między jej rozrzuconymi szeroko chudymi nogami klęczał marynarz w pasiastej koszuli i miętosząc zawzięcie marny biust dziewczyny wprawnie ją posuwał. Właśnie byłam świadkiem wstydliwego szczytowania marynarza. Za chwilę wyjął oklapłego już fajfusa, bezceremonialnie strząsnął z niego ostatnie krople nasienia i wstał. Na jego miejsce podsunął się zaraz następny i nie czekając na żadną zachętę ze strony dziewczyny zasadził swój korzeń w dobrze uprawioną już dziurkę.

- To już będzie ostatni - powiedziała do kogoś Baconówna odwracając głowę w drugą stronę.

Wychyliłam się jeszcze trochę, ciekawa do kogo też mówiła. Zobaczyłam drugą Baconównę leżącą w takiej samej pozycji i tak samo pietuszoną przez innego marynarza. Siostry niemal stykały się głowami.

- Ja jeszcze mogę - odrzekła na to druga postępując z lubością. Nieopodal siedziało wprost na deskach pokładu kilkunastu chłopów w milczeniu patrząc na popisy swoich kolegów.

Wycofałam się ostrożnie, żeby móc to wszystko pokazać Luizie.

- To niesamowite - szepnęła przez ramię Luiza. - Ciekawe, co by na ten budujący widok powiedział mister Bacon?

- Wracamy - powiedziałam i pociągnęłam ją za rękę.

Irlandczyk dalej spał jak zabity. Weszłyśmy do naszej kajuty i zamknęłyśmy drzwi. Luiza zapaliła świecę i naszym oczom ukazał się straszliwy obraz. Wszystko było poprzewraca-

ne i połamane. Jedynie meble przyśrubowane do podłogi oparły się dziełu zniszczenia. Pościel z obu koi była pocięta nożem, podobnie zresztą jak pozostawiona na wierzchu garderoba. Moja wieczorowa suknia, w którą ubrana była wieczorem Luiza, przypominała teraz kupkę szmat. Na mojej koi, wbity po rękojeść, tkwił wielki nóż. Luiza zaczęła tupać nogami i zatkała sobie usta obiema rękami.

- On tu był, on tu był - powtarzała.

Kiedy zrozumiałam, co się stało, zimny dreszcz przebiegł mnie z góry na dół. Krator postanowił więc uderzyć. Był odważny. Znajdowaliśmy się nawet nie w połowie drogi do Ameryki. Kapitan miałby więc dużo czasu na przeprowadzenie śledztwa. Krator musiał być bardzo pewny swojej bezkarności. Gdyby nie te szelesty na górze, leżałabym teraz zadżgana nożem w swym własnym łóżku. Baconówny uratowały mi życie.

Ostrożnie otworzyłam drzwi na korytarz. Był pusty. Pod drzwiami wielki Irlandczyk leżał bez ruchu. „Boże, zabity”, przestraszyłam się, ale zaraz poczułam znajomy zapach whisky. Ktoś musiał go upić. Chwyciłam nieprzytomną ze strachu Luizę za rękę i pociągnęłam za sobą. Krator mógł wrócić. Nie patrząc na nic, bosy i w nocnych koszulach pobiegłyśmy korytarzami do kabiny Kapitana.

Zaspany kapitan wyraźnie ucieszył się na nasz widok.

- Partyjka wista... - zapytał niezbyt przytomnie, lecz potem musiał zobaczyć malujące się na naszych twarzach przerażenie, bo nagle całkowicie wytrzeźwiał.

- Na miłość boską, co się stało? - wykrzyknął.

Opowiedziałam mu wszystko, bo Luiza po prostu zemdląła. Kapitan po wysłuchaniu mnie naciągnął na siebie ubranie i zamknąwszy nas obie na klucz w swojej kajucie, poszedł oglądać miejsce planowanej przez Kratora zbrodni. Wrócił po kilkunastu minutach niosąc ze sobą nóż i świeżą, białą różę.

- Skąd pan to ma - wyjąkałam patrząc na różę.

- Jak to? Przecież leżała na stole - powiedział kapitan ze zdziwieniem. — Nie zauważyły jej panie?

- Nie było jej tam - krzyknęła Luiza histerycznie.

- Nie było jej, kiedy wychodziliśmy z pokoju - **potwierdziłam**. Spojrzałyśmy na siebie rozszerzonymi ze strachu oczami i Luiza zemblała po raz drugi.

- Z tego wniosek, że morderca wrócił dokończyć dzieła — powiedział kapitan z namysłem.

Zastanawialiśmy się teraz jak dalej postąpić. Kapitan był za wtajemniczeniem we wszystko swoich dwóch pierwszych oficerów, przeprowadzeniem oficjalnego śledztwa, rewizji i tak dalej. Sprzeciwiłam się temu. Moim zdaniem tego będzie właśnie teraz oczekiwał Krator i na pewno przygotował się już na tę ewentualność. A wiadomo, że był sprytny. Przekonywałam kapitanowi, żeby zachowywać się tak, jakby się nic nie stało. Wzmóc jedynie pilnowanie naszej kajuty przez odpowiedzialnych i niepijących (czy znajdzie się tu takich?) marynarzy i ostro przystąpić do dyskretnych przeszukiwań kajut podejrzanych pasażerów w poszukiwaniu dowodów. Chodziło o białe róże lub miejsca, gdzie je przechowywano tak, że mogły być podkładane jako świeże.

- To jest gra, moja pani - powiedział kapitan kręcąc powątpiewająco głową. - To gra ze śmiercią.

- W zamieszaniu, jakie zrobi pan śledztwem grozi nam nie mniejsze niebezpieczeństwo. Morderca może się sprytnie pozbyć wszystkich śladów, pewnie zresztą już to zrobił. Niczego pan nie udowodni i będziemy żyć w strachu do końca podróży... w najlepszym wypadku. Trzeba go namierzyć, sprowokować i złapać na gorącym uczynku.

- Ba! — powiedział kapitan. - Tylko jak to zrobić?

Nie wiedziałam jak to zrobić. Najpierw trzeba było poznać kim jest morderca.

Luiza siedziała przy stole kapitana z twarzą bielszą od

kartki papieru.

- Najpierw zamieśmy się na kajuty - powiedziała słabym głosem. - Niech pan, kapitanie, pożycz mi na trochę swoją, a my damy panu swoją.
- To dobry pomysł, tylko na krótką metę - odrzekł kapitan.
- Akurat na tyle, ile będziemy potrzebować, żeby znaleźć mordercę.
- Jest pani optymistka - powiedział ponuro kapitan.

Do świtu przenieśliśmy wszystkie nasze rzeczy do kajuty kapitana, która była mniejsza i nie posiadała garderoby. Kapitan miał swoje rzeczy w jednym niedużym kutrze. Postanowiliśmy też podzielić się obowiązkami w stosunku do podejrzanych. Ustaliliśmy, że najbardziej podejrzany, a tym samym potencjalnie najniebezpieczniejszym jest Weiss. Przeszukaniem jego pokoju miał się zająć więc kapitan.

Długo trwało zanim ustaliliśmy następną w kolejności osobę. Kapitanowi nie podobali się Andrew i Henry. Upierał się, że nie zachowują się normalnie.

- Podobno nawet śpią w mundurach - powiedział podnosząc palec do góry.
- Ach, nie, kapitanie, to porządni chłopcy - powiedziała Luiza lecz ja zrobiłam się po tej koszmarnej nocy bardzo podejrzliwa. A może rzeczywiście? Ale przecież kochali się z nami godzinę przedtem. Nie, co za bezsens.
- Jeżeli nie oni, to z pewnością Bonetti - stwierdził kapitan.
- Czy zwracałby wobec tego łak na siebie uwagę? - zapytałam mając na myśli te jego okrzyki, ciągle opowiadanie o bólach głowy, głośne łajanie służącego.
- Możliwe. Może to robić dla zmylenia przeciwnika myśląc dokładnie tak, jak teraz pani.
- Dobrze, więc Bonetti. My zajrzemy do Bonettiego - Powiedziałam. - Najpierw jednak trzeba będzie wy badać delikatnie tego jego lokaja.

- Może ja — zaofiarowała się mimo osłabienia Luiza.
- Nie zapominaj, pani, że jesteś mężczyzna - powiedział kapitan niby pieszczotliwie, ale czuć było w jego tonie nutki zazdrości.

Nagle przysłała mi do głowy niespodziewana myśl.

- Dlaczego w ogóle nie bierzemy pod uwagę tego de Pure? - zapytałam.

- Jest za młody - rzekła stanowczo Luiza.

- A Bacon? - zawołałam. - Każdy z nich może być morderca! Kapitan podszedł do mnie z zatroskanym wyrazem twarzy i ujął mnie za rękę.

- Droga pani Elwiro... - zaczął.

- A pan? Kto powiedział, że pan nie może być Kratorem? - zaczęłam krzyczeć na kapitana. Rzeczywiście wydawało mi się, że wszyscy teraz czyhają na moje życie. Wyrwałam dłoń z rąk kapitana i rzuciłam się do drzwi.

- Daj jej pan w pysk — powiedziała flegmatycznie Luiza.

To mnie otrzeźwiło. Luiza miała rację - zaczęłam popadać w histerię i tracić zimną krew. Poprosiłam kapitana o łyk czegoś mocniejszego. Po kieliszku rumu poczułam się trochę lepiej. Poprosiłam o następny, a ten już zawrócił mi w głowie i zachciało mi się spać.

- Niech pan już idzie, drogi przyjacielu. Należy nam się odpoczynek. Jutro trzeba zabrać się do pracy.

- Proszę mi tylko obiecać, że po złapaniu mordercy będę mógł zaprosić panie na partyjkę wista - powiedział kapitan chwytając za klamkę.

Po raz pierwszy od kilku godzin poczułam się odprężona. Co byśmy zrobiły bez naszego dzielnego kapitana?

- Oczywiście, przyjacielu. Choćby dla tej partyjki warto już załatwić całą tę nieprzyjemną sprawę.

Rozdział VII

*w którym do akcji włączają się siły wyższe
w postaci straszliwej burzy.*

Niestety w ciągu najbliższych kilku dni realizowanie żądanych planów, nawet tych, które wiązały się z najpilniejszymi sprawami bytowymi, nie było możliwe. Nasz „Rainbow” dostał się w jakąś potworna, barbarzyńska burzę, pełną piorunów, ciemności, ulewnych strug deszczu zmywających wszystko z pokładu i fal wielkości katedry świętego Pawła w Londynie. Nigdy dotąd nie przeżyłam czegoś takiego i byłam pewna, że oto nadszedł mój koniec. Trzymałyśmy się kurczowo przyśrubowanego do podłogi stołu i naszych koi. Przez każdą, najmniejszą nawet szczelinę, przesączała się woda morska, czyniąc wszystko wilgotnym, ciężkim, pachnącym bliską śmiercią w odmętach wód. Luiza rozpaczała donośnie, a potem straciwszy zupełnie głos skomliła jak małe, wystraszone dziecko. Ja za to co rusz próbowałam usadzić się jakoś w miarę wygodnie i pomyśleć spokojnie nad sytuacją, w której się znalazłyśmy. Statek jednak zachowywał się tak, jakby skakał - najpierw kołysał się na boki, potem rwany jakąś nieziemską siłą wyrwał się do przodu, żeby zaraz spaść z trzaskiem łamanych masztów na wodę. Padające na pokład maszty robiły dodatkowy huk, tak iż wydawało się, że to statek roztrzaskuje się na drobne deseczki.

- Tonieeemy, tonieeemy! - krzyczał jakiś kobiecy głos zza ścian w monotonnym rytmie. Domyśliłam się, że to pani Bacon. Nie zobaczy już swoich plantacji bakunu...

Było też jeszcze coś gorszego niż te godziny spędzone w kołyszącym się piekle. Żaden z pasażerskich żołądków nie był w stanie znieść takiego traktowania, toteż większość z nas przeżyła tę burzę zajęta własnym rzyganiem. Nic przedtem nie wiedziałam o mdłościach. Teraz wiem, jak może cierpieć pusty

zupełnie żołądek zmuszony do kilkugodzinnych wymiotów. Trzydniowa egzystencja podszyta mdłościami, wszędzie i w każdej sytuacji, o każdej porze dnia i nocy.

— Zabij mnie, zabij — szeptała Luiza dając się bezwolnie przesuwac po podłodze. - Już dłużej tego nie wytrzymam.

Wiedziałam, że teraz rzeczywiście byłyśmy bezbronne i gdyby Krator nie był człowiekiem, gdyby potrafił zachować równowagę w tym rozszalałym żywiole na pewno nie miałyby żadnych przeszkód, żeby nas pozarynać jak kury.

Najlepiej w tym wszystkim radził sobie kapitan. Jego mocne przywykłe do tego typu trudności ciało opierało się dzielnie atakom wymiotów. Słyszałyśmy z góry jego tubalny głos przekrzykujący nawałnicę i wydający komendy. Znalazł też chwilę czasu, żeby przywlec się do naszej kajuty i zapytać o samopoczucie. Byłyśmy mu wdzięczne za pamięć, ale mając na względzie bezpieczeństwo statku odesłaliśmy go na górę. Kto wie czy nie lepiej było nam umrzeć teraz z ręki szaleńca niż oddać nasze ciała na pożarcie rybom morskim.

Pod wieczór pierwszego dnia tego piekła przyczołgał się do nas Falcon z paniczem Altenborough gnani jakimś instynktem stadnym właściwym wszystkim Amerykanom. Panicz zapaskudzał nam co kilka minut kajutę, a Falcon starał się nam dodać odwagi opowiadając o swoich tego typu przygodach, które zawsze kończyły się szczęśliwie. Nad ranem w naszej kajucie znalazła się też rodzina Baconów i dzielni oficerowie trzymający się kurczowo za szpady i brzuchy. Poukładaliśmy się jak worki na podłodze i leżeliśmy tak dysząc ciężko. Nikt już nie reagował na zapach wymiocin i dostającą się wszędzie morską wodę.

Niestety następny dzień był jeszcze gorszy. Pozbawiony wielu żagli statek został ponownie zniesiony w samo oko cykloni i nie pozostawało nam nic innego jak powtarzać za panią Bacon słowa modlitwy.

— Chciałbym się wypowiedać — jęczał bankier.

Widocznie miał wiele ciemnych sprawek na sumieniu.

Noc, która nadeszła była bardzo dziwna. Intensywność huraganu z malała. Teraz piekło morskie funkcjonowało jak kosztowna maszyna do kołysania i wycia. Leżąc na podłodze próbowaliśmy usnąć, nie tyle ze zmęczenia ile z chęci zapomnienia o tym nie bożym już świecie wokół. Położyłam się na ramieniu niezwykle opiekuńczego Falcona i wkrótce zapadłam w płytki niespokojny sen. Nie wiem ile spałam, bo kiedy nagle otworzyłam oczy było nadal ciemno. Ze snu wyrwało mnie uporczywie rytmiczne skrzypienie drzwi od naszej garderoby. Ktoś musiał je otworzyć (może szukał bardziej suchego kawałka podłogi) i zapomniał zamknąć. Ich skrzypienie przypominało mi trzeszczenie stawów kościotrupa - moja wyobraźnia była już nadwyrężona myślami o bliskiej śmierci. Postanowiłam jednak nie histeryzować i nie budzić nikogo. Uniosłam się na łokciach i z trudem podczołgałam się pod garderobę walcząc z wszechobecnym odruchem wymiotnym. Drzwi kołysały się miarowo w sennym zapamiętaniu. Udało mi się sięgnąć za klamkę i delikatnie je zamknąć. Już zamierzałam się wycofać na ramię pana Falcona, kiedy zdałam sobie sprawę, że trzeszczenie nie ustało. Coś trzeszczało w garderobie. Zdobyłam się na jeszcze jeden wysiłek i uchyliłam na powrót drzwi. Moje oswojone z ciemnością oczy wyłowiły z mroku szczepione ze sobą dwie ludzkie postacie poruszające się sennym acz regularnym rytmem miłości. Po krótkiej chwili w osobie leżącej na wierzchu rozpoznałam rudą głowę panicza Altenborough, a pod **spodem** leżała oczywiście jedna z pań Bacon chudymi udami dociskając do siebie arystokratyczne biodra.

„A to ci dopiero, pomyślałam ze zdziwieniem, lecz gdzie jest druga? Czyżby się rozłączyły?”. Ale nie... druga z pań leżała pod kufrem i nie domyślałam się czy już jest załatwiona czy może czeka swojej kolejki.

Obrazek ten rozpałił we mnie małą iskierkę optymiz-

mu. Jeżeli ludzie potrafią się kochać w tak niebezpiecznej sytuacji, która wprost zagraża ich życiu - jakże silny jest w nas instynkt życia. Jak pchamy się w to życie, jak domagamy się ciągłości istnienia. Nagle ta niespodziewana miłość na moim kufrze w garderobie wydała mi się czymś w rodzaju misterium, ofiary składanej rozpętanemu żywiołowi. Masz, Neptunie, te dwa złęczone ciała, uczestnicz w ich śmiałym zespoleniu, bądź raz kobietą, raz mężczyzną, dla ciebie jest to nasienie, ekstaza i odprężenie. Napatrz się na nich, popodglądaj sobie przez okienko i daj nam potem spokój. Ta miłość była też zaprzeczeniem uciekających szczurów z tonącego okrętu. Człowiek nie tylko nie uciekał, ale robił sobie prowizoryczne gniazdko, żeby z całym zapamiętaniem oddać się rozmnażaniu. Czyż rozmnażanie, miłość, seks nie są zaprzeczeniem śmierci.

Myśląc o tym wszystkim dotarłam na swoje dawne miejsce. Byłam przepełniona wdzięcznością dla panien Bacon. Poza tym, jako w pewnym sensie profesjonalistka w miłości, podziwiałam je za niespożyte siły i zdrowie. Dwie noce temu przyjęły wszak w swojej „bawialni” kilkunastu prężnych marynarzy. Nie ma to jak młodość, myślałam z odrobiną zazdrości.

Jednak nie dane mi było spać. Za chwilę z korytarza dobiegł nas wszystkich rumor i wrzask.

- Nie żyje, nie żyje! Zabiłem go, zabiłem!

Jakieś zrozpaczone czy przerażone ciało miotało się tam i z powrotem po korytarzu waląc w ściany. Za chwilę dał się słyszeć głos Kapitana, który schodził po schodach z pokładu. Teraz coś porządnie grzmotnęło i po chwili przejmującej ciszy Kapitan ryknął przekrzykując morze:

— Moja noga! złamana, złamana...

Tratując jeden drugiego rzuciliśmy się ratować Kapitana i wyjaśnić kto kogo zabił.

Przy Kapitanie klęczał zapłakany i mokry lokaj Bonettiego, ten młody chłopak, nad którym znęcał się śpiewak. Kapitan

trzymał się za kolano i zaciskał zęby. Był blady, zupełnie mokry i potwornie zły.

- Co się stało? - krzyknął Falcon i przepchnął się do przodu. Wszyscy trzymaliśmy się ścian, bo nadal nie sposób było ustać na nogach.
- Złamałem nogę - powiedział Kapitan.
- Zabiłem mojego pana - powiedział lokaj.
- Gdzie? - wrzasnął Falcon i kilka innych osób.
- W kolanie.
- W kajucie.

Część z nas instynktownie ruszyła w stronę kajuty Bonettiego, a część zdecydowała się ratować nogę kapitana. Przez chwilę wahałam się, co mam zrobić, jednak widząc Luizę z czułością pochyloną nad kolaniem dzielnego marynarza, ruszyłam z Falconem, Baconami i oficerami do przodu. Kajuta Bonettiego była za zakrętem i znaleźliśmy się tam po wyczerpującej wędrówce na czworaka lub trzymając się ścian.

Naszym oczom ukazał się straszliwy widok. Bonetti leżał na swojej koi w najdziwniejszej pozycji, jaką kiedykolwiek widziałam. Cały ciężar jego korpulentnego ciała opierał się na głowie i stopach, reszta ciała była uniesiona w górę, jak most lub łuk. Jego twarz była nabrzmiąta krwią, oczy wytrzeszczone, a usta wykrzywione w grymasie pełnym przerażenia i złości.

- Boże kochany, co mu się stało? - zapytał bankier.
 - To ja go zabiłem, to przeze mnie - jęczał lokaj.
- Falcon podszedł do koi i dotknął Bonettiego w wypięty brzuch.
- To zadziwiające - szepnął. - Jak to się dzieje, że on tak stoi? Podeszłam do chłopca i chwyciłam go za ramiona. Trząsał się cały, oczy biegały mu we wszystkich kierunkach.
 - Chłopcze, uspokój się. Musisz nam opowiedzieć co się stało. Co mu zrobiłeś?
 - Zabiłem go, zabiłem. Zawsze mówił, że go kiedyś zabiję i teraz ja go zabiłem - zawodził.

Nagle do chłopaka podszedł Bacon i uderzył go w twarz. W ci-
szy, jaka teraz zapadła usłyszeliśmy spokojny głos Falcona:

- On żyje. Tylko tak jakoś zeszywniał...

I rzeczywiście, Bonetti potraktowany solami trzeźwiącymi powo-
li zwiotczał i opadł na kolce. Potem łapczywie wciągnął wielki
haust powietrza, jakby nie oddychał od kilku godzin. Rece miał
jednak nadal sztywne, a dłonie dziwacznie powykręcane. Jego lo-
kaj szlochał teraz jak dziecko siedząc na podłodze i trzymał się
za policzek. Po chwili dowiedzieliśmy się z jego urywanego opo-
wiadania, że Bonetti popadł tej nocy w dziwny stan. Zaczęło się
od tego, że załatwił się w spodnie. Potem kazał się wziąć na rę-
ce i nosić po kajucie. Chłopiec wykonywał to wszystko bez
sprzeciwu. Był przyzwyczajony do dziwactw swojego pana. Było
mu ciężko - to jasne. Zataczał się, upadał, ale wstawał i kołysał
mistrza w ramionach. Na koniec Bonetti zażądał od swojego słu-
gi piersi. Podobno zaczął nawet seplenić: „papu, papu”. Tego
jednak jego lokaj nie mógł mu zapewnić. Poza tym wystraszył
się, że jego pan wreszcie zwariował, co przepowiadało mu po-
noć wielu ludzi. Rzucił go więc na kolę i sam zamierzał wyjść
na korytarz. Wtedy jego pan zaczął się rzucać, jak złowiona ry-
ba, aż w końcu zeszywniał bez ruchu w tej zdumiewającej pozy-
cji, w której zastaliśmy go.

- To jest przypadek pewnych rodzaju niedyspozycji nerwowych
- zawyrokował Falcon. - Przejdzie mu. Nie martw się chłop-
cze — zwrócił się do zapłakanego lokaja - nie ma tu żadnej two-
jej winy. Chodźmy...

- Ja z nim zostanę - zaofiarowała się pani Bacon.

- Zatroszczyłabyś się o swoje córki - **powiedział** niezadowolony
z tego bankier.

Z ulgą zauważyłam, że kołysanie statku stało się mniej
dokuczliwe, a ponadto szary świt zaczął się powoli przesączać
przez małe okienka. Z drugiej strony miałam już prawie pew-
ność, że Kratorem jest Bonetti. Był nienormalny, czy to nie wy-

starczało? Musiałam znaleźć dogodną chwilę i powiedzieć o tym Kapitanowi. To dobrze wiedzieć, z której strony nastąpi uderzenie.

Moja kajuta wyglądała jak szpital polowy. Na jednej koi leżał Kapitan z zabandażowaną po pachwinę nogą. Na drugiej... pani de Pure, przy której klęczał trzymając ja za rękę jej młody małżonek.

- W ich kajucie jest wody po kostki, a ona uderzyła się jeszcze w głowę - wyjaśniła mi szeptem Luiza.

Pełna współczucia podeszłam do tej milczącej, dziwnej pary. Madame miała zamknięte oczy i wyglądała jakby była bliska śmierci. Teraz widziałam ją z bliska. Była jeszcze paskudniejsza niż się spodziewałam. Długi, ostry nos wystrzelał w powietrze jak lufa dwururki. Policzki były ogorzałe, pomarszczone i zapadnięte. Peruka lekko zsunęła się z czoła odsłaniając żółte, rzadkie i poklejone włosy. Jej pierś była płaska, niczym u mężczyzny, talia szeroka choć nie tłusta. Spod szeroko marszczonej, eleganckiej sukni wystawały duże kościste stopy w męskich skarpetkach. Zupełnie przemoczonych.

- Już wraca do siebie - powiedział nagle młody małżonek me oglądając się.

- Całe szczęście.

Widocznie spodziewał się kogoś innego za swoimi plecami, bo usłyszawszy mnie odwrócił się.

- Tak mi przykro, że musimy panią niepokoić, ale nasz pokój jest kompletnie zalany wodą - powiedział ze sztucznym uśmiechem.

- Ależ proszę sobie nie robić wyrzutów. Jestem szczęśliwa, że mogę państwu pomóc.

Moja kajuta stała się też punktem dowodzenia. Mimo, że padał jeszcze rzęsy deszcz i wiała wichura, to jednak było już jasne, że najgorsze za nami. Jeżeli statek wytrzyma zniszczenia... Ładownia była w poważnym stopniu zalana. Woda była

też w wielu kajutach. W złym, jak zrozumiałam z rozmów kapitana z drugim oficerem, stanie było ożaglowanie. Z tego powodu podróż mogła się znacząco wydłużyć.

Postanowiłam wykorzystać zamieszanie na statku i porozglądać się. Nie zawołałam ze sobą Luizy. Była zbyt zajęta pomocą w szpitalu polowym. Niektórzy, niewtajemniczeni, kierując się jej męskim przebraniem chcieli, żeby pomagała im a to coś przenieść, to pompować wodę, albo i łyknąć prosto z butelki łyk rumu. Wreszcie Kapitan zaopiekował się nią, tak jak ona przedtem nim.

Wyszłam na korytarz trzymając się ścian. Ostrożnie wspięłam się na pokład. Ostre strugi deszczu uderzyły mnie w twarz. Mimo poranka niebo było wciąż ołowiane i napęczniałe deszczem. Gdzieś przy horyzoncie zobaczyłam jasny pasek czystego nieba. Był nie grubszy niż wstążka. Okutani marynarze mocowali się z Inianu. Słychać było przekleństwa i pokrzykiwania. Byłam już pewna, że najgorsze się skończyło. Przebiegłam myślami całe te koszmarnie dwa i pół dnia i nagle zdałam sobie sprawę, że przez cały ten czas nie widziałam Weissa. Co się z nim stało? Może został zmieciony któraś z pierwszych tal i nikt tego nie zauważył. Może kryjąc swoje mordercze zamiary szykował się do podłożenia trzeciej róży i zginał idąc do mnie rzucony o ścianę? A może był niewinny i umarł w samotności w swojej kajucie? Albo żyje i potrzebuje **pomocy**? Trudno mi było myśleć o żurnaliście jako człowieku niewinnym. Teraz jednak na pierwsze miejsce na liście podejrzanych wysunął się Bonetti. Z niesmakiem przypominałam sobie jego ciało wygięte w łuk. Zawróciłam i na palcach, podtrzymując się ścian zbliżyłam się do drzwi kajuty Weissa. Przyłożyłam do nich ucho. Było cicho. Słyszałam tylko odgłos popluskującej gdzieś wody. Starając się nie zrobić żadnego hałasu przekręciłam gałkę w drzwiach. Były otwarte. W pokoju był półmrok i kilka cali wody na podłodze. Pływały w niej różne przybory codziennego

użytku: włosiany pędzel do golenia, pióro do pisania, rozmokły papier, jakieś pudełeczka, części garderoby. Ośmieliła mnie cisza panująca w kajucie więc weszłam ostrożnie do środka. Dopiero teraz zobaczyłam, że do belek sufitu przywiązana jest wielka siatka. W siatce tej jak w kokonie spał żurnalista Weiss, a kiedy chciałam się cicho wycofać spod sufitu doleciał mnie miły męski głos z obcym akcentem.

- Jaka tam dzisiaj pogoda?

Rozdział VIII

*którym zbieram informacje i prowadzę śledztwo na własną rękę
w całkiem przyjemny sposób.*

Postanowiłam grzecznie się wycofać.

- Wypogadza się. Przepraszam, że pana obudziłam. Chciałam sprawdzić czy nic się panu nie stało. Do widzenia.

Weiss zwinnym ruchem wyskoczył z hamaka zanim zdążyłam się odwrócić.

- Ach, niech pani nie odchodzi. Nie mieliśmy okazji być sobie przedstawieni, więc, korzystając z okazji, chciałbym to teraz uczynić. Weiss. Arnold Weiss, pani wielbiciel.

Oparłam się o drzwi. Wpadłam. To był już koniec. Tylko dlaczego nie mówił wysokim głosem?

- Skąd... skąd pan mnie zna? Nie sędzę, żebym pana wcześniej spotkała. Weiss zrobił jeszcze jeden krok i teraz stał ze mną twarzą w twarz.

- Była pani kiedyś szeroko znana... Stare czasy. Ile to czasu minęło? dziesięć lat, może jedenaście? Jesteś, Fanny, jeszcze piękniejsza.

Odwróciłam się i złapałam za gałkę u drzwi. Przytrzymał je ręką.

- Pan mnie musiał z kimś pomylić, drogi panie. Przepraszam pana, już wychodzę - powiedziałam i szarpnęłam za gałkę.

- Zaraz, zaraz. Nie wypuszczę cię tak łatwo. Pamiętaj, że sama do mnie przyszłaś. - Patrzył na mnie brązowymi, mokrymi oczyma. Jego wargi drżały.

- Będę krzyczeć - syknęłam i przygotowywałam się do obrony.

- Kapitan wie, że tu jestem.

- Proszę się uspokoić. Nie chcę ci zrobić nic złego. Chcę trochę porozmawiać. Może usiądziemy?

- Chcę wyjść.

- Skoro tak pani nalega, to proszę bardzo - nagle zmienił ton i odsunął się ode mnie.

Otworzyłam drzwi i już byłam jedną nogą na zewnątrz, kiedy Weiss nagle powiedział:

- Wiem kto zaniósł pani róże.

Zamarłam i zaraz potem cały strach i gniew na tego szaleńca uwolniły się ze mnie.

- Jasne, że wiesz, ty nikczemniku - wrzasnęłam i chwyciłam się framugi, bo statek znowu zakołysał się mocniej. - Jasne, że wiesz, bo ty sam podkładałeś mi to zielsko! Myślisz, że się ciebie boję? Patrz, jak mnie wystraszyłeś! — trzasnęłam go w twarz z całą siłą, na jaką mnie było stać.

- Ależ... - jęknął i złapał się za policzek.

- A masz! - rąbnęłam go teraz pięścią w brzuch. Zgiął się i popatrzył na mnie ze zdziwieniem. - A masz, a masz! - waliłam go teraz równo, gdzie popadło. Ośłaniał się niezdarne rękami.

- Nie chcę się z tobą bić. Chcę się z tobą kochać - udało mu się wreszcie powiedzieć.

- Kochać? Ty zboczeńcu, cóż ty wiesz o miłości? Ty zakłamanym pedale! - krzyczałam nie przestając uderzać. Właściwie to mogłam sobie już spokojnie wyjść, ale ogarnęła mnie istna furia. Brodziliśmy w wodzie, moja suknia była od dołu cała mokra, ciągnęła się za mną krępując mi nogi. Wreszcie udało mu się schwycić mnie za rękę. Zebrał się w sobie, szarpnął i podniósł mi je do góry. Pchnął mnie w kierunku otwartych drzwi, zamknął je kopniakiem i oparł mnie o nie.

- Nie wiem o co tu chodzi, ale powiem ci wszystko od początku do końca. Róże podkładał ci de Pure.

- Kłamiesz, morderco - krzyknęłam mu w twarz.

Naparł na mnie brzuchem i przycisnął mocniej do drzwi.

- Od początku wiedziałem kim jesteś. Pamiętam cię sprzed dziesięciu lat. Byłem wtedy biednym studentem i nie miałem szans. Marzyłem o tobie całe życie. Kiedy się dowiedziałem, że wróci-

łaś, postawiłem wszystko na jedną kartę. Widziałem cię w Operze i postanowiłem, że dopnę swego. Śledziłem cię. Wyśledziłem wszystko, również to, że kupiłaś bilet na ten statek. Tu zamierzałem cię zdobyć, miałem swój plan, ale najpierw wolałem się poprzyglądać. Wiem wszystko o tobie, wiem kto do ciebie przyszedł i po co. Widziałem też jak dwukrotnie ten de Pure przynosił ci białą różę. Sądziłem, że też jest twoim wielbicielem. Zresztą, gdybym miał taką żonę jak on... Skoro przyjął kapitana i tych dwóch oficerów, przyjąłabyś i mnie. Czekałem na sposobność, przygotowywałem się, ale ta burza pokrzyżowała wszystkie plany. Postanowiłem przeczekać. - Nagle uścisk Weissa zelżał. — A ty po prostu tu dzisiaj weszłaś... i zachowujesz się jak drapieżna tygrysyca zamiast pokazać mi „jeleni skok”, „żabkę”, „nożyce” i inne twoje numery.

- Nigdy - krzyknęłam i próbowałam odsunąć się od niego. Staliśmy na przeciwko, dysząc i mierząc się wzrokiem. W jego oczach było pożądanie, czyste, intensywne pożądanie. Poczułam zapach jego potu i gorący oddech na twarzy. I nagle stało się coś dziwnego. Uwierzyłam mu. Nie wiedziałam kim jest, to, co mi powiedział było za mało, a jednak czułam, że nie mógł być Kratorem. Krator nie był mężczyzną... nie w tym sensie. Tutaj stał przede mną mężczyzna, który mnie po prostu pożył. Coś musiało zmienić się w wyrazie mojej twarzy, bo Weiss puścił mnie. Nie opuszczając ze mnie wzroku ujął moją twarz w swoje dłonie i zaczął całować. Niezdarnie szarpnęłam się, jakbym chciała się uwolnić, ale... już nie chciałam. Ze zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że jestem podniecona tak samo jak on. Nasze usta wpiły się w siebie, zetknęliśmy się zębami i językami. Jego ręce wędrowały po moich piersiach i biodrach, ścisnęły mnie w talii. Boże, chciałam tego... Zarzuciłam mu ręce na szyję, a on wepchnął swoją nogę między moje kolana. Całował mnie teraz po szyi i ramionach.

- Chcesz tego, wiem, że tego chcesz... - szeptał namiętnie.

Chciałam. Nie protestowałam, kiedy ukląkł przede mną i jedynym ruchem zerwał ze mnie przemoczona spódnice.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż przypuszczałem - powiedział patrząc na **mnie** z dołu. Potem delikatnie rozszerzył palcami moje nabrzmiałe i wilgotne płatki i zagłębił tam język. Jęknęłam opierając się barkami o drzwi. Zanim jeszcze zaczęło mi być wszystko jedno, przekręciłam w zamku klucz. Pieszczoty Weissa były cudowne, traciłam oddech i po chwili odzyskiwałam go na nowo. Jego usta wyczyniały z moją cipką cuda: lizały mnie, leciutko kasały, ssały. W końcu gorący język zaczął badać uważnie wejście do środka. To mnie rozpałało do granic wytrzymałości, było jak słodka tortura.

- Już - szeptałam - już wejść nie męcz mnie.

Weiss był jednak twardym facetem. Teraz włączył do akcji palce. Pocierał mnie i masował, pociągał i tarł. Wydawało mi się, że między nogami mam pożar. Kiedy myślałam, że już naprawdę nie wytrzymam, Weiss nagle przestał. Patrzył na mnie wzrokiem zwycięzcy. Szybko rozbierał się mówiąc:

- Co mi najpierw pokażesz, pani? Jaka sztuczkę masz dla biednego żurnalisty?

Są takie chwile w miłości, gdy przestaje być zupełnie ważne JAK, a liczy się tylko, żeby już się działo. Ruch, tarcie, rozpychanie, praca biodrami... Teraz była taka chwila. Teraz zrobiłabym wszystko, co tylko by mi kazał, a on stawiał warunki. Stałam na drżących nogach i patrzyłam zachłannie na jego sterzący prawie pionowo, pięknie ukształtowany organ. Przypominał mi laskę Eskulapa: długi, lecz niezbyt gruby za to opleciony fioletoowymi żyłami. Musiał być cudowny. Chwyciłam go całą dłonią i ważyłam go w ręku. Kucnęłam biorąc go do ust. Teraz ja ci pokażę szkołę, pomyślałam i zaczęłam go ssać jednocześnie pieszcząc trzon ręką. Weiss wypiął do przodu biodra, zamknął oczy i pobladł gwałtownie. Drugą ręką chwyciłam jego zwisający woreczek i ugniatałam go delikatnie do rytmu. Wiedziałam,

że nie mogę przesadzić i dać mu tak skończyć. Nie znałam go i nie wiedziałam czy należy do tych, którzy mogą zaraz dalej czy też do tych, którzy potrzebują czasu, żeby podreperować siły. Nie miałam czasu. Poza tym zimna woda z podłogi obmywała moje pośladki i chłodziła moją rózę. Zatrzymałam się więc i zostawiłam kusia pana Weissa na pastwę losu. Otworzył oczy rozczarowany.

- Do „jeleniego skoku” brakuje nam fotela, a do „żabki” jest za mokro — powiedziałam. - Jako trzecie w kolejności wymieniłeś pan „nożyce”. Niech więc będą „nożyce”.

Podstawiłam sobie sporą walizę pod drzwi. Usiadłam na niej opierając się samymi barkami o framugę. Nogi uniosłam wysoko, złączone i proste jak świeca. Weiss widział teraz moją małą dziurkę zerkającą na niego zapraszająco. Wpatrywał się w nią zahipnotyzowany i małymi kroczkami (u stóp majtały mu się spodnie) brodził do mnie przez wodę.

- Pokaż co umiesz - powiedziałam i rozłożyłam teraz nogi na obie strony. Moja piśka cmoknęła wyczekująco.

Weiss ugiął nogi i... od razu trafił w dziesiątkę. Poczuałam go w sobie i jednym mchem bioder wepchnęłam się na niego do końca. Trwaliśmy przez chwilę w bezruchu czerpiąc czystą przyjemność płynącą z tego naturalnego spotkania się części, które zostały do siebie stworzone. Potem Weiss zaczął się powoli wsuwać i wysuwać, aja w tym rytmie łączyłam i rozkładałam na boki nogi. Kiedy pchał, moje złożone nogi zaciskały cipkę, kiedy wyciągał, cipka się rozluźniała. Każdy więc ruch był dla mężczyzny przepychaniem się, zdobywaniem, dozwalaniem gwałtem.

- Jakie to proste i jakie cudowne - rzekł przez zęby żurnalista dzielnie pracując biodrami.

Byliśmy jak maszyna: on napierał na mnie członkiem, ja machałam mu przed nosem nogami.

Mając głowę przy samych drzwiach usłyszałam nagle pluskanie wody i kroki. „Falcon”, pomyślałam, „czy on ma jakiś

szósty zmysł?" Rzeczywiście to był Falcon. Zapukał i nie czekając na odpowiedź krzyknął przez drzwi:

- Czy nie było u pana madame Elwiry? Szukamy jej wszyscy.
 - Ach, madame Elwiry? - zdziwił się Weiss nadal pracując równo i rytmicznie. - Była jakiś czas temu, ale już poszła. Przepraszam, że nie otwieram panu, mister Falcon, ale nie jestem w formie.

- Rozumiem - odrzekł współczująco Falcon i odszedł od drzwi w głąb korytarza. Weiss przyśpieszył, jakby chciał nadrobić stracony czas. Zaczęłam czuć mrowienie w kręgosłupie.

- Ależ jest pan w formie.

Weiss nagle wyszarpnął roztańczonego fiuta i jednym ruchem odwrócił mnie na brzuch. Chwycił w dłoń swój organ i zaczął mnie nim okładać po pupie.

- Nie teraz, nie teraz, włóż go z powrotem - krzyknęłam nie martwiąc się, że może mnie słyhać na korytarzu.

Posłuchał mnie i włożył go we mnie z takim impetem, że straciłam oddech. Nic nie pozostało z jego poprzedniego opanowania. Walił mnie jak ogier. Zanim się zorientowałam moja cipka odpowiedziała na ten szaleńczy rytm i już było po wszystkim. Weiss osunął się w wodę, a ja leżałam przerzucona przez walizę jak stara, przemoczona suknia.

Musiałam wyglądać okropnie, kiedy wróciłam do kajuty. Wszyscy niepokoili się o mnie.

- Co się pani stało? - zapytał kapitan patrząc ze strachem na moją zupełnie moką spódnicę, potargane włosy i poszarpany stanik.

- Rzuciło mną i spadłam ze schodów - skłamałam zachowując całkowitą pewność siebie.

Luiza zaczęła dawać mi oczyma znaki, żebym wyszła z nią do garderoby.

- Boże, co ci się stało, Fanny? Napadł cię?

- Któż by mnie miał napadać?

- Krator!

- Ach nie. Nic się nie stało, ale jestem pewna, że Weissa możemy wykluczyć z wszelkich podejrzeń.

Oczy Luizy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Jak to wykluczyć? Gdzie ty byłaś?

Zaczęłam zdejmować z siebie mokre ubrania. Luiza patrzyła na mnie jak na osobę szalona i nagle pstryknęła palcami w powietrzu i roześmiała się.

- Byłaś u Weissa, tak?

- Tak.

- I co? No powiedz - domagała się Luiza pomagając ściągnąć mi przez głowę bieliznę.

- Weiss jest zupełnie normalnym facetem... Sprawdziłam to. Natomiast wiem, kto przyniósł nam róże.

- Kto?

- De Pure. Weiss widział go dwukrotnie.

- To niemożliwe, to nie może być on - Luiza zniżyła głos. - Jest za młody i mogę przysiąc, że to nie jego słyszałam w Londynie. Musiał go ktoś poprosić o to. Może nawet sam Weiss i...

- Nie sądzę, żeby żurnalista był w to zamieszany, Luizo.

- Fanny, jaka ty jesteś naiwna. Weiss przyparty do muru może rzucać podejrzenia na każdego.

Luiza mogła mieć rację, ale ja teraz byłam pewna, że Weiss jest niewinny.

- Byłam z nim przez godzinę. Mógł mnie zabić, kiedy tylko chciał...

- Nie musisz mówić nic więcej. Wiem wszystko - przerwała mi Luiza. - Mogłaś mnie ze sobą zabrać - dodała po chwili z nutką żalu w głosie.

Burza przeszła, jednak rzęśisty deszcz padał jeszcze przez dwa dni. Jedyne czego nam brakowało teraz, to odrobiny suche-

go miejsca i suchej odzieży. Statek wyglądał strasznie: połamane maszty, podarte żagle, zniszczony ster. Kapitan nie ukrywał, że jesteśmy zdani na pastwę prądów morskich. „Rainbow” był nieuchronnie znoszony na południe. Najważniejsze było jednak, że nikt specjalnie nie ucierpiał, ani z pasażerów, ani z załogi, nie licząc, oczywiście kapitana i jego kolana. Powodowani zrodzoną z tych trudnych warunków solidarnością wzięliśmy się wszyscy do pracy. Gdy pokład trochę obesechł zrobiliśmy na nim małe zebranie i sprawiedliwie rozdzieliliśmy między siebie pracę. Trzeba było połatać żagle, ponaprawiać wszystko to, co dało się naprawić, wypompować wodę z kajut i ładowni. Zniknęły na ten czas różnice stanu i portfela. Pani Bacon, jej córki i ja zostałyśmy przydzielone brodatemu marynarzowi, który nauczył nas szycia żaglowego płótna grubymi jak palec igłami. Luiza, jako mężczyzna, ciężko pracowała wynosząc wiadrami wodę spod pokładu. Obaj oficerowie naprawiali barierki, a Weiss, de Pure i lokaj Bonettiego czyścili pokład z wodorostów i innego morskiego paskudztwa. Fachowymi robotami zajmowali się marynarze. Bankier narzekając na serce pomagał Luizie. Oszczędzano tylko panią de Pure i Bonettiego. Falcon z paniczem Altenborough pościgali wytworne koszule i trudno ich było odróżnić od zwykłych morskich wilków.

Nasz dzielny kapitan przysposobił sobie ze złamanego masztu spory kij, który służył mu za laskę. Jej stukanie rozlegało się wszędzie, a w miarę jak sytuacja wydawała się być coraz bardziej opanowana, dochodziło najczęściej spod pokładu. Luiza skarżyła się, że kapitan wyraźnie stara się być, gdzie ona, żeby nie przepuścić okazji do uszczypnięcia jej w opięty spodniami tyłeczek. Mnie za to śledził zewsząd rozanielony, namiętny wzrok żurnalisty. Te same oczy, ale już uważne i podejrzliwe, nie przepuściły żadnego ruchu panu de Pure. Najwyraźniej Weiss postanowił włączyć się do grona detektywów. Uświadomiłam sobie, że w obecnej sytuacji detektywów było więcej niż podejrzanych.

Mogłam się już pokusić o pewien bilans. Oto następujące osoby zostały przez nas sprawdzone: kapitan, obaj oficerowie, Weiss. Było to sprawdzenie bezpośrednio. Następujące osoby były sprawdzone pośrednio poprzez sam fakt bycia kobietą: Pani i panny Bacon oraz pani de Pure. Zostawali: Bankier Bacon, pan de Pure, Falcon, Altenborough, Bonetti i jego lokaj. Z tych ostatnich wykluczyłabym z pewnością lokaja Bonettiego i panicza. Byli za młodzi. To samo powiedziałabym o panu de Pure. Ten miał na dodatek swoją okropną, ale za to prawdziwą żonę. Głos serca, który może z punktu widzenia prawdziwego detektywa nie może być żadną przesłanką, mówił mi, że z kręgu podejrzanych trzeba wykluczyć Falcona. Ten człowiek mnie lubił i szanował, to się czuło. Ponadto był Amerykaninem. Było mało, naprawdę bardzo mało prawdopodobne, żeby mnie znał z wcześniejszych czasów. Nie... podejrzewać Falcona było szaleństwem. Pozostawał więc Bankier Bacon i cherlawy Bonetti.

Bacon, z racji swej pozycji, mógł należeć do sfer męża Luizy. Był też w wieku, kiedy starzającemu się i tracącemu swą potencję mężczyźnie przychodzą do głowy różne głupie pomysły mające głównie na celu usprawiedliwienie grzechów młodości. Mając na dodatek dwie tak paskudne latorośle, mógł Bacon nabrać niechęci do rodzaju kobiecego. Może zdawał sobie sprawę, co wyprawiały jego córeczki z ogrodnikiem. Może nudziło mu się z nudną, otyłą żoną. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Bacon mógł być Kratorem. Bez trudu udałoby się mu namówić de Pure'go na zanieśenie róży. „Wie pan, dla pani Elwiry. Nie chcę, żeby żona się domyśliła”, tak mógł mu powiedzieć, a de Pure wykonać nie zdając sobie w ogóle sprawy, że niesie biały zwiastun śmierci.

Jeżeli chodzi o drugiego podejrzanego, to przede wszystkim nasuwało się przypuszczenie, że Bonetti udaje. Udaje, żeby zmylić wszystkich dookoła. Któż będzie podejrzewał chorego, zniewieściałego śpiewaka. Od Bonettiego biło poza tym coś nie-

miłego, coś, czego nie lubiłam i czego starałam się unikać. Sama nie wiedziałam co to jest. Może jakiś rodzaj uwiądu, zepsucia i miernoty. Jeżeli odczucie ma jakakolwiek wartość detektywistyczną, to w taki intuicyjny sposób ofiara może się bronić przed kontaktem z mordercą.

Przedstawiłam tok mojego rozumowania Luizie, a ona z grubsza zgodziła się z nim. Uznałyśmy, że przede wszystkim trzeba uważać na Bonettiego. Na drugim miejscu postawiłyśmy Bacona (Luiza miała większe niż ja opory, żeby sytuować go aż tak wysoko), a następnie (jednak) de Pure'ego. Leżąc na kojach w wilgotnej wciąż jeszcze kajucie i dmuchając na obolałe dłonie - ja od igły, Luiza od noszenia wiader - zastanawiałyśmy się cały wieczór w jaki sposób wziąć się za sprawdzenie Bonettiego. Nie było mowy o zwyczajnym przeszukaniu jego kajuty, bo śpiewak od czasu burzy nie ruszał się z niej. Myślałyśmy, żeby po prostu dobrze przepytać lokaja, co nie zaszkodziłoby nawet gdyby nie był on wtajemniczony w ciemne sprawy swojego pana. Nie zdążyłyśmy już tego wieczoru wymyśleć nic konkretnego. Wydarzenia ostatnich dni dały się nam we znaki, toteż sen przyszedł nadzwyczaj niespodziewanie. Przez całą noc śniły mi się kwitnące rododendrony w moim Hatcliff.

Rozdział IX

w którym mam okazję przyglądania się temu, co porabiają inni oraz użyć swoich pedagogicznych umiejętności.

Często bywa, że w sytuacjach nagłych, wymagających szybkiego wymyślenia jakiegoś rozwiązania, pomysłowość ludzka zawodzi, ale za to z pomocą jej przychodzi sama rzeczywistość. Tak było i tym razem.

Dzień, który przyszedł zatarłby swoją urodą wszelkie wspomnienia o burzy, gdyby nie widome oznaki bałaganu i zniszczenia na statku. Od rana było ciepło, słonecznie i spokojnie. Zaraz też po śniadaniu przystąpiliśmy bez narzekań do pracy przy żaglach. Plotkowałyśmy sobie po kobiecemu, a z góry dochodził nas rytmiczny śpiew marynarzy. Pani Bacon zwierzyła mi się ze swojej chęci zaopiekowania się „tym nieszczęsnym artystą” mając na myśli, oczywiście, Bonettiego. Uprzejmie wsparłam ją w tym szlachetnym zamiarze, bo widziałam, że ta poczciwa kobieta jest nim w jakiś sposób zafascynowana. Rzeczywiście, Bonetti mógł być zupełnym przeciwieństwem jej przyziemnego męża. Tej kobiecie też coś się należało od życia. Ufałam jej całkowicie i zdawałam sobie sprawę, że jej obecność przy śpiewaku może pokrzyżować mu ewentualne nieczne zamiary wobec mnie. Z drugiej strony jej także mogło grozić niebezpieczeństwo. Bo jeżeli Bonetti okaże się być tym szalonym Kratorem...

W południe upał zrobił się tak wielki, że nie sposób już było wysiedzieć pod otwartym niebem. Została zarządzona sješta i wszyscy pochowaliśmy się w kajutach. Jeszcze przez jakiś czas na korytarzu i na górze, na pokładzie, rozlegały się kroki, a potem zrobiło się zupełnie cicho. Najlepiej jest przecież przespać upał. Położyłam się i ja, z ulgą uwalniając, spocone ciało ze zbędnej odzieży. Luizy nie było, ale spodziewałam się, że zaraz wróci i zrobi dokładnie to samo, co ja. Luiza rzeczywiście przy-

szała zaraz i kazała mi się szybko ubierać.

- Chodź szybko, jest okazja, żeby sprawdzić Bonettiego. Pani Bacon opiekuje się nim teraz.

- Hej, czekaj! Jak zamierzasz tam wejść? - pytałam ubierając się w pośpiechu.

- Andrew mi pokazał. Szybko!

Przebiegłyśmy jak duchy nieduży korytarz i Luiza pewnie otworzyła drzwi do kajuty oficerów, która sąsiadowała z kajutą Bonettiego. W środku byli podekscytowani Andrew i Henry.

- Patrz, patrz - szeptała Luiza i popchnęła mnie do szerszej niż inne szpary w drewnianej ścianie.

Posłusznie przyłożyłam do niej oko i zobaczyłam widok, jakbym spoglądała z szafy pełnej ubrań. W pierwszej perspektywie widziałam kufry, surduty niedbale rzucone na podłogę i poniewierające się wszędzie jedwabne pończochy i inne akcesoria stroju wielkiego artysty. Dalej, za otwartymi drzwiami była właściwa kajuta Bonettiego oświetlona dość dobrze słonecznym blaskiem. Dokładnie na wprost drzwi znajdowała się zamieniona w wygodną kanapę koja Bonettiego, na której leżał artysta. W nogach kanapy siedziała pani Bacon z zaczerwienionymi policzkami i obnażonym dekoltem. Właśnie trafiłam na moment, gdy rozpinała Bonettiemu rozporek.

Ponaglona delikatnym dotknięciem ustąpiłam miejsca innym ciekawym, jak też rozegra się to miłosne tete a tete, sama zaś rozglądałam się ciekawie po pomieszczeniu próbując zrozumieć tę niespodziewanie wynikłą możliwość zagładnięcia do kajuty naszego podejrzanego. Okazało się, że kajuta oficerów była jakby lustrzanym odbiciem kajuty Bonettiego, ale że przeznaczona dla dwóch osób, nie posiadała garderoby, była za to większa. Z Bonettim graniczyła przez jego garderobę. Ścianka dzieląca oba moduły była prowizoryczna, jak zresztą wiele rzeczy na statku. Jak łatwo można było ją rozebrać udowodnił nam za chwilę Henry, który kładąc palec na ustach delikatnie powyciągał drew-

niane kolki i... wyjął całą deskę. Teraz bez trudu cała nasza czwórka mogła przyglądać się harcom tej dziwnej pary.

Bonetti leżał jak nieżywy, gdy pani Bacon manipulowała mu w okolicy krocza. O tym, że żyje świadczyło rytmiczne, trochę przyspieszone poruszanie się sporego brzucha. Pani bankierowa zbliżyła twarz do ucha śpiewaka i coś mówiła. Niestety z tej odległości nie sposób było zrozumieć, co szeptała. Małe, pulchne dłonie artysty zaczęły zaciskać się na drewnianej krawędzi koi, a z jego ust dobył się wyraźnie słyszalny jęk. Pani Bacon wróciła do przerwanej roboty, ale teraz przesłoniła sobą całą widok. Ręce jej jednak poruszały się szybko aż do ramion. Widać było, że ta niemłoda już kobieta wkłada całą siebie w to, co robi.

Widząc, że ci dwoje będą jeszcze zajęci przez jakiś czas, wpadłam na świetny pomysł. Szepnęłam mianowicie na ucho Luizie, żeby - jako drobniejsza - precyzyjnie się cichutko do garderoby sąsiada i rzuciła okiem na jego rzeczy. Jeżeli białe różę lub cokolwiek innego wskazującego na związek z planowaną zbrodnią miałyby się znajdować w posiadaniu artysty, trzymałby to zapewne właśnie w zagraconej garderobie. Luiza z trudem przeszła przez dziurę i ostrożnie zaczęła myszkować w rzeczach Bonettiego.

Tymczasem pani Bacon zmieniała taktykę i teraz pochylała się nad biodrami Bonettiego twarzą. Domyślaliśmy się, co mogła robić. Trwało to dość długo, a jednak sytuacja nie posuwała się ani na krok do przodu. Kobieta oderwała się na chwilę od tego męczącego zajęcia, żeby nabrać tchu i odsłoniła żałośnie sflaczały organ swojego idola. Z mimowolnie podzielanego z nią żalu wyrwało mi się westchnienie rozczarowania. Lecz pani Bacon nie zniechęciła się. Zadarła teraz suknię i usiadła okrakiem na smutnym ptaszku włoskiego śpiewaka. Wprawnie kręciła biodrami, a nam wydawało się, że słyszymy odgłos pocierania się o siebie nagich ciał. Bonetti nadal nie otwierał oczu, a wyraz je-

go twarzy stał się szczególny: wyglądało jakby cierpiał. Nagle, ni stąd ni zowąd, tenor zerwał się i z siłą, o którą go nie podejrzewaliśmy, umieścił panią Bacon pod sobą zarzucając jej spódnice na twarz. Kobieta krzyknęła z zaskoczenia i nagłej nadziei. Wyglądało to, jakby Bonetti zdecydował się zgwałcić bankierową. Po chwili zorientowaliśmy się, że najprawdopodobniej nic z tego nie wyjdzie. Bonetti usiłował wepchnąć się w leżącą przed nim wyczekująco dziurę. Pomagał sobie jedną ręką, potem drugą, majstrował coś, pociągał. Był to smutny widok, więc odwróciłam wzrok. Za to oficerowie patrzyli na te z góry skazane na niepowodzenie potyczki z satysfakcją. O tak, samiec zawsze z przyjemnością przygląda się przegranej drugiej samca. Wszakże są potencjalnymi rywalami.

Luiza przeszukała z grubsza wszystko, co było możliwe i nigdzie nie natrafiła na jakikolwiek ślad przechowywania przez Bonettiego żywych kwiatów, broni, trucizny. Nic. Większość rzeczy Bonettiego stanowiły ubrania w tym całe mnóstwo ubrań zimowych. Czyżby śpiewak wybierał się na jakieś koncerty na Biegun? Luiza właśnie szykowała się do powrotu przez szparę, kiedy na łóżku Bonettiego zaczęło się coś dziać. Szybko spojrzalam w tamtą stronę i zobaczyłam Bonettiego szarpiącego zębami koronkowe halki pani Bacon. W jego oczach była wściekłość i bezsilność. Delikatne, artystycznie splecione niteczki trzaskały i darty się na strzępki. Były to drogie, flamandzkie koronki i chyba właśnie tego nie mogła znieść bankierowa. Być może obudziło się w niej praktyczne, przyziemne myślenie według którego to, co jej dawał Włoch nie było warte ceny koronek. Wyrwała się spod niego niczym młoda dziewczyna i wyszarpnęła mu z ust halkę. Bonetti został z kawałkiem materii w zębach i partrył na niedoszłą kochankę z takim bólem, że ta natychmiast mu przebaczyła to zniszczenie.

- Dlaczego, dlaczego? - krzyknął Włoch i uderzył pięściami w drewnianą ścianę akurat w tym miejscu, gdzie z drugiej stro-

ny stała przestraszona Luiza. - Dlaczego jestem tak nieszczęśliwy, tak chory? Dlaczego mi, pani, nie współczujesz, tylko wyciągasz ze mnie ostatnie siły?

Pani Bacon była bliska płaczu i według mnie powinna w tym momencie wyjść. Ona była jednak prawdziwą dojrzałą kobietą i powodowało nią coś więcej niż pożądanie. Rzuciła się do Włocha i zaczęła go uspokajać. Odepchnąwszy ją i przemierzając z niezadowoleniem kajutę w tę i z powrotem. Jeżeli przyjdzie mu do głowy wejść do klitki, gdzie była Luiza, odkryje dziurę i nas go podglądających. Trzeba było działać. Porozumiałam się wzrokiem z Henrym i zrozumieliśmy się w lot. Oficer wyszedł na korytarz i za chwilę usłyszeliśmy pukanie do kajuty śpiewaka.

- Maestro - usłyszeliśmy zza drzwi - czy nie zechciałby pan zagrać z nami w tryk traka? Jesteśmy obok w naszej kajucie i poszukujemy partnera...

Bonetti zamarł. Przez chwilę pomyślałam, że każde się schować bankierowej w garderobie i w ten sposób nasz podstęp obróci się przeciwko nam, ale śpiewak szybko się zorientował, że nie musi otwierać drzwi.

- Och, nie - powiedział. - Nie czuję się najlepiej. Może kiedy indziej.

W tym czasie Luiza zdążyła bezpiecznie przycisnąć się przez szczelinę, a Andrew szybko przystawił deskę na swoje miejsce. Przedstawienie było skończone.

- Nic tam nie ma - powiedziała Luiza zdyszana. - To nie on.

Ale ja nie byłam taka pewna. Mężczyzna **impotent** może czuć niechęć do rodzaju kobiecego, który swoją tylko obecnością wciąż przypomina mu o tej słabości. **Z** mojego doświadczenia wiedziałam jak bardzo okrutni mogą być impotenci, jak **pró**bują zastąpić miłość, do której nie są zdolni, zadawaniem bólu i znęcaniem się. Przeprowadzona mała rewizja nie dała nam jasnej odpowiedzi. Podziękowałyśmy usłużnym oficerom i wybierałyśmy się do wyjścia. Jednak widok zmagania pary w sąsiedniej

kajucie rozpalili obu panów i mieli teraz nadzieję pokazać nam jak się zachowują prawdziwi mężczyźni. Andrew próbował mnie objąć jedną ręką w talii (bo drugą, oczywiście, podtrzymywał ważny dokument ukryty na piersi - chyba już wszyscy o tym wiedzieli), ale wywinęłam się zręcznie.

- Mamy jeszcze dużo pracy — powiedziałam i wyszliśmy do siebie przedyskutować to całe wydarzenie.

- To nie on. - Luiza była pewna. - Ten człowiek nie jest zdolny do prowadzenia takiej gry. Jest zbyt zajęty sobą. Poza tym, to nie jego słyszałam w Londynie. Dam za to głowę...

- No, uważaj, co mówisz.

- Tam nie ma miejsca, żeby przechowywać świeże róże. Musiałyby być na dodatek magikiem. Trzeba go wykreślić z listy podejrzanych. Ja nie byłam tak pewna niewinności Bonettiego, jak Luiza. Nie było jednak żadnych dowodów. Jeżeli to nawet był Bonetti, to jego osłabienie i własne kłopoty mogły odwrócić trochę jego uwagę ode mnie.

Położyłam się i próbowałam się zdrzemnąć. Upał w zamkniętej kajucie był nieznośny, ale na zewnątrz były na dodatek ostre promienie południowego słońca. Czułam się wyraźnie zmęczona wydarzeniami ostatnich dni. Na dodatek grożące mi ciągle niebezpieczeństwo wyczerpało zupełnie moje nerwy. Zaczynałam żałować tej całej wyprawy po nowe życie. Mogłam sobie spokojnie siedzieć w Hatcliff, zapraszać do siebie na noc Colina albo jakiegoś innego chłopca ze wsi, wydawać przyjęcia, zawierając znajomości. No tak, ale tam też wisiałyby nade mną Krator i tam nie wiedziałabym, z której strony uderzy. Tutaj sytuacja była inna. Jakby wymarzona dla jakiegoś lubiącego łamigłównki detektywa. Zamknięte grono ludzi, kilka wskazówek, niemożność ucieczki. Statek był mały. Nie było tej ogromnej przestrzeni, gdzie można by było ukryć akcesoria potrzebne do straszenia ofiary... Zaraz, zaraz... Coś genialnego przyszło mi do głowy.

- Luizo, dlaczego tak przywiązałyśmy się do myśli, że te róże

muszą być w pokoju osoby, którą podejrzewamy? Przecież Krator mógł je schować wszędzie na statku! Oprócz kajut jest tu jeszcze tyle pomieszczeń: dwie wielkie ładownie, kuchnia, magazynki, schowki na liny, schody i ciemne miejsca pod schodami... Luiza usiadła z wrażenia.

- No właśnie. Wystarczy znaleźć schowek i dyskretnie go obserwować. Kapitan już by to załatwił.

— Chodź — zdecydowałam się. - Zaczynamy przeszukiwania statku.

— Gdzie? — zapytała Luiza ochoczo zapinając skromną lokajską liberię.

- Ładownia - odpowiedziałam wstając na nogi.

Żeby dostać się do ładowni trzeba było przejść górnym pokładem na rufę. To była większa ładownia. Luiza wynosiła rano wodę z mniejszej - pod naszymi kajutami. Pokład był pusty. Większość załogi schowała się przed upałem na najgorętsze dwie godziny. Gdzieś wysoko, w bocianim gnieździe tkwił majtek. Przy sterze kiwał się sennie brodaty bosman. Nie zwrócił na nas uwagi, być może drzemał na stojąco. Ostrożnie zeszliśmy po wilgotnych jeszcze schodkach na dół. Panował tu półmrok, a schnące drzewo wydzielało intensywny, wilgotny zapach. Ładownia była zapchana kuframi, w których przewożono na Nowy Świat różne luksusowe towary: jedwab, porcelanę, sukno, szkło. Stały tu też jakieś maszyny, ale ponieważ nie znam się na tym, nie wiem czy były to może części zapasowe do armat na pokładzie czy też urządzenia wiezione do Ameryki. W specjalnie wydzielonej części tej ładowni zobaczyłam stłoczone i wynędzniałe zwierzęta. Były tu trzy wieprze i kilkanaście owiec. To odkrycie wstrząsnęło mną, chociaż przedtem zupełnie nie zastanawiałam się skąd kucharz bierze mięso do posiłków. Biedne zwierzęta wyruszyły w podróż przez ocean nie wiedząc, że nigdy nie zobaczą tamtego brzegu. Jeżeli i ja się nie zajmę ważnymi rzeczami, podzielę ich los.

Nie sądziłam, że ładownia jest aż tak duża. Przyglądałam się drewnianemu stropowi pełnemu zakamarków. Także w pochyłych ścianach było mnóstwo miejsca dla ukrycia jakiejś niedużej rzeczy. Krator mógł trzymać swoje rzeczy w jednym z zamkniętych kufrów. W razie czego po prostu nie przyznałby się, że kufer należy do niego. Nie, nie byliśmy w stanie we dwie sprawdzić całej ładowni. A przecież była i druga!

Luiza była równie zniechęcona, ale ten dzień był po prostu inny niż wszystkie pozostałe. Miałyśmy tego dnia wiele, wiele prawdziwego szczęścia.

Oto zamierzałyśmy już wychodzić i wracać do kajuty, gdy nagle Luiza postanowiła jeszcze sprawdzić, co znajduje się za zagrodą dla zwierząt. Machinalnie poszłam za nią i po chwili zobaczyłyśmy małe pomieszczenie oświetlone lampką, w którym odwrócone do nas tyłem, nagie jak je Pan Bóg stworzył kłęczący na słomie... panny Bacon. Nasz wzrok odruchowo szukał powodu, dla którego tak porządne panienki znalazły się w takim obokurnym miejscu. Powód leżał na wznak, ręce miał przywiązane wstążkami do belki i był równie nagi, jak jego prześladowczyń. Nie zdziwiłam się zbyt rozpoznać w nim lokaja Bonetiego. To był miły i przystojny chłopak. Sama nie miałabym nic przeciwko niemu. Ale dlaczego był przywiązany?

Cofnęłyśmy się odruchowo, jak zawsze kiedy niechęćco wejdzie się w czyjąś intymność. Ciekawość była jednak silniejsza i po chwili wystawiłyśmy głowy przyjmując wygodny punkt obserwacyjny.

- Nie, nie, już nie mogę, proszę mnie puścić, panienko. Przecież zrobiłem już swoje i panience jednej i drugiej - jęczał chłopiec.
- Milcz i zastanów się, jak masz się skupić.
- Mój pan już mnie na pewno szuka.
- Powiesz, żeś łowił ryby na rufie i nie słyszałeś.
- Już mi nie stanie. Niech panienki poczekają do jutra.

Było jasne, że panny Bacon mają tego dnia takie same problemy, jakie miała ich szanowna matka. Patrzyły z niechęcią na sflaczałego, ciemnego ptaszka lokaja. Jedna z nich wzięła go do ręki.

- Patrz jakie to dziwne urządzenie - powiedziała do siostry. - zupełnie nie przypomina tej twardej laski, jaką przedtem był. Czy ty pompujesz tam powietrze?

- Nie wiem, panienko. Czasem mi staje.

- Może tam jest kość? No, ale co by się teraz z nią działo?

Dziewczyna zaczęła ugniatać i szarpać miękki organ chłopca. Zajączał.

- Pamiętasz, co robił Joe? Kazał sobie go lizać - powiedziała do siostry. - Weź mu do buzi i pomemłaj.

- Dlaczego zawsze ja? - oburzyła się druga Baconówna.

- Bo jesteś młodszą. No dawaj.

Młodszą panną zbliżyła się niechętnie do chłopca i ujawszy flaczka w dwa palce, włożyła sobie do ust. W naszym kierunku wypięła chudy tyłek z zacienioną, apetyczną dziurką.

- No, gdyby tu był kapitan - szepnęłam do Luizy.

Starsza patrzyła na te zabiegi siostry z nadzieją.

- Joe lubił jeszcze robić to samo - powiedziała starsza i usiadła związanemu chłopcu na twarz. Szarpnął się, a lekko już uniesiony ptak wyślizgnął się z ust drugiej dziewczynie.

- Głupia, wszystko popsukałaś. Zobacz co zrobiłaś.

Chłopcu udało się uwolnić spod tyłka dziewczyny.

- Puście mnie już. On już naprawdę nie stanie. Znam go - jęknął.

Baconówny były wyraźnie złe. Ta, która przed chwilą siedziała mu na twarzy chwyciła teraz brutalnie członek chłopca i zaczęła go szarpać.

- Boli — krzyknął.

- Ja ci dam „boli”. Stawaj! Już!

Zrobiło mi się żal chłopca. Luiza pewnie czuła to samo, co ja,

bo mruknęła:

- No, Fanny, wchodzimy do akcji.

Spojrzałam na nią pytająco.

- Chodź, pokażesz im jak to się robi. Ja będę was ubezpieczać.

Lepiej, żeby te wampirzyce nie wiedziały, że jestem kobietą.

Przyszło mi w tym momencie do głowy, że tę sytuację można by wykorzystać do poszantażowania pańienek. Skoro miały tak wiele różnych znajomości... Chrząknęłam dla dodania sobie odwagi i wkroczyłam do zagrody. Dziewczyny zobaczyły mnie i dosłownie skamieniały. Nie usiłowały się nawet przykryć. Chłopiec uniósł się na tyle, na ile pozwalała mu jego pozycja. W jego oczach był strach ale i nadzieja.

- A cóż wy tu dzieci robicie? - zapytałam udając zdziwienie.

- Bawimy się — powiedziała bez sensu starsza panna Bacon.

- Widzę. To bardzo interesujące. To coś w rodzaju stawiania babek, tak? nie bardzo coś wam to wychodzi. Czy wasi rodzice wiedzą, że *tu* jesteście?

Dopiero teraz dotarła do nich groza sytuacji. Młodsza szybciej się zreflektowała, że nie ma sensu udawać niewinnej.

- Proszę, niech pani nikomu nie mówi. Tatuś by nas zabił.

Zmierzyłam je chłodnym spojrzeniem, pod którym skurczyły się jak małże wyciągnięte ze skorupki. Zastanawiałam się skąd w tych chudych ciałach było tyle niespożytej energii.

- Dobrze - zaczęłam udając, że się zastanawiam. - Ja nie powiem nikomu co widziałam tu i kiedyś na pokładzie w linach i w mojej garderobie...

Ich oczy zrobiły się okrągłe jak filiżanki.

- ... a wy oddacie mi małą przysługę, zgadzacie się?

Obydwie zaczęły trząść potakująco głowami. Wiedziałam, że teraz zrobią dla mnie wszystko.

- Tak, oczywiście, z przyjemnością będziemy, pani pomagać we wszystkim. Niech pani się już nie martwi... naprawdę, tak, tak - mówiły jedna przez drugą.

- Ale najpierw pokaże wam jak się fachowo stawia babki.
Teraz przerażony był chłopiec.

- Nie bój się - powiedziałam i odwiązałam mu ręce. Niby nie chcąc musnęłam go przy tym moim ciasno zasznurowanym biustem.

- Chcesz? - szepnęłam do niego i delikatnie włożyłam mu język do ucha.

Poczułam jak po ciele chłopca przeszedł dreszcz. Chłopiec rozluźnił się i, jak zaczarowany, skinął głową. Zaczęłam cierpliwie głaskać jego szczupłe ciało. Ramiona, piersi, brzuch, pośladki. Uważałam, żeby nie dotykać jego wymęczonego ptaka. Płynęła od niego jakaś niejasna wdzięczność. Dotknęłam wargami jego warg, a on oddał mi ten niewinny pocałunek. Usiadł i nieśmiało położył rękę na moich piersiach. Nie protestowałam, ale też nie zachęcałam go. Teraz zaczęłam leciutko bawić się jego małymi sutkami. Odpowiedziały natychmiast stwardnieniem. Powoli jego skóra stawała się gorąca. Przyciągnął dłońmi moją twarz do swojej i pocałował mnie zmysłowo w usta. Miał talent. Czułam, że moja suknia robi się dla mnie za ciasna. Zanurzyłam dłonie w jego ciemne, gęste włosy i nie mogliśmy się od siebie oderwać. Oddychaliśmy nosami, żeby nie przestawać się całować, wysysaliśmy z siebie całą siłę. Im dłużej to trwało, tym chłopiec robił się bardziej władczy, zaczynał przejmować inicjatywę. Teraz to on pochylał się nade mną, jego ręce błędziły po staniku w poszukiwaniu zapięcia sukni, jego kolano delikatnie wciskało mi się między nogi. W dole brzucha i między udami czułam już tę wszechmocną, zniewalającą i potężną siłę, która zaraz odbierze mi zmysły, pokona, popchnie w całkowite zapomnienie. Ostatnim wysiłkiem woli wyobraziłam sobie, że kocham się z tym chłopcem przy zaskoczonych Baconównach, które — byłam tego pewna - nic a nic nie rozumiały z fizycznej miłości i to mnie otrzeźwiło. Delikatnie odepchnęłam rozpalone usta chłopca i wstałam. Nie musiałabym wcale patrzeć teraz, jakie skutki wy-

wały na przyrodzeniu lokaja karesy. Moje oczy powędrowały jednak za zdziwionym wzrokiem obu dziewcząt. Zobaczyłam pięknie wyprężoną, potężną pałkę uwieńczoną zgrabną, obnażoną główką. Wyglądała jak wschodnia, smukła wieża.

- Teraz, panienki, kiedy już wiecie jak się zabrać do rzeczy, chciałabym was o coś prosić. Ale najpierw ubierzcie się wszyscy.

Zdaje się, że stałam się w ciągu tego krótkiego czasu dla nich kimś ważnym, bo bez słowa posłusznie zaczęli się ubierać.

- Chcę mianowicie, żebyście mi przeszukały całą ładownię, krok po kroku, każdy zakamarek.

- A czego mamy szukać? - zapytała starsza Baconówna.

- Dziwnych rzeczy. Broni wszelkiego rodzaju, może jakichś pakunków... ale przede wszystkim świeżych kwiatów. Chodzi mi o białe...

- Róże? - odezwała się niewinnie dziewczyna.

Zdębiałam zupełnie. Usłyszałam z tyłu niespokojne poruszenie Luizy.

- To George, mój lokaj, wejdź *tu* chłopcze - powiedziałam do niej. - Skąd wiecie o różach? Widziałyście je gdzieś?

- Jest tu takie pudełko, tam za kuframi, są w nim białe róże.

- Gdzie? - krzyknęłyśmy równocześnie Luiza i ja.

Trójka młodych skwapliwie rzuciła się w jeden z kątów ładowni. Ruszyłyśmy za nimi. Stało tu kilka kufrów ułożonych jeden na drugim, co tworzyło swego rodzaju ścianę. Za nią była maleńka nisza. Tam wsunęła się młodsza Baconówna, a ja weszłam za nią. Zanim moje oczy przyzwyczały się do panujących tu ciemności, dziewczyna podała mi długie, ciężkie pudło. Wyciągnęłam je na zewnątrz z trudem. Było zamknięte na jakiś skomplikowany zameczek. Wyglądało jak mała trumienka. Z zewnątrz obite było błyszczącą blachą, która na kantach była dodatkowo zabezpieczona skórą.

- Trzeba je otworzyć - powiedziałam niecierpliwie majstrując

przy zaniku.

- Niech pani da - odezwał się lokaj Bonettiego. Wziął pudełko i długimi, szczupłymi palcami badał działanie zamka. - Czy mógłbym prosić spinkę do włosów - zwrócił się do mnie.

Podawał mu moją drogocenną złotą szpilkę uwieńczoną szmaragdem. Chłopiec zręcznie manipulował nią w dziurce zaniku. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się niecierpliwiałam. Wreszcie coś cichutko szcęknęło w środku i mała blaszka podskoczyła do góry odsłaniając coś jakby kołatkę do drzwi. Chłopiec pociągnął ją tylko i pudełko było otwarte. W środku nie było nic.

- Nie rozumiem... jeszcze dziś rano pudełko było otwarte i leżała w nim róża... - powiedziała starsza panna Bacon.

- Dziś rano? — przeszedł mnie dreszcz. Włożyłam ostrożnie dłoń do pudełka i poczułam tam dziwny chłód. Ciemne, miękkie ścianki były lekko wilgotne i zimne. Miałam wrażenie, jakbym dotykała szorstkiego lodu. Zrozumiałam, że tajemnicze pudełko było czymś na kształt przenośnej piwniczki, w której żywe kwiaty nie wiedły, a trzymały się wystarczająco długo, żeby je móc podkładać komuś co kilka dni. Teraz pudło było puste, co znaczyło, że róża znajdowała się już u nas w pokoju albo też Krator miał ją u siebie i czekał na odpowiednią chwilę, żeby ją podłożyć.

- Szybko, wracamy - krzyknęłam i puściłyśmy się biegiem między kuframi i zwierzętami do wyjścia.

- Pani... - usłyszałam jeszcze za sobą nieśmiały głos lokaja Bonettiego.

- Potem - odpowiedziałam szorstko. Były teraz ważniejsze sprawy niż jego rozbudzona męskość.

Musiałśmy przyhamować trochę na schodach prowadzących z pokładu do naszych kajut. Pan de Pure ostrożnie pomagał swojej starszej żonie pokonać strome i wąskie schodki.

- Jaki spokojny dzień, nieprawdaż? Ta burza była taka okropna - zaczęła nas cienkim, słabym głosem pani de Pure.

- O tak, ma pani rację, było strasznie - potwierdziłam i udało mi się wyminąć tę parę. Luiza była tuż za mną. Z końca korytarza patrzył na nas Weiss i wesoło pomachał nam ręką. Wpadliśmy do naszej kajuty.

Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, lecz kiedy spojrzałam na Luizę z jej nagle pobladłej twarzy i wyciągniętej w stronę okna ręki wyczytałam wszystko. Właściwie nie musiałam już patrzeć. Wiedziałam, że w naszej kajucie jest trzecia róża i wiedziałam też, że więcej róż już nie będzie.

Rozdział X

*w którym przychodzą mi do głowy tylko znakomite pomysły
i w którym zajmuję się grzebaniem w kufrach śpiewaka.*

Nie chciałam już nigdy w życiu czuć się tak, jak czułam się tego dnia. Mimo naszych wysiłków odnalezienia tropu Kratora, zjednania sobie mocnych ludzi na statku, zabezpieczenia ochrony, ten szalenciec nadal mógł bezkarnie dostać się do naszej kajuty. Czułam, że i on otrząsnął się z szoku i strachu wywołanego burzą i postanowił ostatecznie przystąpić do realizacji swojego planu. Czy przeżyję tę noc? Czy kiedykolwiek zobaczę wymarzone brzegi Ameryki? Jakiż on musiał być sprytny i jakiż bezwzględny! Bawił się ze mną jak kot z myszą, męczył mnie specjalnie z wyrafinowanym okrucieństwem, bo przecież wiedział, że się boję. Przebrał się w maskę, której nie **umiałam** rozpoznać i śledził mnie, znał każdy mój ruch. Dlaczego mnie tak prześladował? Jasne, że nie byłam niewinna i bez grzechu, ale czy bardziej niż inni? Czy sprawiałam ludziom ból i cierpienie? Czy kogoś skrzywdziłam? Czy zabrałam coś komuś? Patrzyłam wstecz w moje życie i oprócz chwil jasnych i radosnych dostrzegałam też chwile smutne i pełne rozpacz. Nie uważałam, że-bym była bardziej doświadczana przez los niż inni, może nawet miałam trochę szczęścia, ale nigdy kosztem innych. Czy może być grzech większy niż sprawianie cierpienia innym?

Stałyśmy w kajucie pod zimnym okiem białego kwiatu i obejmowałyśmy się jak małe, samotne, bezradne dzieci. Luiza szlochała bezgłośnie w moją suknię, a innie było żal, że to przede mnie wplątała się w ten ponury dramat. Ona przeszła już swoje. Była poniżana i osamotniona, bita i pogardzana. Jej drobne, szczupłe ciało szukało schronienia w fałdach mojej sukni. Z oczu poleciały mi wielkie, gorące łzy.

— Nie wolno nam się teraz poddawać - mówiłam, choć wiedzia-

łam, że nie ma już we mnie tej wiary, że wszystko skończy się dobrze. W sytuacji, w jakiej się znalazłyśmy nie było już miejsca na pertraktowania, zdania się tylko na innych, robienia uników. Miałyśmy do czynienia ze ślepą siłą obsesji, szaleństwa i nienawiści. Była to siła zdolna niszczyć, nawet gdyby sama miała zginąć. Boże, skąd przyjdzie uderzenie, gdzie szukać pomocy, co robić? Te pytania krążyły po mojej głowie panicznie i przeszkadzały mi myśleć. Powtarzałam je jak jakieś zaklęcia.

- Luizo, musimy się otrząsnąć z tego. Musimy zacząć coś robić.
- Nic się nie da zrobić, Fanny, nie widzisz tego? On ma nas w garści.

- Daj spokój, nie można tak mówić. Musimy się bronić.

- Jak, jak się przed nim bronić?

- Chodźmy do Kapitana. Zamienimy się z nim w tajemnicy na kajutę, tak, jak planowałyśmy przed burzą... Żeby znaleźć jeszcze jakiś pomysł na zwabienie go tutaj i przytąpanie go na gorącym uczynku.

Luiza otarła zapłakaną twarz i poprawiła włosy.

- Masz rację, Fanny, trzeba coś robić.

Kapitana znalazłyśmy na pokładzie, gdzie dowodził pracą nad naprawą masztów. Zaniepokoił się widząc nasze napięte i przestraszone twarze. W jego kajucie opowiedziałyśmy mu o róży, o pudełku w ładowni, o tym, że rano było jeszcze pełne. Kapitan nie wyglądał na przestraszonego. Był zły. Nie mieściło mu się w głowie, żeby ktoś na jego statku groził pasażerom, w dodatku jego przyjaciółkom.

- Niech no go tylko dorwie w swoje ręce! Przetrączę mu kark.

- Kapitanie, wymyślmy coś, zacznijmy działać - prosiła Luiza i z oczu znowu popłynęły jej łzy.

- Nie martw się moja pani. Obiecuję wam, że nic złego się nie stanie. Nawet jeżeli miałbym tu wszystkich zrewidować, przesłuchać i nawet przycisnąć nieco do muru.

- Ach, nie, kapitanie. Musimy działać podstępem. Nie mamy

żadnych dowodów... - próbowałam go trochę ostudzić.

- Ale to jest mój statek. Ja tu rządzę, a nie jakiś zboczony maniak.

Kapitan wstał i utykając przemierzał kajutę wzdłuż i wszerz.

- Czy widziałyście kogoś w pobliżu kajuty, gdy wracałyście z ładowni?

- Tak, Weissa — powiedziała szybko Luiza. — Stał w końcu korytarza i machał do nas.

- I de Pure'ych. Wychodzili na pokład.

Coś mi błysnęło w głowie i powiedziałam kapitanowi o tym, co mi mówił Weiss, że widział któregoś razu pana de Pure'go z białą różą.

- To bardzo ważne - powiedział Kapitan - lecz nie jednoznaczne. Weiss mógł mówić prawdę albo kłamać. Jeżeli mówił prawdę to należałoby się bliżej przyjrzeć temu szlachcicowi. Ktoś, kto bierze sobie za żonę kobietę, która mogłaby być jego babką, musi mieć ku temu powody. Łatwiej wybaczyłbym mu interesowność i małżeństwo z rozsądku niż bezinteresowność i małżeństwo z miłości.

- Jest pan nietolerancyjny - wtrąciłam.

- Niech i tak będzie. Zresztą w tej sytuacji trudno wymagać od kogokolwiek tolerancji. A wracając do rzeczy... Weiss mógł też kłamać, wtedy to wskazywałoby wyraźnie, że najbardziej podejrzany jest właśnie Weiss. Kłamałby, żeby skierować podejrzenie na kogoś innego. Z tego płynie oczywisty wniosek, że tych dwóch trzeba wziąć pod lupę.

- A gdyby tak stworzyć sytuację, która będąc dla nas bezpieczna sprowokowała Kratora do zadania ostatecznego ciosu... Sprowokować go jakoś - Luiza gryzła nerwowo wargę.

- Zamiana kajut - powiedziałam.

- To nie jest stuprocentowo bezpieczne. Jeżeli Krator nas obserwuje, szybko się zorientuje, że Kapitan wchodzi w inne drzwi, a my w inne. Nie możemy zbyt ryzykować...

- Mam! - krzyknęłam olśniona pomysłem, który pojawił mi się w głowie i zaraz zniżyłam głos. - Zrobmy bal, maskowy bal, gdzie obowiązywałyby przebrania. Będę się mogła ukryć w przebraniu, a ktoś, na przykład, pan kapitanie będzie udawał mnie. W ten sposób zdezorientujemy Kratora. Z drugiej strony jestem pewna, że sytuacja zamieszania, przebrania i masek natychmiast nasunie mu pomysł, żeby zaatakować...

- ... Krator będzie próbował zabić podstawioną osobę... - Luizę była podniecona równie mocno jak ja.

- ... i uda mu się — dokończył kapitan spokojnie.

Podniecenie opadło. Ja jednak wiedziałam, że pomysł jest dobry choć może trzeba by lepiej obmyślać szczegóły. Kiedy ludzie nakładają maski i przebrania uwalniają się z jakiejś części ich osoby, najczęściej tej, która trzyma na wodzy instynkty i popędy. Stają się bardziej skłonni do folgowania zmysłom i swoim fantazjom - nawet jeżeli wyciągają je z najczarniejszych otchłani zwierzęcej duszy. Maskę rozgrzesza, a człowiek przestaje być kimś konkretnym. Jeżeli zostały mu jeszcze jakiegokolwiek skrupuły, pozbywa się ich poprzez założenie maski. Krator powinien być równie podniecony pomysłem małego karnawału na statku jak my. Kimkolwiek jest Krator, jest Aktorem. Lubi dekoracje i rekwizyty. On przedstawia niejako sztukę w odcinkach - wymyśla ją, reżyseruje i gra główną rolę. Bal maskowy niewątpliwie poszerzyłby tę ciemną scenę Kratora dla innych pomniejszych reżyserów, a jemu samemu odebrałby monopol na całkowitą kontrolę.

Tymi słowami broniłam mojego pomysłu. Przekonywałam kapitana i wątpiącą już teraz Luizę. Prosiłam też w myśli Opatrzność o pomysł, o rozegranie tej jedynej nocy tak, żebym wyszła z niej cała i nikomu przeze mnie nie stała się krzywiła.

Kapitan słuchał kiwając głową. W pewnej chwili ożywił się.

- Wiecie drogie panie, ile swoich kufków ma w ładowni Bonetti?

Osiem wielkich kufrów - odpowiedział sobie na własne pytanie.

- Ale co to ma do rzeczy... — zaczęłam.

- A wiecie, co jest w tych kufrach? - zawiesił głos.

- Co? - zapytała Luiza.

- Stroje! - krzyknął Kapitan, aż podskoczyłam na krześle - same teatralne i operowe kostiumy. Wiezie to wszystko do Ameryki. Tego wystarczyłoby na jeden duży miejski teatr!

Czy nie był to znak Opatrzności? Wstąpiła w nas otucha.

- Mam pewien pomysł - powiedział już zupełnie spokojnie kapitan. Widać było, że kufrы Bonettiego rozbudziły i jego wyobraźnię. Pochylił się nad stołem i z chłopięcym błyskiem w oczach zaczął opowiadać pierwszy akt sztuki pod tytułem „Bal maskowy czyli polowanie na nikczemnika”.

Całą resztę dnia spędziłam w kajucie z Luizą. Kapitan natomiast mimo bólu w nodze zajął się organizacją balu. Przede wszystkim sprawił, że pod naszymi drzwiami pojawiło się dwóch rosyjskich marynarzy. Na noc miałyśmy się przenieść do kajuty kapitana, pod którą zresztą też stali oberwani strażnicy. Zdawałam sobie sprawę, że taka ochrona nic nie jest warta. Podejrzewam, że dałaby się przekupić gąsiorkiem wina. Lepszy jednak rydz niż nic. Poza tym zostałyśmy wyposażone przez naszego wilka morskiego w jakiś muszkiet czy pistolet - rzecz z krótką grubą lufą - i chyba wrócił wrodzony mój optymizm, bo natychmiast sobie to skojarzyłam z tym, co nasz dzielny przyjaciel nosił w pludrach.

Pasażerowie z entuzjazmem przyjęli propozycję kapitana. Zaraz po obwieszczeniu przy obiedzie tej nowiny zapukał do naszych drzwi mister Falcon i dziś został wpuszczony.

- Słyszały panie? - zaczął wchodząc. - Kapitan wpadł na wyborny pomysł: powiedział, że po przeżyciach grozy związanej z burzą należy nam się wszystkim trochę rozrywki i wymyślił na jutrzejszy wieczór bal. Rozmawiał też z tym Włochem i okazało

się, że ten ma w ładowni same kufry z cudownymi kostiumami. Bonetti zgodził się je wypożyczyć. Czy mają panie pomysł w co się przebiorą? Bo ja, drogie panie, chciałbym jakiś specjalny strój... Juliusz Cezar, co panie na to? Albo Wiking. Trzeba być przy kufrach jednym z pierwszych, żeby mieć możliwość wyboru.

Udałam zdziwienie i zaskoczenie.

- Bal? Co za świetny pomysł! Rzeczywiście uważam, że się nam należy. Kolombina? Co pan myśli o Kolombinie?

- Widziałbym panią jako uosobienie Wiosny albo Diany... Zwiewna, przezroczysta mruka... nagie ramiona i tak dalej - Falcon wziął moją dłoń i złożył na niej gorący pocałunek. - Może mógłbym dziś złożyć pani wieczorną wizytę?

- Ach, drogi panie, zostawmy tak miłe spotkania na bal. Dziś wieczór czeka nas praca nad kostiumami.

Falcon nie dał po sobie poznać, że jest rozczarowany.

O balu przysłyż nas też zawiadomić młode panny Bacon z matką. Wszystkie trzy były wyraźnie podniecone. Wiem, czego oczekiwały dziewczyny. Zamieszanie, pełno chętnych do zabawy mężczyzn, możliwość ukrycia się w przebraniu. Co rusz mrugały do mnie porozumiewawczo, ale i z szacunkiem. W oczach ich matki zobaczyłam rozmarzenie. Pewnie wyobrażała już siebie jako godną požądania syrenę, która uwodzi włoskiego śpiewaka. Stoją razem przy burcie, a on śpiewa dla niej arię. Jego piękny głos płynie po oceanie niczym fantastyczny żaglowiec. Jego gorące usta zbliżają się do jej karminowych ust... Pani Bacon potrząsnęła głową i wróciła do rzeczywistości.

- Mój mąż nie jest zachwycony pomysłem kapitana. Uważa, że to strata czasu.

- Ach, nasz tatko jest taki sztywny...

- Nie masz racji, córko — westchnęła smutno pani Bacon.

Panie zaofiarowały swoje manualne uzdolnienia do przygotowania kostiumów. Zaraz przyszedł też lokaj Bonettiego za-

prosić nas po kolacji do ładowni na wybieranie kostiumów. Ujrawszy młode Baconównę spuścił, biedny, oczy i wycofał się pospiesznie. Widziałam, że Baconówna wymieniły między sobą spojrzenia. Zrobiły to samo tylko z większym błyskiem, kiedy przyszedli oficerowie. Tym razem ożywiła się też pani Bacon. Czyż tych dwóch przystojniaków nie było wspaniałymi partiami dla moich córek? wyczytałam w jej wzroku. Tak, bal rozpałał oczekiwania i obiecywał spełnienie marzeń. Nie tylko nienasyconym bankierównom. Wyobrażałam sobie, co też myśli Krator, jak usiłuje przystosować tę nową sytuację dla swoich morderczych planów?

Cały statek jakby oszalał. Z pokładu dochodziły nas odgłosy bieganiny i podniecenia. Marynarze spieszyli się z naprawami. Oni też chcieli mieć coś dla siebie. Zarżnięto jedną świnię i sięgnięto do trochę lepszych zapasów. Cieśla okrętowy dostał zadanie zbiać dużych dwóch stołów i przygotowania ław. Majtek siedział w kucki i ze starych szmatek przywiązanych do liny tworzył girlandy, które potem miano zawiesić na masztach. Zapowiadał się bal jak w Wenecji.

Kolację zjadłyśmy w kajucie, a po niej w towarzystwie oficerów, panien Bacon i panicza Altenborough poszliśmy do ładowni wybrać kostiumy. Chciałyśmy być jednymi z pierwszych, ponieważ zależało nam na kostiumach specjalnego rodzaju. Nie od razu znalazłyśmy to, czego nam było trzeba. Rzeczywiście Bonetti wiozł ze sobą ogromną ilość ubrań. Niektóre z nich nadały się nawet na wyjście na ulicę, zwłaszcza w Nowym Jorku, gdzie moda nie była z pewnością tak wymagająca jak w starym Londynie. Było tu, o dziwo, dużo rzeczy kobiecych: suknie, pelerynki, pelisy, kapelusze, czepki, gorsety i nawet pończochy. Była blaszana zbroja średniowiecznego rycerza, późniejsze mundury z kołpakami, beretami i kapeluszami pełnymi piór. Były peruki - do wyboru, do koloru oraz sztuczne brody i wąsy. Mundurami zaraz zainteresowali się oficerowie - widocznie wojsko

mieli już we krwi. Panny Bacon wyciągały za to rzeczy najzwiewniejsze i najbardziej przezrocyste. Altenborough zachwycał się lamparcią skórą.

- Spójrz - powiedziała cicho Luiza i wyciągnęła z kufra głowę zrobioną z papieru-mache. Od razu schowałyśmy ją między nasze rzeczy.

Mogłabym szperać wśród takich rzeczy godzinami. Zawsze lubiłam stroje, lecz tutaj zbiór Bonettiego miał taką zaletę, że wiele z tych rzeczy było dla mnie nowych i zaskakujących. Oto szorstka i ponura opończa mnicha i mieniąca się od sztucznego złota suknia weneckiej kurtyzany, oto straszna, ptasia maska i leciutki jak mgiełka strój wschodniej piękności, oto ciężki podrabiany na gronostaje królewski płaszcz i jardy białego płótna na ubiór beduina. Było w czym wybierać. Jednak my szukałyśmy czegoś zupełnie innego. Musiało to być proste i łatwe do szybkiego zdublowania, a jednocześnie powinno przecież ukryć to, co kryć miało.

- Zdaje się, że znalazłam coś dla mnie - szeptem powiedziałam do Luizy i wyciągnęłam z kupy ubiorów biało-czarne domino uszyte z gładkiego atłasu. - Pierrot.

Domino było praktycznie dwoma kawałkami białego i czarnego atłasu zszytymi ze sobą w sposób jak najmniej skomplikowany. Na dole i po bokach zostawiono dziury na ręce i nogi. Luiza zrozumiała w mig wartość mojego znaleziska, bo po chwili wyciągnęła gdzieś z samego spodu biały kawał podobnego atłasu, który udawał jakąś pelerynę. Teraz szukałyśmy czegoś czarnego. Po chwili znalazłyśmy i to - czarna, błyszcząca spódnica. Schowałam też do naszego kosza perukę, czarny obcisły czepek i ciemne pompony.

- Przydałyby się jeszcze szminki - mruknęłam do siebie pod nosem.

Musiała usłyszeć to pani Bacon, która szperała w rzeczach Bonettiego nieopodal mnie, bo odezwała się:

- Maestro Bonetti dysponuje całym pudłem ze szminkami. Pani rozumie... w jego zawodzie jest to absolutnie konieczne. Człowiek, który wciela się w niezliczoną ilość postaci, musi mieć szminki.

- To najzupełniej zrozumiąte - powiedziałam uprzejmie. - Czy pani znalazła już coś dla siebie?

Pani Bacon speszyła się. Podniosła jednak zaraz swoje smutne oczy na mnie i zapytała z nadzieją:

- Proszę mi doradzić... czy dobrze bym wyglądała jako wróżka? Wie pani, w powiewnej sukni opinającej kształty, ale nie za bardzo, w wysokiej czapce i z czarodziejską różdżką w dłoni. Proszę mi powiedzieć, pani jest taką światową kobietą, czy to będzie odpowiednie dla kobiety w moim wieku i mojej pozycji?

- Ach, najzupełniej! Taki strój podkreśli pani wrodzoną delikatność i tajemniczość, pokaże inną, ukrytą stronę pani kobiecości.

- To bardzo uprzejme z pani strony, że wyraża się pani o mnie, kobiecie bądź co bądź nie pierwszej młodości, w ten sposób... Nie byłam pewna... mój mąż powiedziałaby, że to błażeństwo.

Podeszłam do niej i wzięłam ją delikatnie za rękę.

- Wie pani co? Niech się pani nie przejmuje przez najbliższe kilkanaście godzin tym, co powiedziałyby pani mąż. Maskowych bałi nie robi się dla własnych mężów. Wystarczy, że małżeństwo jest w pewnym stopniu bałem maskowym, który trwa przez całe życie.

- Ma pani rację — westchnęła i pokazała mi różową, zwiewną sukienkę z tiulową pelerynką przyszytą do ramion.

- Cudowna! - zawołałam z prawdziwym zachwytem.

- Prawda? — ucieszyła się bankierowa. - Niestety, będę musiała ją trochę poszerzyć w pasie.

Tymczasem córki pani bankierowej wrywały sobie z rąk kawałek najzwyklejszego białego płótna. Szeptaly do siebie rozpromienione przymierzając do włosów złotawe tasiemki. Byłam ciekawa, co też wymyślą te dwa lubieżne demony, nie miałyśmy

już jednak czasu na pogaduszki. Trzeba brać się do szycia. Lui-
za jako mój lokaj wzięła to, co wybrałyśmy dla mnie i to, co sa-
ma wybrała dla siebie.

- Już nas pani opuszcza? - zapytał nagle Falcon, gdy byliśmy
już w drzwiach.

- Musimy jeszcze porobić przymiarki. Całe szczęście, że mój
lokaj ma prawdziwie krawiecki talent - odrzekłam i ruszyłam
do wyjścia.

W jednym momencie Falcon znalazł się przy mnie i świdrując
mnie wzrokiem wyszeptał mi prosto do ucha:

- Proszę mi dzisiaj pozwolić przyjść do pani. Jestem chory nie
widząc cię, pani. Jesteś tak niedostępna, tak dla mnie okrutna.
Chciałbym chwilę porozmawiać, słyszeć pani głos...

Zdumiał mnie gorączkowy i niespokojny ton zazwyczaj spokojne-
go i pogodnego Amerykanina. Cóż go mogło tak nagle zmienić?
Czy to człowiek o dwóch obliczach? A może to on jest Krato-
rem? Ach, nie... nie on!

- Pan wybaczy, ale mamy dużo pracy. Obiecuję, że po balu
znajdę dla pana trochę czasu - powiedziałam chłodno.

- Ale tylko dla mnie?

- Dla pana.

- Będę w takim razie cierpliwie czekał. - Falcon ukłonił się
szarmancko i przepuścił **mnie** przez drzwi.

- Czego on od ciebie chciał? - zapytała Luiza, gdy byliśmy już
w kajucie.

- Do tej pory wydawało mi się, że wiem, czego chce ten džen-
telmen. Od dziś niczego już nie jestem pewna. Nie przyszło ci
do głowy, że to on może być Kratorem?

- Przecież to Amerykanin.

- Nikt tego nie sprawdził.

- Ma **amerykański** akcent.

- No właśnie. Obcy akcent dla zmylenia.

- Ma gruby męski głos.

- Może być brzuchością.
- Jest całkiem normalny.
- Zrobiliśmy błąd, że nie sprawdziliśmy go. Zbyt mu od razu zaufałam. To też podejrzane.

Luiza rozkładała przyniesione rzeczy na stole i podłodze.

- Fanny, zdaje się, że ogarnia cię jakieś szaleństwo, a właśnie teraz chodzi o to, żeby zachować zdrowy rozsądek. Nie możemy podejrzewać wszystkich. Komuś trzeba zaufać.

Na te słowa Luizy do naszej kajuty wszedł kapitan.

- No i jak, moje panie? - zapytał z uśmiechem.
- Zdaje się, że puszcza nam nerwy - powiedziała Luiza i znacząco na mnie spojrzała.
- Sądzę, że ten pomysł z balem dał na razie nam lekką przewagę. Krator nie zaatakuje przed balem. Jest inteligentny i rozumie, że zamieszanie, alkohol i rozprężenie na statku w czasie zabawy stworzy mu cudowną okazję. Sądzę, że teraz, kimkolwiek jest, podobnie jak my przygotowuje się na bal.
- Pan jest taki kochany, Kapitanie. Dodaje pan nam tyle otuchy
- Luiza zupełnie się nie krępując podeszła do Kapitana i złożyła swoją śliczną główkę na jego potężnej piersi.

Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że nie ma czasu na amory i sentymeny. Czekają nas przygotowanie skrupulatnego i perfekcyjnego planu. No i strojów. Pokazałyśmy Kapitanowi, co udało nam się zdobyć. Pomysł ze zdublowaniem białoczarnego domina bardzo mu się spodobał. Zaraz posłał jednego z marynarzy po sieci i po stolarskie przybory. Za chwilę mieli też przyjść oficerowie.

- A czy pomyślałyście, moje drogie, o stroju dla mnie? - zapytał.
- Jasne — powiedziała Luiza i rozłożyła przed nim udający gro-nostaje królewski płaszcz.
- Będziesz, panie, królem, bo znajdujemy się w twoim królestwie i w twoich rękach - powiedziałam.

Podczas, kiedy my przygotowywałyśmy nasze przebrania, Kapitan z Henrym i Andrew przyczepiali przy drzwiach sieć, która miała spaść na Kratora, kiedy przyjdzie mnie zabić. Oczywiście, oficerowie znali tylko cześć prawdy. Powiedzieliśmy im, że ten, na którego szykowana była pułapka jest szpiegiem francuskim, który będzie usiłował sprzedać młodemu amerykańskiemu państwu brytyjskie tajemnice wojskowe. Ponieważ byli od dawna pewni, że ja jestem tajemniczym wysłannikiem brytyjskiej korony wykonywali swoją pracę z entuzjazmem i przejęciem.

Około północy wszystko było już gotowe. Uszyte białoczarne domino, bliźniaczo podobne do tego, które ja miałam nosić na balu, zostało wypchane szmatami i uwieńczone papierową głową w peruce. Powstały w ten sposób manekin posadzony na krześle łądząco przypominał ludzką postać, która przysiadła na chwilę zmęczona zabawą. Pułapka była zrobiona.

„Raibow” płynął spokojnie w ciemność, ku swojemu przeznaczeniu, kiedy na palcach zabrałyśmy swoje rzeczy i przeniosłyśmy się wraz z Kapitanem do jego kajuty. Przed drzwiami mojej Kapitan postawił dwóch dryblasów zaopatrzonych w pistolety. Na statku było cicho jakby makiem zasiał, gdy kładliśmy się spać, ja jednak prawie fizycznie czułam niedaleką obecność kogoś, kto tej nocy szykował się, żeby zadać mi śmierć. Co mogło czuć jego serce? Czy ten ktoś w ogóle miał coś, co ludzie nazywają sercem?

Rozdział XI

*w którym pasażerowie zamieniają się w nierealne postaci,
a statkiem zaczyna rządzić szaleństwo.*

Dzień, który nastąpił był jednym wielkim oczekiwaniem wieczoru. W moim życiu niewiele było takich chwil, od których zależało całe moje życie. Może wtedy, gdy czekałam na powrót mojego Karola dawno, dawno temu, czułam się **podobnie**. Cała terażniejszość wydaje się bez znaczenia, a liczy się tylko przyszłość, która jawi się jak wielki zasupłany beznadziejnie węzeł. Czy zobaczę jeszcze jutrzejszy poranek? myślałam. Czy może po raz ostatni moje oczy sycą się jasnym błękitem poranka, a płuca chłoną świeże, morskie powietrze?

Noc przeszła spokojnie. Kiedy rano wstałam i wróciłam do mojej kajuty, zastałam pod drzwiami śpiących jak nieboraków dwóch dryblasów z mojej „ochrony”. Nie potrafiłam być już zła. Zbudziłam ich poszturchując bezwładne cielska nogą i kazałam im wracać do ich zwykłej pracy. Moja kajuta wyglądała tak, jak ją zostawiliśmy i z ulgą stwierdziłam, że na mojej koi nie leży kolejna złowieszcza, biała róża. Chyba miałyśmy rację - Krator też przygotowywał się do balu. Sama nie mogłam jeść, ale towarzyszyłam Luizie i Kapitanowi w porannym posiłku. Potem wyszłam na pokład i tęsknym wzrokiem wypatrywałam gdzieś poza linią horyzontu jakiegoś ratunku, nadziei, obietnicy wyrwania się z tej morskiej pułapki, w jakiej się znalazłam. Morze było dziś czyste i spokojne, nad głową radośnie furkotały żagle. Nie przejmując się niczym nasz statek płynął obojętnie przed siebie do zakrytej przed moimi oczyma tajemniczej Ameryki. Mieć teraz skrzydła, jak biała mewa, i wyrwać się stąd ku czystemu niebu, w którym mieszka mój Karol. Może jeszcze tej nocy mój zły los każe mi się z nim spotkać. Czy bez ciała, bez wrażliwej na dotyk skóry, bez oczu, które potrafią dostrzec w tym smut-

nym świecie tyle piękna, **będę** jeszcze tą samą Fanny? Potrząsnęłam głową, bo wiedziałam, jak niebezpieczne może być takie zęgnięcie się z życiem. Trzeba mi było teraz znaleźć siły i chęć do walki, a nie roztkliwiać się nad sobą.

Do południa, mimo pięknej pogody, na pokładzie nie zjawili się nikt z pasażerów. Z pewnością odpoczywali przed zabawą wieczorem i przygotowywali swoje kostiumy.

Luiza wróciła z kajuty Kapitana dopiero wczesnym popołudniem. Miała smutne, ale rozgorączkowane oczy. Policzki jej płonęły. Nie powiedziała nic, ale zaraz domyśliłam się, co ją tak długo zatrzymało. Poczułam się nawet trochę zawiedziona, że w takich chwilach może się najzwyczajniej na świecie kochać z mężczyzną.

- Fanny, to jest coś więcej niż zwykła cielesna przyjemność - powiedziała godzinę potem, gdy przyszywałyśmy ostatnie pompony do biało-czarnego domina. Wydawało mi się, że dokładnie wiedziała, co o niej myślałam. Nie odpowiedziałam.

- On jest taki wspaniały, taki silny i mądry - kontynuowała. - Wiesz, Fanny, ja go chyba Kocham.

Podniosłam głowę znad szycia i zobaczyłam w jej oczach łzy.

- Więc czemu płaczesz?

- To jest... jest... piękne. Wszystko wydaje mi się teraz takie inne. Och, moja Fanny — zawołała nagle i ze szlochem rzuciła się mi w ramiona. - To niesprawiedliwe, że to przyszło akurat teraz, gdy ty cierpisz i boisz się... gdy ja też powinnam cierpieć razem z tobą. A jednak jestem w jakiś nieszczęśliwy sposób szczęśliwa. Wszystko się tak pomieszało, tak bardzo pomieszało.

Luiza płakała szarpiąc mnie za rękawy. Zrozumiałam, że rzeczywiście musiała być ciężko zakochana. Jej skóra była gorąca, a oddech urywany. Nawet nie pachniała jak zwykle. Przypomniało mi się to, co zawsze mówiła nam pani Cole. Że miłość jest chorobą. Ogarnia i ciało i ducha. Zmienia widzenie świata, miesza myśli, powoduje niespodziewane, często niebezpieczne

decyzje. Najczęściej bierze się znikąd i ogarnia dusze człowieka niczym niewidoczna zaraza. Nie ma na nią lekarstwa, które można kupić u aptekarza, a jedyne, co ją leczy - to czas. Dla nas, dziewcząt od pani Cole, miłość była szczególnie niebezpieczna. Często groziła rozstaniem się z zawodem i miłymi warunkami życia. Zakochana dziewczyna potrafiła zostawić wszystko i pójść za swoim ukochanym do życia niepewnego i niebezpiecznego. Te, które dotknęło szczęście w nieszczęściu i które zakochały się w kimś, kto ma pieniądze, spędzały samotne dni w wynajętych dla nich garsonierach czekając na wieczorne odwiedziny swojego żonatego najczęściej kochanka. Inne zaczynały rok po roku wydawać na świat wrzeszczące i sikające owoce miłości i spotykałam je, gdy targowały się przy straganie o nieswieże ryby. Naprawdę, dla mało której miłość stawała się błogosławieństwem. Nie mówię tak dlatego, że nie wierzę w miłość, wszakże mnie ona spotkała i przez dziesięć lat byłam najszczęśliwszą osobą pod słońcem, lecz dla kobiet, które zaczynają od sprzedawania swojego ciała za pieniądze, miłość zbyt często staje się bajkową obietnicą przemiany Kopciuszka w Królową i przez to maści po prostu zmysły. Dlatego pani Cole pilnowała, żeby nie przywiązywać się specjalnie do swoich klientów. Pozwalała nam sypiać z tym samym mężczyzną najwyżej dwa, trzy razy i nazywała to „rotacją”. Powiedziała mi kiedyś, że nasienie wciąż tego samego partnera może działać na młodą, niedoświadczoną kobietę jak narkotyk.

Teraz miałam przed sobą rozdygotaną Luizę, żywy przykład takiego zauroczenia. Jeżeli kapitan czuł się podobnie, wszystko mogło być w porządku, lecz jeżeli nie, Luiza była skazana na miesiące cierpieli.

- Wszystko będzie dobrze, Luizy - mówiłam głaszcząc ją po głowie — ale musisz się wziąć dziś w garść.
- Tak, tak, wiem - szeptała wycierając łzy.

Nie mogłyśmy jeść obiadu. Luiza z miłości, a ja ze zde-

nerwowania. Wreszcie późnym popołudniem przyszedł do nas Kapitan zawiadomić nas, że pora przygotowywać się do balu.

Luiza z ulgą pozbyła się zniechęconego stroju lokaja i włożyła bajecznie kolorowy i bardzo kobiecy kostium Cyganki. Jej ciemna cera i czarne włosy miło harmonizowały z gorącymi kolorami cygańskiej sukienki. Jej oczy błyszczały, a ciało drżało. Była piękna. Kapitan widząc ją taką, stracił na chwilę mowę. Zdaje się, że jednak on także był chory.

Bez entuzjazmu włożyłam na siebie domino. Czułam się tak, jakbym wybierała się na szafot. Przed samym wyjściem na górny pokład założyłyśmy maseczki. Luiza pomogła Kapitanowi zmienić się w pełnego dostojeństwa króla w gronostajowym płaszczu.

Kiedy znalazłyśmy się na górze, przy stole siedzieli już prawie wszyscy współtowarzysze podróży. Po raz pierwszy napełniano kielichy. Kapitan pod postacią króla wygłosił okolicznościową mowę otwierającą bal, w której dziękował Opatrzności i swojej załodze za cudowne wręcz wyjście ze strasznych opresji burzy morskiej. Potem toast wzniosł Falcon zmieniony w upierzonego i kolorowego Indianina. Mówił o celu naszej podróży, o Ameryce, którą przyrównał do matki.

- Już niedługo zobaczymy nad horyzontem jej wyciągnięte do nas kochające i opiekuńcze **ramiona** - zakończył.

Kiedy podnieśliśmy kielichy, usiedli przy stole spóźnieni goście: państwo de Pure. Byłam rozczarowana, bo ani on ani ona za nic się nie przebrali. Starsza pani miała tylko więcej niż zwykle koronek, a jej małżonek ciemniejszy niż zwykle surdut.

W tym momencie powinnam dokładnie opisać jak wyglądało całe zebrane na pokładzie towarzystwo, żeby przybliżyć atmosferę rozpoczynającego się balu.

Po mojej lewej stronie usiadł skwapliwie mister Falcon przebrany, jak już wspomniałam, za Indianina. Nie znam się na Indianinach, przyznani się nawet, że po raz pierwszy w życiu

widziałam taki strój, ale Falcon na pewno nie był zwyczajnym Indianinem. Podejrzewam, że mógł być indiańskim królem, miał bowiem na sobie jakieś skórzane pantaloney i podobną do nich koszulę. Zamiast jednak guzików zapinało się to wszystko za pomocą troczków rzemiennych i wymyślnych spinek. Cały był w frędzlach i piórach. Najbardziej jednak dziwaczną rzecz miał Falcon na głowie: dziesiątki mewich piór przytrzymywanych przez paski skóry. Dzięki tej ozdobie ten i tak postawny mężczyzna wyglądał wręcz imponująco.

Przy Falconie siedział duch. Pod jego prześcieradłowym, zwiewnym ciałem domyśliłam się obecności panicza Altenborough. Kiedy tylko Falcon zagadywał się lub zapamiętywał w opisywaniu uroków Ameryki, duch wkładał sobie pod prześcieradłowe ciało kielich czerwonego wina i po chwili wyjmował go stamtąd zupełnie pusty. Za duchem siedzieli państwo de Pure. Ona piła bardzo umiarkowanie, natomiast jej młody mąż nie jadł i nie pił. Najczęściej był zajęty służeniem swojej żonie. To podawał jej kielich, to dolewał wina, to gładził jej dłoń i chłodnym wzrokiem toczył po zebranych przy stole. Od czasu do czasu pani de Pure skrzekliwym głosem wtrącała jakąś uwagę do rozmów.

Po drugiej stronie siedzieli młodzi oficerowie przebrani bez polotu za rzymskich legionistów. Z estetyczną przyjemnością zauważyłam, że tego rodzaju strój pięknie odślaniał ich muskularne, owłosione nogi. Nie bez zdziwienia spostrzegłam też, że te nogi wyraźnie fascynowały panią de Pure. Najwidoczniej zupełnie mimowolnie jej wzrok wędrował poza krawędź zbitego z desek stołu i zatrzymywał się na umięśnionych udach oficerów. Klatki piersiowe Andrew i Henry'ego zdobiła blaszana imitacja zbroi nieznacznie wybrzuszona po prawej stronie, gdzie też niechcąc wędrowały ich dłonie. Pomyślałam, że musieli przenieść swoje niezwykle tajne dokumenty ze swoich starych mundurów do nowych.

Miejsce przy oficerach niewinnie zajęty panny Bacon. Dzisiaj ich brzydota nie rzucała się w oczy tak, jak zwykle. Przebrały się bowiem za jakieś greckie czy rzymskie podlotki. Z trudem odróżniam Grecję od Rzymu, ale wiem, że gdzieś w tamtych okolicach noszono kiedyś krótkie tuniki z rozcięciami po bokach. Udrapowany luźno materiał miło przysłaniał kanciąstą chudość pańienek. Boczne rozcięcia odsłaniały natomiast uda na całej ich długości. Nie udało się też ukryć, że te właśnie rozcięcia odwracając uwagę od nieciekawych twarzy dziewcząt przyciągały najbardziej wzrok rzymskich legionistów.

Już w tej części stołu zapowiadała się ciekawa zabawa, a nie należy przecież zapominać, że dalej siedział bankier ze swoją żoną, śpiewak Bonetti, a na przeciwko nich, po drugiej stronie stołu Weiss, Luiza i Kapitan.

Wygląd bankiera Bacona poprawił mi humor. Bacon siedział prawie dokładnie na przeciwko mnie. Z początku nie mogłam skojarzyć kim jest ta straszna osoba. Dopiero, kiedy zaczęła ona strofować rozszczebiotane panny Bacon, zrozumiałam, że mam przed sobą ich szanownego ojca. Nie wiem, co za przekorny duch wstąpił w tego poważnego mężczyznę i kazał mu przykleić sobie do twarzy sztuczną brodę i wąsy i co w końcu kazało mu rozebrać się do pasa i przykryć tłusty brzuszek tylko pasem lamparciej skóry. Mina jego przebranej za zwiewną wróżkę żony wskazywała, że jest oburzona tym nagłym odsłonięciem tajemnic ciała męża. Sama wyglądała niemal bezcieleśnie. Różowy tiul spowijał jej ciało w niezwykle urzekający sposób. Cała jej postać wydawała się smuklejsza z powodu wysokiej, spiczastej czapki uwieńczonej różowym welonem. Z ręki nie wypuszczała patyka owiniętego złotą wstążką, który miał być czarodziejska różdżka. Kiedy pani Bacon odwracała głowę do siedzącego po jej lewej stronie śpiewaka, jej oczy nabierały wyrazu rozmarzenia, jak gdyby patrzyły teraz na zupełnie inny świat. Granica między zwyczajnym światem symbolizowanym przez rozebrane-

go pana Bacona, a światem Sztuki i Piękna ucieleśnionym przez Bonettiego przechodziła niewidzialna linia począwszy od czubka nosa pani Bacon i dzieliła jej cynowy talerz z kawałkiem pieczeni na połowę. Nieszczęsna kobieta balansowała na granicy tych dwóch światów i na pewno czuła się coraz bardziej pomieszana. Z tego też powodu nie była w stanie zwracać uwagi na to, co też wyprawiają jej córki.

Bonetti był jeszcze słaby po ostatnich przejściach. Kazał przynieść sobie z dołu krzesło z oparciem i w pozycji półleżącej wachlował się ostentacyjnie chusteczką. Jego strój był bardzo starannie przygotowany i miał zapewne być strojem pasterza. Nie sądzę jednak by gdziekolwiek na świecie chadzało się pasać owce w jedwabnych pończochach i w wyszywanych srebrną nitką pantalonach. Jasna peruka z długimi do ramion, luźno puszczone włosami nadawała jego twarzy nieco dziecinny wygląd. Bonetti często wzdychał i wywracał oczami. Artysta kazał grzać swoje wino i jego biedny lokaj biegał wciąż z kuchni na pokład i z powrotem.

Na przeciwko Bonettiego, już po mojej stronie stołu siedziało podobne przeciwieństwo Artysty. Nie wiem jak mam wytłumaczyć ten dziwaczny zwrot: „podobne przeciwieństwo” albo może lepiej „przeciwnie podobieństwo”, lecz czułam, że Weiss i Bonetti są w czymś ważnym do siebie podobni i jednocześnie w czymś równie ważnym (a może nawet w tym samym) całkowicie odmienni. Weiss był przebrany za pirata. Jedno oko miał przesłonięte czarnym filcem, a jego głowę zdobił czarny kapelusz z dużym rondem. Przez niezbyt muskularny tors przewiesił sobie pas, który zapewne miał imitować pas z nabojami do pistoletów. Oczywiście pas żurnalisty nie był uzbrojony. Za to nasz spokojny Weiss pożyczył sobie od kogoś, myślę, że od Henry'ego albo Andrew, prawdziwą szpadę, z **powodu** której siedział bardzo sztywno i poruszał się tylko z konieczności. Widać było jasno, że ten człowiek nie nawykł do obcowania z bronią.

Patrząc na nich zastanawiałam się na czym miałyby polegać ich ewentualne podobieństwo. Bonetti był słaby, Weiss zaś wyglądał na mocnego. Pierwszy był delikatny i kobiecy, drugi męski i szorstki. Pierwszy był raczej bierny i wymagający ciągłej uwagi i opieki, drugi aktywny, skryty, chodził własnymi drogami. W końcu Bonetti był artystą, a Weiss żurnalistą czyli zaprzeczeniem wszelkiego artyzmu. Obaj mieli jednak w równie ciemnych oczach jakieś zagubienie, a może płochliwość właściwą ludziom wrażliwym, usta ich obu wyginały się kącikami do dołu. Łączyło ich także to, że do pewnego czasu ich podejrzewałam i nadal nie byłam pewna, że nie miałam racji.

Po lewej ręce Weissa **siedziała** Luiza, najpiękniejsza cyganka, jaką kiedykolwiek widziałam. Nie było to zdaje się tylko moje zdanie, bo Luiza ubrana wreszcie we właściwy sobie kobiecy strój budziła zachwyt zarówno mężczyznom jak i kobiet. Siedzący przy niej Kapitan był oszołomiony, a ponieważ Luiza wciąż była tylko lokajem przebrany za cygankę, Kapitan musiał hamować swoje adoracyjne zapędy. Jak każdy mężczyzna najbardziej bał się tego, że mógłby być posądzony o ciągoty do swojej płci.

Przy Kapitanie siedziałam ja. Nie czułam się dobrze i z powodu napięcia, i z powodu stroju. Biało-czarne domino, z konieczności luźne, kryjące kształty i mało kobiece robiło ze mnie biało-czarny tłumok. Moje zaokrąglone biodra, z których jestem tak dumna, były ukryte; mój kształtny biust, który podniecał zawsze tyłu mężczyzn był pod tym wszystkim prawie niewidoczny; ramiona i dekolt nazywane kiedyś najpiękniejszymi w Koronie Brytyjskiej zdobiły teraz głupie pompony i śmieszny kołnierz.

Jestem pewna, że gdyby nie Falcon i Kapitan przy stole byłoby nudno. To oni podtrzymywali konwersacje i dbali, żeby każdy miał pełen kielich. Ich dowcipowi i elokwencji przygrywała sklecona naprędce z grających na dziwacznych instrumentach marynarzy orkiestra. Nic z tego, co grali nie przypominało me-

nueta, a jednak Kapitan zapowiedział wieczorne tańce. Nie byłam w stanie cieszyć się tym pomysłem, choć normalnie uwielbiam tańczyć. Nasz kochany król-Kapitan widział, co się ze mną dzieje i szepcząc mi do ucha wesołe i miłe komplementy dodawał mi otuchy.

Zaczęło się powoli ściemniać i ktoś namówił Kapitana, żeby opowiedział o piratach. Może to był nawet Weiss. Kapitan z chęcią wziął się za opowiadanie zaczynając od tego jak był dzieckiem i w jaki sposób po raz pierwszy trafił na statek. W tym czasie Duch poprosił do tańca jedną z Młodych Rzymianek, zaś ta, która została przy stole za chwile już ciągnęła na tańce Rzymskiego Legionistę. Młodzi tańczyli statecznie i porządnie robiąc mnóstwo figur, wymijań i ukłonów. Uspokojona tym pani Bacon podparła różdżką brodę i oddała się słuchaniu mrozących krew w żyłach **historii** o piratach.

- Czy to prawda, że oni noszą noże w zębach i potrafią zjadać swoje ofiary żywcem - zapytała.

- To przesada, moja pani. Najczęściej są to zwyczajni marynarze, którzy mieli dość pływania za marny grosz i postanowili założyć własny interes. Są wśród nich zbuntowani żołnierze, zbiegli przestępcy i inni nikczemnicy wołający błąkać się po morzu niż wieść przyzwoite życie. Kiedy po raz pierwszy miałem okazję być przez nich napadniętym...

- A co robią z kobietami, które znajdują się na napadniętym przez nich statku?

Kapitan zrobił dłonią nieokreślony gest.

- Nie można się im dziwić. To przecież mężczyźni, którzy nie prowadzą normalnego, regularnego życia. Rzeczywiście stanowią oni dla pasażerek pewien problem. Kiedy po raz pierwszy...

- Czy na naszej trasie mogą być pirackie statki? Czy jesteśmy dostatecznie uzbrojeni? - pytała pani Bacon z gęsią skórką na obfitym ciele.

- Proszę się nie obawiać. Mamy armaty i muszkiety. Poza tym

nasz „Rainbow” należy do bardzo szybkich statków. Mało który kliper jest w stanie nas dogonić. Kiedy po raz pierwszy miałem okazję spotkać na swojej drodze piratów, okazało się, że ich przywódcą jest pewien szlachcic znany mi kiedyś bardzo dobrze. Po starej znajomości zgodził się na wzięcie niewielkiego okupu i dał spokój moim pasażerom. Lecz zdarzają się i tacy, którzy gotowi są siłą i gwałtem wyczyścić statek z wszelkich wartościowych rzeczy.

- Ach, mój dobry Boże - westchnął z przestraczem pan Bacon w lamparciej skórce.

- Może nasz artysta, z którym mamy zaszczyt przebywać zaśpiewałby nam coś, co umili nam nasza tak niebezpieczna podróż? — zaproponowałam, żeby zmienić temat na przyjemniejszy.

- Ach tak, tak - ożywiła się bankierowa. - Ale czy czuje się pan już na tyle dobrze?

Bonetti otarł sobie czoło chusteczką i, ku zaskoczeniu wszystkich, bez żadnych wymigiwań zgodził się zaśpiewać. Kapitan dał ręką znać orkiestrze i dziwaczna muzyka umilkła. Bonetti wstał, oparł się ramieniem o burtę i nabrał do płuc powietrza. Trwał tak przez chwile w bezruchu, a potem z jego ust dobył się głos. Było to coś niesamowitego. Ten mały pękaty człowieczek był prawdziwym artystą. Jego głos płynął ku czystemu, ciemniejącemu niebu i był tak samo potężny i piękny jak to niebo. Ta najbardziej ludzka muzyka niesła się po powierzchni oceanu aż do horyzontu, potem wracała odbita od fal, żeby opleść sobą płynący samotnie statek. Wydawało się, że wszystko wokół zamarło, żeby słuchać śpiewu Bonettiego. Cisza panowała jeszcze długo, kiedy skończył. Wreszcie ktoś z namaszczeniem zaczął bić brawo. Pani Bacon była bliska omdlenia z rozkoszy. Nawet jej nieczuły mąż był wyraźnie wzruszony.

Słuchając Bonettiego spontanicznie oddaliłam od niego wszelkie podejrzenia. Ktoś, kto potrafi obcować na co dzień z czymś tak doskonałym i jeszcze dawać to ludziom, nie może

mieć w sobie żadnych złych zamysłów. Byłam pewna, że piękno jest czystym dobrem, a więc nie może mieścić się w takim człowieku, jakim zapewne był Krator. Przypomniawszy sobie o Kratorze popatrzyłam na twarze siedzących przy stole. Jedyne na twarzy pana de Pure nie było widać poruszenia. Siedział sztywno przy swojej żonie i gładził ją po ręce. Jego jasne oczy patrzyły na Bonettiego z całkowitą obojętnością. Przeszedł mnie zimny dreszcz.

Bonetti poczuł się zmęczony.

- Pozwól państwu, że pójdę do siebie i trochę odpocznę. Postaram się za pół godziny być tu z państwem znowu.

Gdy odchodził od stołu wszyscy wstali z szacunkiem. Mnie jeszcze przemknął przez głowę obraz śpiewaka rzucającego się konwulsyjnie po swojej koi, ale w mojej świadomości był to już ktoś zupełnie inny. Byłabym w stanie wybaczyć Bonettiemu o wiele więcej niż te spazmy i dziwactwa.

Teraz zaczęto rozmawiać o sztuce. Prym wiedli Falcon i panicz Altenborough, któremu najwidoczniej znużyły się tańce oraz pani de Pure. Jej mąż zszedł po coś pod pokład i dość długo nie wracał. Z początku słuchałam z zainteresowaniem o czym jest mowa, ale nie długo. Cały czas spodziewałam się jakiejś katastrofy. Szepnęłam na ucho Kapitanowi, żeby nie pił zbyt wiele, lecz on najwidoczniej nie słuchał mnie, bo wciąż dolewał sobie i wszystkim wokół cierpkiego i mocnego wina. Od czasu do czasu spotykałam porozumiewawczy wzrok Luizy Cyganki, ale nie wypadało nam zbliżyć się do siebie zanadto. Była przecież moim lokalem. Najbardziej ciągnęło mnie do Falcona. Miałam do niego dziwne zaufanie. Może z powodu jego mocnej postury i widocznej w rękach siły. Falcon jednak tak bardzo zaaferował się dyskusją o pięknie, że nie zauważył nawet Pirata Żurnalisty proszącego mnie do tańca. Nie mogłam odmówić, nie chciałam robić **zamieszania**. Także Weiss był już podpity. Tańcząc z nim mimo woli myślałam o nożu, który zaraz przebiję cienki mate-

riał domina i zagłębi się w moje biedne ciało zapominając z przejęcia, że żurnalista ma wobec mnie zgoła inne plany.

- Kiedy? — zapytał gorącym szeptem.

- Co „kiedy”? - zapytałam nieprzytomnie.

- Kiedy do mnie przyjdiesz? Może teraz? Wszyscy są zajęci zabawą. Nikt nie zauważy.

Nie byłam w nastroju do flirtów choć czułam przez materiał pewien twardy kształt, wskazujący na to, że Weiss był gotowy.

- Nie mam ochoty tańczyć - powiedziałam i odsunęłam się od niego.

- Ach, nie, moja droga. Nie dam ci tak łatwo odejść - powiedział namiętnie i stanowczo przysunął się do mnie znowu.

- Wiem przecież, że to lubisz i o niczym innym nie myślisz...

- Daj mi pan spokój - syknęłam i tupnęłam nogą, a że jego stopa znalazła się przypadkowo pod moim obcasem, odskoczył z grymasem złości na twarzy. W tym momencie rozdzielił nas korowód tańczących utworzony z panien Bacon, oficerów rzymskich, Luizy, Kapitana, panicza Altenborough i marynarzy, którym Kapitan pozwolił się włączyć do zabawy. Zamieszanie to wykorzystał też Falcon i szybko znalazł się przy mnie. Pijana orkiestra grała coraz żałośniej, lecz to wcale nie przeszkadzało rozochoconym tancerzom. Drewniany pokład dudnił rytmicznie. Pani Bacon wahała się przez chwilę, a potem pociągnęła za sobą swojego lamparciego męża i po chwili tańczyli wszyscy oprócz starej pani de Pure.

- Hej, hej! - pokrzykiwał Kapitan pozbywszy się uprzednio korony i gronostajowego płaszcza. - Ta noc jest wyjątkowa! Cudem uniknęliśmy śmierci! Trzeba się cieszyć!

Byłam przerażona, bo sądziłam, że Kapitan się dokumentnie upił i nie będzie w stanie ratować mnie, ale kiedy nasze oczy spotkały się, zobaczyłam w nich uważność i skoncentrowanie. Kapitan udawał, że jest kompletnie pijany.

Musiałam przystanąć na chwilę, żeby złapać oddech.

Chłodny powiew wieczornej bryzy mile chłodził moja rozgrzana skórę. Ze zdziwieniem zauważyłam, że wśród tańczących znalazła się jakaś kobieta. Nie wierzyłam własnym oczom. Była ubrana w elegancką suknię, w jakich chodzi się do opery. Przy dekolcie miała przypięty wielki, purpurowy sztuczny kwiat. Jej włosy utrefione w wysoki kok spływały małymi loczkami wokół znajomej skądś twarzy. Śpiewak Bonetti! To był Bonetti! Wraz ze zmianą stroju nastąpiła chyba w nim jakaś przemiana. Miał teraz dość siły, żeby wdzięcznie podskakiwać unosząc końcami palców rąbek spódnicy. Za nim, czy może za nią, postępował lokaj Bonettiego w stroju swojego pana. Na nikim oprócz mnie nie zrobiło to wrażenia. Tańczący korowód sunął między zwojami lin aż do steru i wracał po schodach w okolice stołów.

- Uhu-hu! - pokrzykiwał Bankier Bacon, a jego żona wyznaczała spiczastą czapką centrum zamieszania.

- A-ha-ha-ha - jodłował po indiańsku Falcon potrząsając piórami na głowie.

- Heja, heja! — wrzeszczał Weiss, który najwyraźniej zupełnie już o mnie zapomniał.

Nawet pani de Pure wstała i oparłszy się jedną ręką o krzesło poruszała się rytmicznie z boku na bok szczerząc bezzębne usta i zacierając ręce. Wyglądała jak bajkowa czarownica.

Wszystkich ogarnęło jakieś szaleństwo. Być może tak właśnie zachowują się ludzie, którzy niedawno mieli okazję uniknąć śmierci. Wobec jej ciemnej perspektywy nic nie mogło być już niewłaściwe. Bogate panny tańczyły z zarośniętymi marynarzami, lokaj tańczył z Kapitanem, oficer ze śpiewakiem. W pewnej chwili jeden z grających rzucił swój instrument i przyłączył się do korowodu. Wkrótce okazało się, że muzyka nie jest już potrzebna, że każdy słyszy swoją własną, która bierze się z radości życia takim, jakim ono jest, z tego, że statek płynie dalej, że jest noc, a po niej przyjdzie znowu dzień, że ma się ciało, które czuje i duszę, która potrzebuje przestrzeni. Zapragnęłam

i ja włączyć się do tego tańca życia i dać się ponieść nieokiełznannej radości i kiedy już miałam to zrobić znalazł się przy mnie Kapitan, który z najprzystomniejszą na świecie powagą powiedział:

- Już czas. Powinnaś się ukryć. Idź do kajuty oficerów, ja będę szedł za tobą.

Przedarłam się przez roztańczony tłumek, gdzie próbował mnie zaczepiać jakiś marynarz. Na widok Kapitana szybko zmienił obiekt zainteresowania. Gdy byliśmy tuż przy schodach rozgarnął się i śpiewy nagle przerwał czyjś przeraźliwy krzyk. Stałam zdezorientowana. Krzyk powtórzył się i dzięki temu łatwo dał się zlokalizować. Dochodził spod pokładu. Byliśmy z Kapitanem najbliżej i dlatego jako pierwsi zobaczyliśmy leżącą u stóp schodów nieprzytomną pannę Bacon. Obok niej klęczała jej siostra i krzyczała wniebogłosy.

Rozdział XII

*w którym występują gwałtowne i niezwykle wydarzenia
i okazuje się, że pomimo noża w plecach
nie ma ofiary ani mordercy.*

- Ratujcie moje dziecko! Na miłość boską ratujcie moje dziecko - pani Bacon ze szpiczastą czapką na głowie odchodziła od zmysłów.

Falcon podniósł powiekę nieprzytomnej dziewczyny i dokładnie sprawdzał, czy na ciele nie ma żadnych obrażeń.

- Ktoś musiał ją porządnie uderzyć o tutaj - powiedziała i wskazała palcem zaczerwieniony lewy policzek. — Poza tym nic jej nie będzie. Trzeba ją przenieść na łóżko.

Kiedy ją podnoszono, dziewczyna otworzyła oczy. Było w nich prawdziwe przerażenie.

- Machina... sztuczny... - szeptała coś bez sensu.

Kapitan chwycił mnie mocno za rękę i pchnął w kierunku swojej kajuty. Zrozumiałam ten gest. Krator zaczął działać. Z jakiegoś powodu zaatakował Bogu ducha winną Baconównę. Musiałam uciekać.

Miałam nadzieję, że nikt nie zauważył mojego zniknięcia. W kajucie Kapitana była już dla mnie przygotowana duża szata. Weszłam do niej zatrzasnęłam się od środka. Kapitan zamknął kajutę i pobiegł działać dalej. Teraz już nic nie zależało ode mnie. Wszystko było w rękach Opatrzności.

Ogarnęły mnie łaskawe ciemności. Usiadłam skulona na dnie szafy i ścisnęłam spoconymi dłońmi pistolet Kapitana. Nie oddam się bez walki, myślałam. Z korytarza i z pokładu na górze dochodziły do mnie przytłumione ścianami szafy różne odgłosy. Tupot nóg, jakieś trzaskania drzwiami. Jakiś kobiecy głos zawołał „Kapitanie, Kapitanie” i na krótką chwilę wszystko ucichło. Miałam teraz czas, żeby wszystko przemyśleć. Kto mógł ude-

rzyć pannę Bacon i co ona robiła na schodach? O ile pamiętałam wszyscy tańczyli. Nawet Bonetti wrócił przebrany za kobietę. No więc kto to mógł być. Nagle przypomniało mi się, że jeszcze przed tańcami od stołu odszedł pan de Pure, ale czy wrócił? Nie pamiętam tego. Bonetti i jego lokaj wrócili na pokład dużo wcześniej niż usłyszeliśmy krzyk. Weiss na pewno był cały czas obecny na górze i nigdzie nie wychodził. A może to wszystko zupełnie nie miało związku ze mną i Kratorem? Może szalona Baconówna zadawała się z jakimś marynarzem, który zdziesiął ją z jakiegoś powodu w twarz? Ta afera mogła więc powstrzymać Kratora. Umierałam z niepewności. Przyszło mi do głowy, żeby jednak stąd wyjść i coś zrobić. Ale co? Strzelić do pierwszej osoby, która do mnie podejdzie? Krator też mógł mieć pistolet.

Do moich uszu doszedł teraz męski krzyk. Coś jakby *pełne* wściekłości wezwanie do walki. Chciałam wstać i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie jestem w stanie. Strach sparaliżował moje ciało. Nie mogłam się ruszyć. Wydawało mi się, że słyszę zza drzwi odgłosy walki. Ktoś kilkakrotnie uderzył w drzwi kajuty. Któraś z kobiet krzyknęła krótko i nagle umilkła. Pokład nade mną zadudnił, jakby biegło po nim kilku mężczyzn.

- Niiieee! - jakiś nieprzyjemny ostry głos wrzeszczał pod samymi drzwiami i zaraz potem rozległ się odgłos wystrzału.

Ktoś jednak musiał czuwać nad wytrzymałością moich nerwów, bo przed oczami zrobiło mi się ciemno i zemdlałam.

- Co dzieje się z człowiekiem, który traci przytomność? Gdzie przebywa wtedy jego dusza skoro pamięta się tylko ciemność i beczność? Kto wydaje wtedy rozkazy ciału, żeby oddychało i żyło? Chyba nikt nie potrafi odpowiedzieć na te pytania i dlatego nie jestem w stanie powiedzieć ile czasu byłam nieprzytomna.

Kiedy się ocknęłam i otworzyłam oczy, zobaczyłam nad

sobą mnóstwo pochylonych twarzy. Czyjeś delikatne i miękkie ręce podtrzymywały mi głowę i gładziły po włosach.

- Pani Elwiro... - doszedł mnie jakby z oddali głos.

- Już wraca do siebie, patrzcie - powiedział ktoś.

Podsunięto mi jakieś świństwo, którego zapach natychmiast ściągnął moją duszę do ciała. Usiadłam. Znajdowałam się nadal w kajucie Kapitana, ale już nie w szafie lecz na podłodze. Wokół mnie zgromadzili się chyba wszyscy pasażerowie. Mieli przejęte, pobladłe twarze, jakby przeżyli przed chwila coś strasznego. Nad sobą zobaczyłam pełną miłości twarz Luizy - to jej dłoń gładziły moje włosy - i ten widok dodał mi sił.

- Czy on... już... co z nim... - chciałam zapytać o najważniejsze, ale słowa płątały mi się w głowie.

- Już po wszystkim, pani. Złapaliśmy go — powiedział Kapitan, a jego głos wydał mi się czymś bardziej pewnym niż skała.

Świadomość, że jestem bezpieczna rozluźniła moje napięte ciało i z westchnieniem ulgi upadłam znowu na koce.

- Kto to jest? — zapytałam po chwili.

- Zaraz sama zobaczysz - powiedziała Luiza.

Kiedy pani Bacon wlewała mi do ust trochę rumu rozglądałam się po zebranych. Zobaczyłam Falcona, który trzymał mnie za rękę, Kapitana, obie panny Bacon (jedna trzymała się za policzek), ich ojca, żurnalistę Weissa, panicza Altenborough z zainteresowaniem oglądającego pistolet, Bonettiego w kobiecej sukni oraz jego lokaja. Nie było oficerów i państwa de Pure.

- Chyba nie... - zaczęłam, a Luiza w lot zrozumiała moje przeżalenie.

- Nie, Andrew i Henry poszli go związać - powiedziała.

Zachwiałam się wstając. Kapitan wziął mnie pod rękę i wyszliśmy na korytarz.

Drzwi do mojej kajuty były otwarte na oścież. Na podłodze zamotane w sieć pułapki leżało jakieś ciało. Pochyliłam się nad nim i z przerażeniem zobaczyłam leżącą nieopodal, o s o b -

n o, rękę. Żołądek podszedł mi do gardła i schowałam twarz w królewskie odzienie Kapitana.

- Pani Elwiro, spokojnie, to tylko maszyna.

Kapitan pochylił się i odrzucił na bok sieć. Przed nami leżało coś, co do tej pory było panem de Pure. Jeszcze teraz, na pierwszy rzut oka, przypominało to człowieka, jednak po bliższych oględzinach, widać było, że jest to po mistrzowsku zrobiony automat. Z ramienia wystawały jakieś rury i przeguby. Nogi były nienaturalnie rozrzucone na boki, a od pociągniętej różową, jakby ludzką skórą głowy z jednej strony odkleiła się peruka. Szeroko otwarte, niesamowite oczy były ze szkła, w którym nieznanym mistrz zatopił coś, co łudząco przypominało tęczówki. Szponias to zagięte długie palce pozostałej ręki były zaciśnięte wokół rękojeści noża.

- To właśnie on zaatakował pannę Bacon — wyjaśnił Kapitan.

Nie mogłam jeszcze zrozumieć co się stało, dopóki nie zobaczyłam siedzącej przy stole postaci w biało-czarnym dominie z drugim nożem wbitym w plecy. To przecież miałam być ja! To w moich plecach miał teraz tkwić nóż. Wzdrygnęłam się i po raz drugi byłam bliska zemdlenia.

- Jak to sprytnie zostało zrobione - odezwał się bankier Bacon.

- Rzeczywiście można się na tę kukłę nabrać. Z tego miejsca wygląda zupełnie jak nasza biedna pani Elwira.

Pan Bacon przełamał pełne zgromy milczenie. Teraz każdy miał coś do powiedzenia.

- On mi się od początku nie podobał - powiedział teraz Falcon. - Był jakby zbyt sztywny.

- Miał takie przeraźliwe chłodne oczy - dodała pani Bacon.

- W ogóle nie wiedzieliśmy jak pił czy jadł - odezwała się jedna z jej córek. Była to ta, która nie musiała trzymać się za policzek.

Nadal nie umiałam pomieścić w swojej głowie tego, co tu widziałam i słyszałam. Pochyliłam się do Luizy.

- Czy chcecie mi powiedzieć, że ta kupa żelastwa była Kratorem?
- Ach, nie. Krator został związany i zaprowadzony do swojej kajuty. Pani de Pure jest Kratorem — powiedziała spokojnie Luiza.

Kapitan nadal trzymając mnie mocno za ramie wycofał się na korytarz, a za nim poszło całe zebrane towarzystwo. Za zakrętem na końcu korytarza mieszkali do niedawna państwo de Pure. Co zostało z pana de Pure już zdążyłam zobaczyć. Teraz miałam spojrzeć w oczy temu komuś, kto był panią de Pure i moim prześladowcą w jednej osobie. Boże, czy to możliwe, żeby Krator był kobietą? Nie mogłam pogodzić się z tą myślą. To był jakiś straszny sen. Może usnęłam w tej szafie? Może wcale nie wypłynęłam do Ameryki i teraz śnię to wszystko w moim bezpiecznym domu w Hatcliff?

Kiedy Kapitan otworzył drzwi naszym oczom ukazał się żałosny widok. Pani de Pure siedziała związana jak baleron na krześle. Jej potargane rzadkie włosy były kosmykami poprzyklejane do wykrzywionej wściekłą bezsilnością twarzy. Porwana suknia pełna koronek była podarta i odsłaniała chudą, zapadniętą klatkę piersiową. Pani de Pure w ogóle nie miała piersi. Pani de Pure była mężczyzną! Obok niej stali oficerowie z odbezpieczonymi pistoletami.

- Możecie to schować. Nie jest już niebezpieczny - powiedział Kapitan i przepuścił **mnie** przodem. Za nami weszli pozostali. Pani de Pure czy też może Krator zareagował na mój widok stemkiem wyzwisk.
- Ty wstrętna dziwko - krzyczał - zabiję cię, jeszcze cię dopadnę. Takie kreatury jak ty nie powinny kłaść brudnymi stopami czyste matki ziemi.
- Milcz pan, mówisz do damy. Albo ci zaraz załaduje w tą obmierzłą gębę — powiedział Falcon. Krator szarpnął się w więzach.

- Dama? Chyba nie wiesz co mówisz, ty amerykański bękarcie. To najgorsza londyńska kurwa! Żałuje, że was wszystkich nie otrułem już na początku. Mogłem to zrobić i żyć teraz ze świadomością, że obmyłem świat z brudu.

Falcon wyrwał się do przodu z uniesioną pięścią.

- Zostaw go, panie. Jest związany - powiedziałam spokojnie.

- Nie lituj się nade mną! - zawył nagle Krator. - Tylko się nade mną nie lituj ty marna wywłoko. Lepiej mnie zastrzelcie od razu. Och, jak się wami brzydzę samce i suki. Kopulujące miasta i wsie, pieprzące się całe królestwa...

- Co on mówi? - zapytał Bankier Bacon. - Przecież to wariat.

- Trzeba się zastanowić co mamy z nim zrobić - powiedział Kapitan.

- Może wrzucimy go do morza - zaproponowała ta z panien Bacon, która trzymała się za policzek.

- Powinno się oddać takiego kogoś w ręce władz — odezwał się nieśmiało Henry.

- Ja tu jestem władzą - przypomniał Kapitan.

Podczas tej rozmowy przyglądałam się mojemu prześladowcy. Nie tak wyobrażałam sobie Kratora. To prawda, że nigdy nie miał swojej własnej twarzy: zawsze był trochę Weissem, trochę Bonettim, każdym obecnym tu mężczyzną po trosze. Wyobrażałam sobie przede wszystkim, że będzie silny, władczy i karzący niczym jakiś szatański bożek. Teraz widziałam jasno, że nie było w nim nic siły. Był za to jakiś spazm, skurcz gdzieś w środku i z niego brała się ta złudna siła. Była w nim szaleńcza obłąkana nienawiść, która, podejrzewam, bierze się po prostu ze strachu. To ja byłam przy nim silna, a on słaby przy mnie. To dlatego tak mnie nienawdził. Patrzyłam śmiało na niego usiłując spotkać jego wzrok, a kiedy to nastąpiło, nie dostrzegłam w nim nic strasznego. Był to po prostu wzrok człowieka głęboko ukrytego w samym sobie, wręcz w sobie więzionego, kogoś, kogo pętają złudzenia, kto nie odróżnia rzeczywistości od własnych rojeń.

Było mi żal Kratora, gdy on nie wytrzymał mojego wzroku i odwrócił oczy.

Po całej tej wizji lokalnej przeszliśmy do kajuty Kapitana, gdzie jeszcze tak niedawno leżałam zemdlna w szafie, żeby napić się rumu i zastanowić się co dalej. Ja jeszcze potrzebowałam wyjaśnień. Nie wiedziałam na przykład kto napadł pannę Bacon i dlaczego pod siecią znaleziono pana... to znaczy to coś, a nie Kratora.

- To proste, pani Elwiro - powiedziała madame Bacon - Moja córka schodziła właśnie po schodach pod pokład, żeby poprawić sobie fryzurę, a ten przerażający sztuczny człowiek szedł na górę. Mijali się po prostu, a on ni stąd ni zowąd ją zaatakował.

- Potem, kiedy cuciliśmy dziewczynę i zrobiło się niezłe zamieszanie złoczyńca udający panią de Pure czy też pani de Pure, która była złoczyńcą uznała widocznie, że nadszedł odpowiedni moment i w jakiś sposób kazała iść tej maszynie do kajuty pani Elwiry. - mówiąc to Kapitan wstał i z kieliszkiem w reku przechadzał się po dość ciasnej kajucie.

- Niestety głupia maszyna nie widząc nigdzie pani Elwiry pomyślała, że musi być ona w swojej kajucie. Weszła tam i zauważyła postać siedzącą przy stole...

- I to był manekin! - klasnęła z prawdziwą radością pani Bacon.

- Ale maszyna myślała, że jest to pani Elwira.

Kapitan zawiesił dramatycznie głos. Byłby z niego niezły adwokat. Po chwili pociągając z kieliszka mały łyk rumu, Kapitan powiedział łamiącym się szeptem:

- I zadał cios nożem.

Luiza siedząca przy mnie zakryła w tym momencie twarz dłońmi. Pani Bacon i jej córki patrzyły na mnie wybałuszonymi oczyma.

- Cholera - rzekł Falcon.

- Na szczęście - kontynuował Kapitan - przewidzieliśmy taki

obrót sprawy. W pokoju pani Elwiry zastawiona była pułapka, a postać siedząca przy stole była jej elementem. Nasi dzielni oficerowie, którzy będąc wtajemniczeni obmyślili działanie tej pułapki, w odpowiednim momencie pociągnęli za sznury i sieć spadła na głowę mordercy. Ponadto obecni tu z nami panowie Andrew i Henry rzucili się na nikczemnika chcąc być pewni, że nie zbiegnie on z miejsca zbrodni.

- Maszyna przebija nożem manekina. O jakiej zbrodni pan mówi - przerwał Kapitanowi Weiss, który na dodatek zakopcał pomieszczenie dymem z fajki.

- Rozumiem, co ma pan na myśli. Jednakże, gdyby nie pewne nasze starania maszyna przebiłaby plecy naszej ukochanej pani Elwiry.

- Proszę nie mówić w ten sposób - krzyknęła histerycznie pani Bacon.

- Najmocniej panią przepraszani, ale chcę wyjaśnić ogrom grożącego pani Elwirze, a może i wszystkim kobietom na statku, niebezpieczeństwa.

- Proszę mówić dalej, Kapitanie - powiedział Falcon.

- W czasie szamotaniny okazało się, że mordercy odpadła ręka. Ten niezwykle fakt wcale nie skonfundował naszych dzielnych żołnierzy. Uznali, że człowiek z urwaną ręką przestaje **być** groźny i zostawili go w spokoju. Dopiero patrząc na tę kreaturę z góry domyślili się, że coś jest nie tak. Szybko mnie zawołali i we trójkę staliśmy się już pewni, że prawdziwym winowajcą jest to, co zwykli byliśmy uważać za panią de Pure. Gdy wpadliśmy do jej kajuty mierzyła w nas pistoletem i nawet udało się jej strzelić. Niecelnie na całe szczęście. W ciągu kilku chwil została unieszkodliwiona przez dzielnych oficerów.

- Miała białą różę zatknęłą za dekolt - odezwał się nieśmiało Andrew.

- Tak właśnie było - kontynuował Kapitan. - Potem poszliśmy po panią Elwirę, która tymczasem zemdłała na odgłos strzału.

Wszystko zostało wyjaśnione, a jednak ciekawość pasażerów nie została zaspokojona. Cała ich uwaga koncentrowała się na panu de Pure czyli jednorękiem maszynie leżącej na podł(ylze w mojej kajucie.

- Jak to możliwe skonstruować taką maszynę, żeby dokładnie podrabiała zachowanie człowieka? - zastanawiał się głośno panicz Altenborough. - Musi być przecież jakiś napęd.

- Z pewnością był nakręcany - rzucił Weiss. - Widziałem takiego dwa lata temu w Berlinie. Grał w szachy, grał na instrumentach, oddychał i mrugał powiekami. Zrobił go najlepszy zegarmistrz w Niemczech. Panie Kapitanie - Weiss odwrócił się

- chciałbym zrobić oględziny pana de Pure. Jestem dziennikarzem, a to jest prawdziwa sensacja na pierwszej stronie.

- Że też nas nie zdziwiło, że on nigdy nie jadł ani nie pił w towarzystwie - powiedział Falcon.

- Czasem miał takie smutne oczy... A jednak biło od niego jakieś coś... takie... — nie mogła zdecydować się pani Bacon.

Wiadomo było, że bal skończył się raz na zawsze. Ten, kto mógł spać po tym wszystkim miał teraz czas, żeby położyć się do łóżka. Nikt jednak się specjalnie nie kwapił. Alkohol już dawno ulotnił się z najbardziej słabych głów. Przez małe okienko wpadał różowy blask świtu. Ktoś pierwszy, nie wiadomo czemu, złożył gratulacje i wkrótce już wszyscy ściskali sobie dłonie, śmiejąc się i żartując.

- Chcę pani powiedzieć jak było naprawdę z tą maszyną - szepnęła mi do ucha panna Bacon (ta od policzka) i pociągnęła mnie za sobą na korytarz. - On mnie od początku intrygował. Był taki wyniosły. Kiedy zobaczyłam, że poszedł pod pokład, postanowiłam go przydybać. Zeszłam za nim, ale nie wiedziałam, gdzie jest. Wreszcie go zobaczyłam jak szedł w stronę pani kajuty i niósł coś małego w ręce. Wtedy mnie to nie obchodziło. Stanęłam przed nim i próbowałam do niego coś zagadać. Odpowiedział mi „dobry wieczór”. Pomyślałam, że nie ma tu co się wda-

wać w uprzejmości i dałam mu do zrozumienia, że... wie pani. W ogóle nie zareagował, więc złapałam go za rękę i pociągnęłam pod schody. Potem sięgnęłam mu do spodni mając nadzieję, że znajdę tam coś dla siebie. I... niech pani sobie wyobrazi jakie to musiało być dla mnie straszne... nic tam nie znalazłam. Zupełnie nic. Płasko i **zimno**. Przeraziłam się i wtedy musiałam krzyknąć. Nie wiem, co on mógł czuć. Może wcale nie był w stanie nic czuć. Nagle zrobiło mi się czarno przed oczami i straciłam przytomność.

Biedne dziecko. To zdarzenie powinno być dla niej ostrzeżeniem. Kiedy traktuje się wszystkich mężczyzn jak maszyny, kiedyś trafi się na prawdziwą maszynę.

- Dlaczego nie zainteresujecie się porządnymi dżentelmenami. Czy nie pomyślałyście o oficerach? - zapytałam.

- Jasne! Ale oni wodzą cielęcym wzrokiem za panią i pani lokajem.

- To moja przyjaciółka.

- Teraz wiem, ale nawet jako chłopiec była bardzo ponętna...

- No, cóż - powiedziałam trochę zażenowana.

Panna Bacon nagle chwyciła obie moje ręce i przycisnęła sobie do ust.

- Chciałabym być taka jak pani. Jak to zrobić, żeby być taką jak pani?

Rozdział XIII

*w którym wychodzi na jaw, że nie spadły na nas wszystkie plagi
i w którym zjawiają się piraci.*

Tego poranka sądziliśmy wszyscy, że już nic gorszego niż ten szalenciec z morderczą maszyną nie może nas spotkać. Ludzka wyobraźnia, nie dość, że ograniczona do tego, co znane, ulega też nastrojom chwili. Boimy się duchów i potworów, kiedy zapada nocna ciemność, a spodziewamy się samych dobrych chwil, gdy właśnie wschodzi słońce i nadchodzi nowy dzień. Rzeczywistość jest o wiele bardziej przewrotna.

Szykowaliśmy się już do rozejścia i położenia się wreszcie spać, gdy do kajuty wpadł pierwszy oficer z twarzą tak straszłą, jakby zobaczył latającego Holendra. Najpierw zaczął bełkotać i dopiero trzeba go było stuknąć mocno w plecy, żeby przyszedł do siebie.

- Piraci - wyrzucił wreszcie spomiędzy trzęsących się warg. - Obcy kliper, czarne żagle... to ten sam co kiedyś... piraci. Zabija nas!

Kiedy to wszystko usłyszała Kapitan, zobaczyłam jak jego twarz zszarzała.

- Szybko, na pokład! Wszyscy pod moje rozkazy! Ładować działa! Nie oddamy się bez walki! - krzyczał, jednak jego głos nie wywarł oczekiwanego skutku. Wszyscy stali zupełnie jak kamienne posągi, a potem zemdlała pani Bacon ruchem tak wdzięcznym jak opadający różowy płatek lilii. W tym bezruchu było niedowierzanie. Czyż potrzeba nam tu jeszcze piratów? Czyż *po* to walecznie złapaliśmy mordercę, żeby zginąć teraz z rąk morskich bandytów?

Pierwszy ruszył się bankier. Nie pobiegł wcale na pokład do ładowania dział lecz do swojej kajuty, zapewne ukryć kosztowności i pieniądze. Potem oprzytomnieli obaj oficerowie, An-

drew i Henry, jedną ręką chwytając za swoje szpady, a drugą za dokumenty wagi państwowej ukryte na ich piersiach. Po tym wszystkim nastąpił rwetes porównywalny z zamieszaniem z powodu burzy kilka dni temu. W panicznej bieganinie znalazłyśmy się z Luizą na pokładzie. Ktoś włożył nam do rąk ogromne i ciężkie muszkiety, którymi przecież i tak nie umiałyśmy się posługiwać. Słońce wisiało nad horyzontem, czerwone i pełne siły, oświetlając wszystko czerwonym, krwistym blaskiem. Od zachodu pruć ku nam fale mały, obskurny żaglowiec urągający czystemu niebu ciemnoszarym żaglem. Szybkość, z jaką się zbliżał nie dawała nam żadnych szans, ale nawet w tej sytuacji Kapitan zdecydował się na walkę. Po chwili wystrzelono z jednego z naszych dział. Widzieliśmy jak kula wpadła do morza wzbudzając fontannę wody. Drugie działło się zacięło, a trzecie wystrzeliło wtedy, gdy piracki statek zmienił kurs i zachodził nas teraz od północy. Większość marynarzy była jeszcze pijana lub skacowana. Niektórzy z nich wyglądali tak, jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje. Było jasne, że jesteśmy straceni. Nasza buńczuczna obrona mogła jedynie popsuć naszą sytuację. Obecny statek był tak blisko, że widzieliśmy na nim zadowolonych z siebie i uzbrojonych po zęby obdartusów. Był jeszcze mniejszy niż się spodziewałam. Z pewnością swojej niedużej wielkości zawdzięczał tę niezwykłą szybkość i zwrotność.

— Przygotować się do abordażu! - usłyszałam po francusku z tamtej strony.

- To Markiz - wyszeptał z przestraczem Kapitan. - Trzeba się wziąć w garść.

Zrzucił gronostajowy płaszcz i szybko włożył przyniesiony mu przez marynarza mundur. Ręka mu drżała, kiedy zapalał fajkę. Przypomniał sobie widocznie o nas, bo ledwie słyszalnym szeptem kazał nam dwóm schować się do ładowni.

Było już jednak za późno. Po zaczepionych hakami linach, zwinnie niczym małpy, **przechodzili** na nasz statek piraci.

Mieli nabite pistolety, a w drugiej ręce trzymali jakieś podobne do rzeźnickich noży narzędzia. Każdy z nich był brzydszy i wstrętniejszy od poprzedniego. Przede wszystkim byli brudni i obdarci. Wszyscy mieli niechlujne brody z zaplatanymi w nich resztkami jedzenia. Wielu z nich było w jakiś sposób kalekami: a to brakowało im nogi, to palca u ręki, to oka lub ucha. Przypominali mi tak często widziane w Londynie koty śmietnikowe.

Było ich już na statku ponad dziesięciu, kiedy po najszerszym trapie zszedł do nas ich szef, ten Markiz, o którym wzmianka tak przstraszyła Kapitana. Wyglądał inaczej niż jego marynarze. Był czysty, schludny, a nawet elegancki. Miał na sobie srebrzysty surdut z guzikami z masy perłowej. Spod niego wystawały piękne koronki jedwabnej koszuli i przybrudzone były tylko na koniuszkach. Białe, gładkie pończochy opinały gładką łydkę, a wyższa część nogi okryta była błękitnymi pantoflami. Markiz miał ciemne włosy związane na karku ciemną, nie rzucającą się w oczy taśmą. To wszystko ogarnęłam jednym tylko spojrzeniem, bo zostało ono zaraz przyciągnięte przez niezwykłą i piękną twarz przywódcy piratów. Pewnie z jej powodu nosił to przezwisko albo być może był prawdziwym Markizem... Jego twarz była młoda i niezwykle harmonijna. Miał ciemne oczy, nieco orli nos i pięknie wykrojone ciemnoczerwone usta. Nad kącikiem ust tkwił mały złotny pieprzyk. Z tej twarzy bił spokój i szlachetność, ale zaraz potem dostrzeżało się jej chłód. Markiz nie powinien się odzywać ani, tym bardziej, uśmiechać. Kiedy bowiem otworzył usta, ukazały się w nich szkaradne zęby, które przypominały zbutwiałe pieńki. Brunatne, zjedzone szkorbutem dziąsła ledwie utrzymywały te żałosne resztki. Ten kontrast pomiędzy pięknem twarzy i brzydotą zębów ukazywał znacząco jak pod cienką powierzchnią dobra może tkwić zepsucie i rozpad. Przypomniała mi się kiedyś pieczarka, jaką znalazłam przypadkiem w parku. Z zewnątrz była piękna i dorodna, ale kiedy spróbowałam ją zerwać rozlała mi się w palcach.

W środku było biało od robaków.

- A więc znowu się spotykamy, Kapitanie - powiedział Markiz schodząc z trapu.

- Wolałbym nie mieć tego wątpliwego zaszczytu - mruknął Kapitan nieuprzejmie.

- Myślę jednak, że należą się panu i pańskim dzielnym pasażerom jakieś drobne rozrywki. Podróż przez ocean musi być bardzo męcząca.

- Właśnie skończył się bal na statku.

- Och, jaka szkoda, że nie zaczekaliście na nas. Bylibyśmy świetnymi partnerami do menueta - zaśmiał się Markiz i pokazał swoje czarne dżiąsła w całej okazałości.

- Czego chcesz? Okupu, jak tamtym razem? Krwi? Ludzkiego cierpienia dla rozrywki? Damy ci co mamy i odpłyniesz w swoją stronę. Jesteśmy zmęczeni, cudem wyszliśmy z burzy...

- Ja będę dyktował warunki. Wezmę sobie, co zechcę i odpłynę kiedy zechcę. — Markiz zaczął przechadzać się z rękami założonymi do tyłu i przyglądać się nam beczelnie. - Widzę tu piękne suczki - powiedział i ujął mnie pod brodę. - Skąd wzięłeś taki dobry towar?

- Zabierz swoje brudne łapy! To są damy - odezwał się spokojnie Kapitan.

- O tak, wszystkie są damy, dopóki im się nie zdejmie majtek. Markiz przysunął twarz do mojej twarzy. Poczulałam jego nieświeży oddech. Potem jego uwaga skupiła się na Luizie i pogłaskała ją delikatnie po karku. Bałam się, że Kapitan nie wytrzyma i zrobi coś nieprzemyślanego. Nie mielibyśmy żadnych szans. Markiz zostawił nas jednak w spokoju, rzucił okiem na Baconówny i wrócił do Kapitana.

- Potrzebujemy kilku marynarzy, bo swoich straciliśmy niedawno, kucharza, żywności, ubrań i czegoś, czym można by było pocieszyć oko. Macie na pewno trochę złota, co? Weźmiemy co się nam należy i odpłyniemy w pokoju. To uczciwe warunki.

- Ty... - zaczął Kapitan i natychmiast podbiegło do niego dwóch zbirów i chwyciło go pod ręce.

- A teraz, chłopcy, możecie się trochę zabawić - rzucił wesoło Markiz i ruszył w stronę wejścia pod pokład.

- Zaraz, zaraz, panie — powiedziałam dziwiąc się swojej odwadze. - Może mogłabym panu zaproponować lepszy interes niż ten, który pan nam łaskawie przedstawił. Zapraszam pana i Kapitana do siebie na kieliszek rumu i coś słodkiego. Pańscy chłopcy mogliby w tym czasie posilić się trochę. Markiz umiał nie pokazywać po sobie zaskoczenia.

- A cóż to masz mi pani, do zaoferowania? Umieram z ciekawości.

- Porozmawiajmy o tym w przyjemniejszych okolicznościach. Zapraszam na rum.

Powiedziałam to nie myśląc, że się zgodzi. Chciałam grać na czasie mając jakąś dziecinną nadzieję na ratunek. Wiedziałam, że Markiz był zaskoczony i to był plus dla nas. Ku mojemu zdziwieniu zgodził się. Idąc na dół spotkałam równie zdziwiony wzrok Kapitana.

Usiedliśmy w przytulnej kajucie Kapitana we trójkę. Zaraz przyniesiono nam tam śniadanie i butelkę rumu. Nasz kucharz mając chyba na uwadze powagę sytuacji postarał się, żeby jedzenie było apetyczne i smaczne. Nic tak nie łagodzi obyczajów jak dobra kuchnia. Markiz zabrał się do jedzenia.

- Tego kucharza weźmiemy sobie - powiedział z ustami pełnymi szynki.

- Już go pan dostał - powiedziałam z uśmiechem i nalałam mu wina do kielicha. Podniósł na mnie oczy i popatrzył przenikliwie. Nic nie powiedział. Jego twarz nadal była spięta i nieufna. Kiedy zjadł, wytarł swoim żabotem usta i z eleganckiej, wysadzanej rubinami tabakiery zażył odrobinę tabaki.

- I co dalej? — zapytał.

- Przeżyliśmy straszną burzę... - zaczęłam.

- My też.
- ... i sadziliśmy już, że Opatrzność czuwa nad nami. Teraz nasza sytuacja jest nie najlepsza. Rozumiem, że pan jako pirat rości sobie wszelkie prawa do statku, który pan napada. Ale jeżeli zabierze nam pan wszystkie zapasy, umrzemy z głodu i pragnienia. Mógłby sobie pan napaść może na jakiś inny statek, który jest, powiedzmy sobie, lepiej sytuowany...
- Pani chyba żartuje - przerwał mi i wstał od stołu. - Myślałem, że na prawdę ma mi pani coś do zaoferowania.
- Proszę się nie denerwować, Markizie. Jeszcze nie skończyłam. Chodzi mi o to, że mógłby pan dostać w prezencie to, co zwykł pan brać sobie siłą. A nawet jeszcze więcej. Mówiąc to widziałam, że splecione na brzuchu dłonie Kapitana zaciskają się tak, że kostki stają się białe jak papier.
- Co pani ma na myśli? - zapytał po chwili Markiz z większym już zainteresowaniem.
- Moglibyśmy przyjąć tu pana i pańskich chłopców jak królów, a na pożegnanie wręczylibyśmy wam wiele cennych prezentów.
- Myśli pani, że to jest dla mnie naprawdę atrakcyjna propozycja? Dostać w prezencie to, co sobie mogę sam zabrać? Ja chyba śnię.
- Różnica między jednym a drugim dla mnie jest istotna - ciągnęłam dalej śmiało. - Chodzi o to jak wziąć. Można brać coś siłą nie cofając się przed gwałtem i zadawaniem cierpienia innym, a można też to samo dostać. Wtedy obie strony byłyby zadowolone.
- Wcale nie zależy mi na tym, żebyście byli zadowoleni...
- A co by pan powiedział na to, że chodzi mi właśnie o to, aby was zadowolili? - wpadłam mu w słowo. - Proszę sobie wyobrazić, co może się tu stać za chwilę. Pańscy ludzie zaczną pła-drować i niszczyć. Ktoś z marynarzy lub z pasażerów stanie wam w tym na przeszkodzie i wtedy wy go zabijecie. Ale my też mamy marynarzy. Was też mogą zabić. Rzucicie się na ko-

biety i zaczniecie je brać siła. One będą wrzeszczeć i wyrwać się. Delikatna kobieta nie przeżyje takiego brutalnego gwałtu. Żadnej przyjemności tylko śmierć i zniszczenie i przekleństwa rzucające na wasze głowy. Jak można żyć z czymś takim?

- Mówisz, kobieto, jak jakiś kaznodzieja.

- O nie, nie zgadzam się. Żaden kaznodzieja nie powiedziałaby tego, co ja chcę teraz powiedzieć. Moja propozycja dotyczy dzisiejszego dnia. Dostaniecie od nas w prezencie gorącą i fachową obsługę: miłość, najlepsze trunki i jedzenie, muzykę oraz dwa kufry z porządną odzieżą, kucharza rodem z Francji, świniaka i trochę świeżych warzyw, beczkę sucharów i beczkę suszonego mięsa. Ponadto zrobimy zbiórkę między pasażerami i myślę, że to, co zbierzemy zadowoli was w zupełności. Na koniec damy wam coś bardzo cennego i rzadkiego, co sprzedane na przykład w Ameryce może wam przynieść nie tylko pieniądze, ale i sławę. Ale to już niespodzianka. Inaczej nie byłoby tak przyjemnie otrzymywać prezenty.

- A więc są nawet i prezenty - uśmiechnął się Markiz i brzydota jego zębów zaprezentowała się w całej swej potworności. W jego tonie czuć było rozbawienie i to dawało nadzieję.

W tej chwili z pokładu doszły nas krzyki i bieganina. „Zaczęło się”, pomyślałam i poczułam jak po moich plecach płynął w dół strumyczki zimnego potu. Oczyma wyobraźni widziałam tych zgłodniałych i rozjuszonych łatwą zdobyczą bandziurów. Pomyślałam o Luizie i pani Bacon, która jako pierwsza nie przeżyje zhańbienia jej córek i siebie. Pomyślałam o Kapitanie jak upokorzony będzie bezsilnie patrzył na zniszczenie statku i śmierć wielu ludzi z załogi i z pasażerów, za których był odpowiedzialny. Byłam pewna, że stanie do nierównej walki i przegra. Wyobraziłam sobie jego śmierć i spłynął skądś na mnie czarny i gęsty strach. „Muszę zachować zimną krew, myślałam w panice, muszę się trzymać!”.

- No więc? - zapytałam drżącym głosem.

Markiz popatrzył w zamyśleniu na sufit i zapytał:

- Co miała pani na myśli mówiąc „fachowa obsługa w miłości”?
- Znam się na tym. Ja panów obsłużę - powiedziałam i w tym samym momencie mój pomysł wydał mi się iście szaleńczy i potworny.

Markiz wstał i szybkim krokiem podszedł do drzwi nie patrząc na mnie ani na pobladłego Kapitana.

- Zgoda - powiedział.

Po jego wyjściu Kapitan rzucił mi się do nóg. Płakał.

- Czy ty wiesz, pani, na co się godzisz? Czy wiesz z kim masz do czynienia? Czy wari jesteście takiego poświęcenia? Nie, nie mogę się na to zgodzić. Nie mogę! Zabiję go, podpalimy statki. Lepiej nam zginąć z honorem niż pozwolić na coś tak straszne - biadał.

Podniosłam go z kolan i jak mogłam próbowałam uspokoić.

- To nic strasznego. Dam sobie radę. Jestem coś panu winna, Kapitanie.

- Nie chcę przyjąć od pani takiej ofiary - szlochał Kapitan.
- Niechże się pan uspokoi. Proszę iść na górę i zorganizować im dobre przyjęcie. I proszę mi tu przysłać Luizę.
- Ale ona nie...? — zapytał nagle Kapitan podnosząc na mnie oczy teraz pełne prawdziwego przerażenia.

- Nie, nie - zapewniłam go. - Chcę, żeby mi pomogła przygotować się. Niech się pan postara, żeby dużo wypili.

- Wiedziałam, że coś wymyślisz - powiedziała Luiza wchodząc. - Ale czy ta brudna dwunastka to nie za wiele. Oczywiście jestem gotowa podzielić się z tobą tym brzemieniem.

- Obiecałam Kapitanowi, że ciebie to nie będzie dotyczyć.
- Kapitan nie musi wiedzieć. Tu chodzi o życie nas wszystkich. Popatrzyłyśmy na siebie uważnie i w skupieniu i nagle ni stąd ni zowąd uśmiechnęłyśmy się do siebie.

- Moja kochana, mądra Fanny - szeptała mi Luiza do ucha wiążąc na mojej szyi.

- Moja kochana, śliczna Luiza - mówiłam do niej głaszcząc ją po włosach.

- Wcale nie mam zamiaru kochać się z tymi wszystkimi bandziorami. Wystarczy kilku. Mamy w bagażach ten proszek, który dosypany do wina powoduje mocny sen. Zadbaj o to, żeby znalazł się w ich kieliszkach. Najpierw niech zjedzą i przebiorą się w czyste rzeczy. Bonetti może stracić dwa kufry. Poproś Kapitana o świece i słodycze. Niech marynarze wysprzątają nasza kajutę. Tam będę przyjmować gości. Markiz musi się zgodzić na chwilowe rozbrojenie swoich chłopców, nie mam zamiaru słuchać trzeszczenia ich naszpikowanych żelastwem rzemiennych pasów. Dobrze by też było, żeby ci, którzy boją się narazić podpitym piratom, schowali się w ładowni. Mam na myśli kobiety: panią Bacon i...

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Była to jedna z panien Bacon, o których właśnie chciałam mówić. Miała błyszczące oczy i różowe policzki.

- Wiem co pani chce zrobić. Mama jest wzruszona, a my... my... ze swej strony chcielibyśmy pani pomóc. Tylko, żeby się nikt nie dowiedział.

- Zdaje się, że robi się coraz więcej chętnych do roli ofiary - rzekła Luiza w zamyśleniu.

- Proszę nam nie brać tego za złe, ale kiedy statek jest zagrożony...

- A co byście chciały robić? - zapytałam.

- No... mogłybyśmy przyjąć kilka osób. Wymknijemy się i przyłecimy wyręczyć panią. Jesteśmy przyzwyczajone...

Wiedziałam coś o tym. Może to rzeczywiście był jakiś pomysł?

Statki dryfowały połączone trapem niby w jakimś miłosnym drewnianym uścisku. Piraci kończyli suty obiad, a ja przygotowywałam się do mojego trudnego zadania. Po pierwsze wysmarowałam sobie obficie moje kobiece przyrodzenie oliwką i dezynfekującym kremem, który zwykle używało się u pani Co-

le, żeby uchronić się przed ciążą. Potem na nagie ciało włożyłam swój najlepszy peniuar i rozpuściłam włosy. Ponieważ pierwszy miał być Markiz chciałam przynajmniej na nim zrobić wrażenie, że zależy mi na dobrym wykonaniu roboty. Luiza przygotowała dwa garnce wina, do których wspaniale oszałamiający proszek.

Dokładnie o czasie, który przedtem ustaliliśmy do moich drzwi zapukał Markiz. Był świeżo ogolony i wypachniony jakąś bardzo elegancką wodą kolońską. Zapewne zrabował ją zresztą wraz ze wszystkim, co miał na sobie. Zastanawiałam się czy był naprawdę markizem czy tylko przybrał sobie ten tytuł. Podpierając się bambusową lekką laseczką podszedł do krzesła i usiadł na nim w wytwornej pozie.

- Wie pani, uważam, że miała pani świetny pomysł. Nasze rzemiosło w dość krótkim czasie powoduje prawdziwe zezwierzęcenie - powiedział.

- Cieszę się, że się to panu podoba.

Usiadłam przy nim, ale, o dziwo, czułam się zupełnie jak nie ja. Byłam zawstydzona i onieśmielona. Cały czas patrzyłam jeszcze na niego jak na kogoś groźnego, kto może wyrządzić mi krzywdę. Jeżeli dalej tak pójdzie, to dam prawdziwą plamę.

- Co pan najbardziej lubi - zapytałam go, żeby coś powiedzieć.

- Piękne kobiety - odpowiedział zupełnie naturalnie i położył delikatną dłoń na moim nagim kolanie. O mało nie cofnęłam nogi. Musiałam coś zrobić. Zamknęłam oczy i usilnie wyobrażałam sobie, że jestem u pani Cole. Powoli ta sytuacja zaczęła mnie nawet trochę podniecać.

- Może wina - zapytałam.

- Owszem - odpowiedział. - Lecz najpierw spiję słodycz z pani ust.

Delikatnie zbliżył swoją twarz do mojej i musnął moje wargi. Spodziewałam się nieprzyjemnego zapachu, ugryzienia, czy ja wiem jeszcze czego, ale oto ten lekki pocałunek był przyjemnie

elektryzujący.

- Miałem jakieś przecucie, kiedy zobaczyłem wasz statek. Wiedziałem, że zdarzy się coś innego. Wierzysz mi?

Mruknąłem tylko coś w odpowiedzi, bo oto niewypowiedziane delikatna dłoń Markiza zaczęła błądzić w okolicy moich piersi. Poczułem jak sztywnieją mi sutki.

- Czy myślisz, że to tak przyjemnie gwałcić te wszystkie wrzeszczące drobnomieszczańskie baby? Wdzierać się w nie na siłę, gdy one wierzgają tłustymi nogami? Wlewać w nie na siłę moje cenne nasienie, za które dałyby nie jedno różne arystokratyczne stare panny? - pytał szeptem całując mnie w szyję i głaszcząc po nagim brzuchu.

- To dlaczego rozbijasz się po morzach? - zapytałem nie otwierając oczu.

- Ach, tutaj mam władzę, jakiej nigdy nie dane mi było posmakować na lądzie. Tutaj jestem panem życia i śmierci. Tam byłbym tylko jednym z wielu.

Teraz Markiz zagłębił twarz między dwa pagórki moich piersi.

- Już dawno nie dotykałem czegoś tak cudownego - szepnął i zaraz ukląkł przede mną. - Pokaż mi się cała, ty córo Posejdo-na, ty morska syreno, uchyl mi swoich głębin, niech zanurkuję w nich i dotrę na tajemnicze dno pełne drogocennych pereł. Jego dłonie rozchyliły mi uda i gmerały przez chwilę między włoskami. Potem poczułem przejmujące rozkoszą ukłucie - znalazł perłę w mojej na wpół otwartej już małży. Stęknęłam i opadłam na krzesło.

- Oto jest tajemnica ziemskiej władzy, panowania mężczyzny nad kobietą i kobiety nad mężczyzną zarazem. Oto jest wszelki port i cel każdej podróży. Oto stanąłem u bram raj - mówił Markiz głosem pełnym zachwytu i uniesienia. Przyglądał się mojej dziurce, jakby to był cenny klejnot. Potem zaczął ją badać językiem. Ogarnęło mnie szaleństwo. Prężyłam się na niewygodnym krześle, ale nie czułam jego twardych krawędzi. Ciało pali-

ło mnie od środka, brzuch mi nabrzimiał. Objęłam jego głowę nogami, jakbym rzeczywiście chciała, żeby zanurkował we mnie niczym w oceanie. Masowałam sobie spragnione dotyku piersi. Było mi już wszystko jedno. Nie obchodziło mnie kim jest ten mężczyzna i kim ja jestem, gdzie się znajdujemy i o co nam chodzi. Ważne było tylko to, żeby trwało. Markiz miał jednak wobec mnie swoje plany. Ujął mnie delikatnie za krocze, a druga ręka wziął pod ramiona. Znaleźliśmy się na ziemi. Bałam się otworzyć oczy, żeby cudowne moje oszołomienie nie zostało popsute żadnym dodatkowym wrażeniem. Tak bardzo chciałam tego dziwnego pirata, że uniosłam biodra do góry i podparłam się piętami o podłogę.

- Tak, wiem, czego chcesz, moja królowo mórz. I ja tego chcę
 - wyszeptał Markiz i za chwilę usłyszałam szelest spadającego ubrania. Poczułam jego szczupłe biodra między udami i za chwilę Markiz wpłynął we mnie spokojnie i majestatycznie niczym okręt do portu. Wypełniał mnie całkowicie i doskonale. Nie było miejsca we mnie, gdzie by go nie było. Trwał tak przez chwilę w całkowitym bezruchu, jakby kontemplując to zespolenie, a potem zaczął poruszać się wolno i dokładnie. Zaczęłam podążać za tym ruchem, a potem przejęłam go i przyspieszyłam. Dogonił mnie i teraz on przejął inicjatywę. Jego ruchy zmieniły się. Uderzał mnie teraz od środka systematycznie i mocno.

- Szybciej, szybciej - krzyknęłam mimo woli, a on posłuchał i walił mnie teraz z rozmachem. Jego ruch posuwał nas, cał po cał w stronę drzwi. W końcu dotknęłam czubkiem głowy drewna drzwi. Nie wychodząc ze mnie Markiz położył się na wznak i wciągnął mnie na siebie.

- Teraz ja jestem twoim okrętem.

Zakręciłam biodrami pętlę. Markiz jęknął. Kucnęłam nad nim i zaczęłam tańczyć coś w rodzaju tańca brzucha. Wypuszczałam go na chwilę z siebie, a potem łąpczywie łąpałam. Pieściłam jego mokry od potu brzuch nie otwierając oczu. Kiedy poczułam

jak niebezpiecznie jestem blisko, wygięłam się do tyłu i pozwoliłam działać jego biodrom. Wskakiwał we mnie jak gorący gejzer. To był już koniec. Nic nie mogłam powstrzymać.

- Płynę do ciebie, już jestem, już jestem - szeptał Markiz i naraz jego mokre od potu ciało zważyło się na moje. Jeszcze kilka razy poruszył się szybciej niż przedtem, a potem zakwilił i potężna fala nasienia zalała mnie od środka niczym powódź. Mój brzuch otworzył się i zaraz zamknął. Zabrakło mi oddechu. Dopływałam jeszcze i swojego brzegu, gdy Markiz wstał i zaczął się ubierać. Otworzyłam oczy. Widziałam jak próbuje trafić ręką w rękaw surduta. Jego nogi wyraźnie drżały. Rzucił na mnie okiem i zobaczył, że na niego patrzę.

- Doprawdy nie wiem, co mam powiedzieć pani.

- Zwykle w takich momentach mężczyźni silą się na jakiś gest czułości.

Pochylił się nade mną i podał mi rękę. Wstałam niezdarnie i zachwiałam się. Chwilę jakby się wahał, a potem objął mnie w pasie i odgarnął mokre kosmyki włosów.

- Jestem piratem. Nie mogę być przesadnie czuły. Powinienem cię wziąć jak samiec, pani, a nie jak jakiś czuły kochanek.

- Nic jeszcze nie jest stracone — wyrwało mi się mimo woli.

On chyba też tak uważał, bo poczułam na swoim brzuchu, że jego spracowana męskość twardnieje nieśmiało. Wzięłam ją delikatnie w dłoń i po chwili wypełniła mi całą rękę.

- Chodź - powiedziałam patrząc mu w oczy.

Przez moment mierzyliśmy się wzrokiem jak dwóch przeciwników przed walką. Klepnął mnie pytająco w nagi tyłek. Stęknęłam. Drugi klaps był mocniejszy i już zabołał.

- Bądź pani łaskawa krzyknąć - powiedział przez zęby.

Krzyknęłam posłusznie. Wtedy ten zadziwiający pirat odwrócił mnie tyłem, przygiął głowę do stołu i nagle, bez uprzedzenia wziął. Krzyknęłam teraz już sama z siebie.

- O tak, tak, teraz cię mam - cedził przez zaciśnięte zęby poru-

szając się.

Nie muszę mówić, że mnie to także sprawiało największą przyjemność. Po tych wszystkich znanych mi dobrze sztukach z krzesłami, stołami, akrobatycznymi wyginaniami chyba ten sposób miłości lubię najbardziej. W sposób jasny i nie zakłamany pokazuje on to, czym naprawdę jesteśmy w czasie stosunku - samcem i samicą. Stąd się bierze cała czysta przyjemność brania i oddawania się. Nie ma w tym żadnego kłamstwa, żadnych chorych inspiracji, żeby być czymś, czym się nie jest. Oto ja jestem samicą, a ten leżący na moich plecach i oparty o moje biodra - to samiec. Nie chcę przez to powiedzieć, że sprowadzam człowieka tylko do jego zwierzęcej natury. Wierzę, że mamy duszę. Człowiek - to dusza, ale człowiek to też ciało. Oddawajmy więc ciału to, co cielesne, a duszy to, co duchowe.

Markiz napierał na mnie rytmicznie i mocno. Jęczałam z rozkoszy, a Markiz sapał jak niedźwiedź. Czułam się jakbym jadła teraz prażony chleb po ciastkach, pachnące jabłko po egzotycznych owocach, zwykłą pieczeń po homarach. To było to. Spieszyliśmy się gonieni przez nasze pożądanie. Krzyknęłam głośno, kiedy spełnienie spłynęło na mnie pulsującą falą. Markiz opadł na mnie i ugryzł mnie w kark. Z mojej dwukrotnie napełnionej dziurki płynęły po nogach strumyczki męskiej siły.

- Nie chciałbym cię, pani, dzielić z moimi marynarzami - powiedział potem Markiz posilając się przy stole. - Jesteś dla nich za dobra. Im potrzeba zwykłej rąbanki. Nie wiem jednak jak z tego wybrnąć. Będą rozczarowani, a to może być dla wszystkich niebezpieczne. Od miesiąca nie mieli kobiet.

Przyznam, że ja też nie byłam zachwycona wizją przyjęcia w moim przybytku jeszcze kilkunastu gości. Przypominały mi się wtedy podekscytowane oczy pańien Bacon. Pomyślałam nad tym chwilę, a potem przedstawiłam mój pomysł Markizowi.

- Wszystko odbędzie się tutaj. Nikt oprócz zainteresowanych nie musi się dowiedzieć, kto obsługuje piratów. My oboje może-

my doglądać, żeby praca szła sprawnie. Potem dostaniecie pozostałe prezenty i nic nie mówiąc odpłyniecie.

- Będzie mi się trudno z tobą rozstać - powiedział Markiz smutnym głosem — ale chyba nie mógłbym patrzeć jak moi podwładni używają sobie beztrzesko mojego prezentu.

- Gdzie są wszyscy? - zapytałam Luizę, kiedy zawołana przybiegła natychmiast. Patrzyła uważnie w moje oczy szukając w nich odpowiedzi na pytanie „jak poszło”. Uspokoiłam ją uśmiechem.

- Siedzą w ładowni i rozpaczają.

- Czy mogłabyś tu ściągnąć panny Bacon. Mogłabyś powiedzieć, że chodzi o przygotowanie jedzenia czy coś takiego. Powiedz też, że przez najbliższe dwie godziny nikt nie ma prawa nam przeszkodzić. Najlepiej niech wszyscy pozostaną w ładowni.

Luiza zamiatając podłogę swoją cygańską sukienką pobięła na pokład. Za chwilę zjawiły się podochocone dziewczyny.

- Tatko nie może się o tym dowiedzieć - zaklinały mnie. Żarłocznie patrzyły na Markiza, który leniwie ogryzał kość. Łaskawie obrzucił je swoim wyniosłym spojrzeniem.

- Tutaj? — zapytały bez żenady zdejmując sukienki.

- Tutaj — powiedziałam. - My będziemy kierować ruchem.

Zanim się obejrzałam już były nagie i leżały na wznak na podłodze. Ich chuda nagość nie robiła najlepszego wrażenia.

- Nie tak, moje drogie. Włóżcie z powrotem halki i staniki. Tylko bez żadnych majtek. Zostawcie też buty. Nic tak nie podnieca mężczyzn niż dokładnie zasznurowane trzewiki na nagich nogach. Teraz niech jedna z was usiądzie na stole i odłoni uda. Druga na krzesło.

Markiz przysłuchiwał się tym wydawanym przeze mnie poleceniom i patrzył na mnie z podziwem. Kiedy dziewczyny były już gotowe usunęliśmy się z Markizem do garderoby, a Luiza zawołała pierwszą dwójkę.

Do kajuty weszło dwóch zarośniętych drabów i rozgląda-

ło się ciekawie. Ich wzrok natychmiast natknął się na zachęcająco siedzące dziewczyny i już nie mógł się od nich oderwać. Na pierwszy rzut oka byli do siebie podobni - brudni, brodaci i lekko podchmieleni. Różnili się tylko „drobiazgami”: pierwszy był starszy i miał drewnianą nogę, drugi młodszy ozdobiony był pasukudną szramą na czole. Wzdrygnęłam się na myśl, że niewiele brakowało, a ja musiałabym mieć z nimi do czynienia. Panny Bacon wyglądały jednak na zachwycone. Ta, która siedziała na stole natychmiast rozsunęła nogi ukazując rozciętą niespodziankę. Druga wyciągnęła przed siebie ręce jak do serdecznego powitania.

- To dla nas? - spytał grzecznie Luizę ten z drewnianą nogą. Luiza dygnęła wdzięcznie i podała obu kielichy z winem. Łyknęli po trosze cały czas mając oczy wlepione w dziewczyny. Po chwili wahania młodszy przechylił kielich do końca, jakby tym chciał sobie dodać odwagi.

- Nie są przyzwyczajeni, żeby im się oddawano - powiedział mi szeptem na ucho Markiz.

Kiedy piraci wyciągnęli na świeże powietrze swoje narzędzia musiałam sobie zatkać usta, żeby nie krzyknąć. Organ Drewnianej Nogi był równie duży jak jego sztuczna kończyna. Zaniepokoiłam się natychmiast o zdrowie dziewczyny. Siedząca na krześle panna Bacon będąca bliżej tego niespodziewanego objawienia, zerwała się natychmiast i przypadła do starego pirata. Ten w odpowiedzi włożył jej swoją łapę między nogi. Druga, ta na stole, nieco rozczarowana, przyciągnęła nogami młodszego. Zdaje się, że trafił z biegu, bo dziewczyna jęknęła i odgięła się do tyłu. Rytmiczne ruchy przyszczatego tyłka uspokoiły mnie - tu wszystko szło normalnie. Drewniana Noga miał zaś, jak oczekiwałam, małe kłopoty z zasadzeniem swojego potężnego korzenia w panięńską dziurkę bankierówny. Dziewczyna radziła sobie jak umiała. Najpierw zwilżyła organ śliną, a potem stanęła i jedną nogę zadarła na krzesło. Z racji swojego kalectwa pirat nie

mógł jednak ustać. Nieco zdenerwowany usiadł więc na krześle i próbował wciągnąć dziewczynę na siebie. Wreszcie do akcji przytomnie włączyła się Luiza. Podtrzymała zgrabnie dziewczynę i pomogła jej wsadzić do dziury tę wielką mysz. Po chwili obie pary podrygiwały radośnie. Nie trwało to długo. Rzeczywiście piraci nie mieli długo kobiet. Pierwszy skończył młodszy, ale nie schował swojego sflaczałego nieco fiuta do spodni. Patrzył na Luizę.

- Czy będzie można jeszcze raz? - zapytał.

- Owszem, ale musi pan teraz czekać, aż wszyscy skończą swoją kolejkę - powiedziała Luiza i poprosiła z korytarza następnego.

Niezbyt zadowolona tak szybkim obrotem sprawy panna Bacon siedząca na stole z radością w oczach powitała potężnego rudego Irlandczyka. Położyła się na stole i wysoko zadarła nogi pokazując ochoczo całemu światu swój klejnot.

- Ach, co za widok! - jęknął Irlandczyk i zwrócił się do młodszego kolegi, który teraz pod ścianą sącył sobie wino: - Jaka jest?

- Dobra, tylko okrutnie szybka - powiedział tamten nie patrząc na koleżę.

- Ech, ty suko - powiedział rudy z irlandzkim akcentem i uszczypnął bankierównę w chudy tyłek.

- Tylko bez przemocy — rzuciła mu urażonym tonem.

Irlandczyk chwycił ją za uda i przystąpił do dzieła. Dziewczyna pomagała mu kręcąc biodrami lecz kiedy zobaczyła, że Drewniana Noga właśnie skończył obracać jej siostrę przestała na chwilę, żeby mu powiedzieć:

- Ej, ty tam. Poczekaj no chwilę. Zaraz będę wolna.

Tymczasem Luiza wpuściła już następnego okupanta. Nagle w kajucie zrobił się ruch. Czterech facetów i trzy kobiety - to już był niezły tłumek. Luiza biegała między nimi nalewając wina do kielichów i bezskutecznie przekonywała Drewnianą No-

gę, żeby poczekał aż przyjdzie jego kolej. Zdaje się jednak, że wino zaczynało działać, bo siedzący pod ścianą młodzieniec zwinął się w kłębek i usnął. Drewniana Noga okazał się być wytrzymalszy niż jego młodszy kolega, bo niesubordynowanie ściągnął ze stołu rudego, kiedy ten tylko skończył. Bez trudu załadował swój na wpół tylko gotowy organ w przepracowana już dziurkę dziewczyny i dawał jej teraz popalić. Wiła się pod nim z rozkoszy i szarpała na sobie halki.

- Następny proszę - wołała Luiza przez uchylone drzwi i nalewała wino. Już trzech groźnych piratów drzemało pod ścianą. Wtem przez nieodpowiedzialne zachowanie Drewnianej Nogi zrobił się zator. Czekający na swoją kolej smagły, drobny pirat o urodzie Włocha lub Hiszpana zaczął być agresywny. Luiza rozglądając się bezradnie dookoła odstawiła nagle gąsior z winem i w ciągu kilku minut załatwiła awanturującego się młodzieńca.

- Dzielna dziewczyna z tej pani przyjaciółki - powiedział mi Markiz do ucha i zaczął pieścić moje piersi. Miał już trochę mętne oczy. - Moglibyśmy się umówić. Pani pływałaby z Ameryki do Anglii, a ja napadałbym na pani statek. Czy pani wie, jak ciężko być piratem? Jaka samotność bije od tego niebieskiego bezkresu morza?

- Czemu więc pan nie wróci na ląd, ustakuje się, założy rodzinę? To co pan sobie... przywłaszczył mogłoby panu starczyć na wygodne życie do końca.

- I o tym myślałem, ale w Europie czekają na mnie cztery wyroki śmierci. Moim domem jest morze.

Zrobiło mi się żal Markiza i w półmroku garderoby musnęłam go dłonią po twarzy. Chwycił ją łapczywie wargami i po jej wewnętrznej stronie złożył długi pocałunek.

Tymczasem w kajucie siostry Bacon przeszły już półmetek. Sześciu wymęczonych miłością i winem dżentelmenów, jeżeli można tak powiedzieć o piratach, spało snem sprawiedli-

wych pod ścianą lub właśnie do snu się zbierało. Nagle wystraszyłam się, że Markiza zaniepokoi to pokładanie się. On jednak przyglądał się ze spokojem pracy dziewcząt pieszcząc moje pierśsi. Na stole panna Bacon zmieniła pozycję. Leżała teraz brzuchem na blacie wystawiając na przynętę swoją wypiętą pupę. Nie był to estetyczny widok. Jej ciało było wymiętoszone i wilgotne od potu i bezzębnych pocałunków. A jednak unosiła ciekawie głowę i ponaglała ręką każdego następnego wywoływanego przez Luizę. Wreszcie siódmy czy ósmy „następny” zarządził małą odmianę. Za gorliwym przyzwoleniem partnera drugiej dziewczyny posadził je obie na stole tyłem do siebie tak, że opierały się plecami. Wysoko uniesione nogi i dwóch ruszających się rytmicznie mężczyzn po obu stronach tworzyło miły dla oka harmonijny i symetryczny obrazek.

- Och, tak bym jeszcze chciał - wymamrotał Markiz i jego głowa bezwładnie zsunęła się na mój podołek. Gładziłam jego policzek jakby był małym chłopcem, który nagle, zmęczony zabawą, usypia z ufnością w ramionach matki. Było mi smutno. Markiz był bardzo dobrym piratem. Patrząc na ten oddychający przez usta postrach oceanów zrozumiałam, że każdy z nas ma w sobie ukryte głęboko dziecko i tym dzieckiem naprawdę jest się przez całe życie. Dorosły w nas to tylko maska albo taka sama rola jak zawód. Rodzimy się i umieramy dziećmi.

Choć się to teraz może wydać śmieszne, z oczu potoczyły mi się łzy i upadły na świeżo wygolony policzek śpiącego Markiza. Za cienką ścianką panny Bacon powoli kończyły już swoje zobowiązanie, słychać było sapanie, chrapanie i pojękiwania. Wszystko wokół kołysało się lekko w lewo i w prawo, a od czasu do czasu z zewnątrz dochodził plusk rozbijającej się o burzę fali. Wszak byliśmy na statku. Wyobraziłam sobie dryfujące, złączone ze sobą statki, które niedługo popłyną każdy w swoją stronę i przyszło mi do głowy, że to my, ludzie, jesteśmy jako te statki zagubione na oceanach świata. Spotykamy się tylko, wymieniamy sygnały, a potem odpływamy do swoich horyzontów. Zawsze samotni.

Rozdział XIV

*w którym na horyzoncie wszystkich wydarzeń zaczyna
wyłaniać się wreszcie Ameryka.*

Według moich obliczeń tych dwóch ledwie stojących na nogach piratów było już ostatnimi. Jednemu udało się w końcu po wyczerpujących próbach dostać do rajy panny Bacon. Ta była już chyba nieco znudzona, bo posilała się w tym samym czasie nogą kury. Druga miała kłopoty z postawieniem w stan gotowości swojego partnera. Jego niedelikatnie potraktowany zaprawionym winem umysł miał trudności w rozróżnianiu przyrodzenia kobiecego od w sęku w desce. Już chciałam pogratulować pаниenkóm i wyjść wreszcie z ukrycia, kiedy do kajuty wślizgnął się następny pirat. Był przysadzisty, ciemny z dużą, gęstą brodą i opaską na oku. Natychmiast zajął miejsce swojego niezbyt przytomnego kolegi i z żywością, która mnie naprawdę zaskoczyła wziął się bez pardonu za pannę Bacon. Ta była tak zaskoczona niespodziewanym wigorem pirata, że dała sobie potulnie skrzyżować na plecach ręce i wygiąć się niczym wielbłąd.

Przeliczyłam jeszcze raz śpiących piratów: dziesięciu. Jeden jeszcze męczył się przy stole, ten był jedenasty. Dwunasty właśnie opadł na krzesło, a trzynasty, Markiz, spał na moich kolanach. Czy więc mogła to być jakaś pomyłka w liczeniu? A może piraci wieźli jakąś ponadliczbową osobę, do której z jakichś przyczyn nie chcieli się przyznać? Byłam tak zaintrygowana, że wstałam i wychyliłam się przez drzwiczki z garderoby do kajuty. Tajemniczy dodatkowy pirat pracował w pocie czoła na stojąco. Panna Bacon wyglądała na bardzo zadowoloną. Zdaje się, że na sam koniec trafił jej się niezły kąsek. Na króciutki jak mgnienie oka moment spojrzenie mężczyzny spotkało się z moim. Odwrócił wzrok speszony, ale ja i tak zdążyłam w nim zobaczyć jakieś dziwne zapamiętanie, coś, co już znałam... Dopiero teraz

nagły przebłysk zrozumienia uderzył we mnie niczym podmuch burzy. To był Weiss! To był żurnalista przebrany za pirata! Strój miał jeszcze z balu, dokleił sobie tylko ta czarna absurdalna brodę. No cóż, nie pozostawało mi nic innego jak tylko pozwolić mu skończyć, ale zaraz po tym jak zaprzestał podrygując swoich zamaszystych ruchów, wyszłam z ukrycia i powiedziałam tonem pełnym nagany:

— Jak panu nie wstyd korzystać z tak dramatycznej chwili, żeby zaspokoić swoje egoistyczne żądze?

Otarł pot z czoła i zapiął spodnie.

— To mieści się w moim zawodzie. Muszę korzystać z takich niespodziewanych sytuacji - odrzekł bez żenady.

Panny Bacon patrzyły na niego wystraszone i ledwie już żywe.

— Rozumie pan chyba, że obowiązuje pana ścisła tajemnica.

Nikt nie może się dowiedzieć, co tu się działo - powiedziałam.

— Ma pani na to moje słowo, proszę się nie martwić.

To rzekłszy żurnalista Weiss odkleił swoją brodę i pociągnął spory łyk wina. Nie zamierzałam go już ostrzegać co pije. Niech to będzie kara za jego samowolę.

Teraz należało wziąć się do najgorszej pracy. Luiza pobiegła po Kapitana i oficerów. Brali oni każdego pirata za ręce i nogi i ostrożnie przynosili ich na kliper.

Chcieliśmy dotrzymać umowy. Nasi marynarze zagnali na ich pokład jednego świniaka i przenieśli tam kilka koszy z prowiantem i beczki z wodą. Siedząca w ładowni pani Bacon powybierała z garderoby scenicznej Bonettiego co bardziej normalne sztuki. Pozostało jeszcze zapewnienie żołądkom piratów dobrego kucharza. Mrugnęłam do Kapitana.

— Już go przygotowałam - odpowiedział.

Zobaczyłam, że spod pokładu dwóch rosnących marynarzy wnosi spory, podłużny pakunek, który wyrwał się i bełkotał coś przytłumionym głosem. Za nimi pojawił się korpus sztucznego człowieka niesiony przez Falcona. Falcon pomachał do mnie

wesoło trzymaną w wolnej dłoni ręką maszyny.

- Chce pani jeszcze raz rzucić na niego okiem? - zapytał mnie Kapitan.

W jego głosie wyczułam nagle współczucie.

Kiwnęłam potakująco głową. Na znak Kapitana marynarze zatrzymali się i postawili pakunek na deski. Odślonili też zakrytą dotąd głowę Kratora, ale nie wyjęli mu z ust knebla. Po co robić zbędny hałas? Zobaczywszy mnie, Krator oszalał wręcz z gniewu i bezsilności. Związany jak tłumok nie mógł nawet ulżyć sobie tupaniem czy gestykulacją.

- Mój drogi prześladowco - zaczęłam - nie myśleliśmy do tej pory jak pana ukarać za to, co chciał pan tu zrobić. Sądziliśmy, że powinien to rozstrzygnąć sąd na lądzie. Jednak do tej gry włączyła się Opatrzność lub przypadek. Ponieważ piraci potrzebują kucharza, a my oddając im część z naszych zapasów, będziemy zmuszeni oszczędzać, oddajemy im pana pod opiekę. Mam nadzieje, że potrafi im pan ugotować obiad. To dobrzy chłopczy. Krator dopiero po chwili zrozumiał, co chcemy z nim zrobić i zawył jak zranione zwierzę. Kapitan dał ręką znak i marynarze powlekli ryczącego Kratora w stronę trapu.

- Może powinniśmy dać mu szansę powiedzieć coś na pożegnanie - powiedziałam nieśmiało.

- Proszę się nad nim nie litować - rzekł Falcon potrząsając mechaniczną ręką dawnego pana de Pure. - Ten człowiek i tak ma szczęście. Czy mógłbym odwiedzić panią dziś wieczorem? - zapytał mnie po chwili konspiracyjnym szeptem.

Nie zdążyłam odpowiedzieć ani nawet zastanowić się nad tą propozycją, bo oto **niesiono** teraz Markiza. Głowa zwisała mu na bok, a rozpuszczone długie włosy omiały deski pokładu. Podeszłam i poprawiłam je głaszcząc przy tym delikatnie jego gładkie policzki.

Czułam, że oczy mam pełne łez. To nie było w porządku rozstawać się z nim w ten sposób. Dlaczego założyliśmy, że nie do-

trzymają umowy? Kapitan jakby wyczytał w mojej minie to niewypowiedziane pytanie, bo powiedział cicho:

- To piraci. Proszę mi wierzyć, że oni są zdolni do wszystkiego. Widziałem już ich w akcji. Pani pomysł był świetny, ale musieliśmy się dodatkowo zabezpieczyć. Ten Markiz to demon zła.

Ten „demon zła” westchnął przez sen, kiedy wnoszono go na jego zdezelowany statek. Jak też będzie wyglądało jego przebudzenie? Co sobie o mnie pomyśli?

Nie mogłam go tak zostawić bez słowa. Przeprosiłam wszystkich i poszłam do siebie wymawiając się bólem głowy. Znalazłam papier i pióro i zaczęłam pisać list do Markiza.

„Drogi Markizie,

musi mi pan wybaczyć to, że zostawiłam pana w takiej chwili. Wiem, że gdy się pan obudzi będzie pan czuł gniew i zawód. Gdyby to chodziło tylko o mnie... Na statku są też niewinni ludzie, których jedynym pragnieniem jest bezpiecznie dopłynąć do celu, a pan i pańscy ludzie byłiby dla nich zagrożeniem. Ja nie myślę o panu w ten sposób. Pod pana groźnym przebraniem wyczuwam dobre, samotne serce. Dlatego, mimo wszystko, podaję Panu mój nowy adres w Ameryce. Kiedy znudzi się Panu błąkanie po tych chłodnych oceanach z radością i wzruszeniem powitam Pana w moich progach. Ma Pan cenny dar wspaniałego kochanka. Niech Pan pamięta, że daru tego nie można zmarnować biorąc siłą to, co może Pan po prostu dostać. Na statkach zawsze będą pływać kobiety, które za ten dar będą w stanie obdarzyć Pana prawdziwą miłością. Wystarczy, że będzie się Pan obchodził z nimi tak, jak ze mną...”

Chciałam coś jeszcze dopisać, coś szczególnie miłego, ale nie było już czasu. Podnosiliśmy już żagle. Poprosiłam Kapitana, żeby włożono mój list w dłoń śpiącego Markiza i stałam przy barierce patrząc na sennie kołyszący się statek piratów. Widziałam

też jak malał zostawiony na pastwę snu i rozległej przestrzeni oceanu. Czarna flaga szarpana smętnie przez wiatr machała nam na pożegnanie. W końcu, po godzinie, zniknął nam z oczu.

- Nie mogę po prostu uwierzyć, że to skończyło się w ten sposób! - zawołał Kapitan wieczorem, gdy siedzieliśmy wszyscy przy kolacji. - Markiz i jego kompania są szeroko znani ze swojej bezwzględności i okrucieństwa.

- Cnota moich córek uratowana - westchnęła pani Bacon i składając ręce wzniosła oczy do nieba.

- Pani Elwiro, jest pani aniołem - dodał jej mąż i pocałował mnie w rękę. - Patrzcie państwo, jaka dzielna mamy tu między sobą kobietę. Odważyła się rozmawiać i pertraktować z piratami, użyła niewinnych podstępów i po trzech godzinach wynieśliśmy trzynastu śpiących zbirów. Na to trzeba geniuszu, prawdziwego geniuszu.

Pan Bacon był wyraźnie podniecony swą przemową, moim nagim ramieniem i winem, które znowu lało się obficie. Wstał teraz i wznosił kielich.

- Odwaga powinna być należycie wynagrodzona. Ponieważ mam w tym swój interes... uratowała pani cześć moich córek... pragnę pani podarować dom w Nowym Jorku, kiedy tylko tam szczęśliwie dopłyniemy. A wszystkim tu dzielnym zebrany dać pokosztować przedniej madery, którą wiozę do Ameryki. Zamówiły ją najlepsze restauracje. Ale dziś, niech stracę... Madera dla wszystkich!

Wyglądało na to, że Bacon popadł w ten rodzaj amoku, który ludziom nadzwyczaj skąpym i zamkniętym w sobie każe na siłę rozdawać swoje dobra każdemu, komu popadnie. Nie zamierzałam oczywiście przyjąć podarunku. Miałam przed oczami wypięte pupy panien Bacon i sposób w jaki ciężko pracując przyczyniły się do uwolnienia statku. To im się należało uznanie, nie mnie. Ja byłam tylko prostym organizatorem. Nie odzywałam się jednak. Nie chciałam pozbawiać Bacona jakże pewnie rzadko

doświadczonej przyjemności dawania.

- Oto moje córki na wydaniu - wrzasnął nagle czerwony z podniecenia i wina bankier wskazując na wchodzące panienki.

Były może nieco blade, jakby nie spały w nocy, ale miałam wrażenie, że od momentu wypłynięcia z Londynu na ich twarzach coraz wyraźniej zaznaczał się pewien rodzaj inteligencji. Och, nie, nie była to inteligencja z tych męskich - świdrujące oczy, ściągnięcie ust trzymających w zanadrzu jakieś mądre słowo. Była to raczej jakaś nieuchwytna znajomość życia od podszewki, od jego rytmicznie falujących korzeni.

Luiza musiała mieć całkiem podobne do mnie wrażenie, bo popatrzyła na nie jak na bohaterki. Wstała i zrobiła im miejsce koło siebie.

Kolacja przeciągnęła się do późna w nocy. Jedli, pili, śpiewali marynarskie piosenki. Falcon bawił towarzystwo opowiadaniem zabawnych anegdot lecz czułam, że nie spuszczał swojego wzroku ze mnie. Podobał mi się jego tubalny śmiech i to, że jego ciało wciąż pozostawało dla mnie tajemnicą. Panicz Altenborough zrobił petardy, tak że mieliśmy nawet coś w rodzaju sztucznych ogni. Huki wystrzałów musiały obudzić śpiącego w kajucie na dole Weissa, bo około północy na chwiejnych nogach wszedł na pokład i mamrocząc jakieś przeprosiny kazał sobie zaparzyć orzeźwiających ziółek. Popatrzyłam na niego groźnie. Jeżeli spróbuje cokolwiek powiedzieć, ja obwieszczę wszystkim, że nastawał na cześć panienek Bacon.

Po tych wszystkich przejściach byliśmy zmęczeni. Teraz należało odespać dramatyczne przeżycia i doprowadzić statek do porządku. Ale to od jutra. Luiza dość wcześnie zniknęła z Kapi-tanem, więc sama powlokłam się do swojej kajuty, gdzie jeszcze tak niedawno rozgrywały się niezwykle wydarzenia. Z półmroku korytarza wyszła ku mnie jakaś postać. Absurdalnie pomyślałam o Kratorze, ale jego już tu przecież nie było. Został z piratami!

Cofnęłam się odruchowo i za chwilę odetchnęłam z ulgą. To był Falcon.

- Pani... - powiedział i utknął.

- Cóż to, panie Falcon, robi pan samotnie nocą pod moimi drzwiami?

Z jego ust dobył się jakiś skowyczący szept czy też może szepczący skowyt. Runął przede mną na kolana i przyłożył swoje usta do moich dłoni.

- Kocham panią! Muszę to wreszcie powiedzieć. Nie mogę bez pani żyć. Domyśliłem się kim pani jest po tej historii z Kratorem. Ale dla mnie nie ma znaczenia jak pani ma na imię. Fanny czy Elwira czy jeszcze inaczej... Chcę, żeby przyjęła pani moje oświadczenia. Chcę, żeby pani zechciała zostać moją żoną.

Wyrwałam ręce z jego uścisków.

- Pan żartuje, panie Falcon, przecież pan mnie zupełnie nie zna.

- Znam panią lepiej niż ktokolwiek inny. Cały czas nie odrywam od pani wzroku. W dzień patrzę na panią, a w nocy o pani marzę. Znam każdy pani gest, uśmiech, zapach. Wiem jak stawia pani stopy idąc po schodach, jak podnosi łyżkę do ust, jak poprawia włosy. Kocham panią! Czy to nie wystarczy?

Ostatnie pytanie Falcon wykrzyknął dość głośno, aż poczułam się nieswojo.

- Może pan wstąpi do mnie na chwilę? Ale na chwileczkę, bo jestem śmiertelnie zmęczona - zastrzegałam się.

Za drzwiami Falcon nagle ucichł. Stał niczym słup soli wodząc za mną wzrokiem, kiedy zapalałam świecę.

- Czy... czy mógłbym panią pocałować - powiedział wreszcie. Zgodziłam się. To mu się należało.

Pocałunki Falcona były czułe i delikatne, nie przypominały tych, które znałam. Nie budziły pożądania, ale jakąś tęsknotę i smutek. Wtuliłam się w duże i mocne ciało mężczyzny, czułam zapach skórzanego pasa i tytoniu. Było mi dobrze, chciałam tak stać w nieskończoność.

Nagle do drzwi ktoś delikatnie zaskrobał. Oskoczyliśmy od siebie jak nastolatki - zmieszani i zawstydzeni. Ponieważ sądziłam, że to może Luiza, poszłam i otworzyłam drzwi. To były panny Bacon. Nie wiem, czego mogły chcieć. Zobaczywszy Falcona zmieszały się wyraźnie.

- Właśnie miałem wychodzić - powiedział uprzejmie Falcon i ruszył do wyjścia z tak nieszczęśliwym wyrazem twarzy, jak tylko może mieć człowiek, którego marzenia w jednej chwili runęły w gruzy. Nie zdążyłam go nawet zatrzymać.

- Dlaczego wy jeszcze nie śpicie? Dlaczego włóczycie się po nocy? Co się znowu stało? — pytałam ze złością.

- Proszę się na nas nie gniewać. Nie wiedziałyśmy, że będzie pani zajęta. Nigdy byśmy się nie ośmieliły...

Kręciły nerwowo wstążki od warkoczy. Widziałam, że czegoś chcą.

- No więc?

- Czy nie mogłaby nam pani pożyczyć na dzisiejszą noc tej kajuty...

- Po prostu chcecie mojej kajuty. A ja, gdzie ja mam sobie pójść?

- Niech nas pani zrozumie... - zaczęła jedna. - Właśnie zareczyłyśmy się z Henrym i Andrew — powiedziały równocześnie obie.

- Co? Kiedy? - zapytałam zupełnie zaskoczona.

- No... przed chwilą.

- I chcecie tu zrobić małe przyjęcie zareczynowe? Czy tak?

- Coś w tym rodzaju... zaprosiłybyśmy ich do nas, ale mama teraz przychodzi kilka razy w ciągu nocy, żeby nam poprawić kołdrę.

- Czy wy jesteście z żelaza? Przecież każdy ma w końcu dość - dziwiłam się.

Milczały zmieszane.

- Wie pani, że my jesteśmy jakieś takie... nigdy nie mamy dość

- powiedziała po chwili cicho jedna z nich.

A więc to tak. To było nowe pokolenie kobiet nie do zdarcia. W porównaniu do nich byłam starszka. Zaczęłam zbierać swoje rzeczy. W pewnym sensie należała im się nagroda za to, co zrobiły dla nas wszystkich.

- Jesteśmy pani tak bardzo wdzięczne - ucieszyły się widząc moje przygotowania do wyjścia. - Może mogłybyśmy coś dla pani zrobić?

Kiwnęłam przecząco głową. Ale zaraz, zaraz...

- Jest coś takiego - powiedziałam zastanawiając się. - Chciałabym wiedzieć co też cennego wiozą na swoich piersiach dzielni oficerowie. Wiecie o co mi chodzi? Te ich tajemnicze dokumenty... Co to jest?

Były uradowane, że czegoś od nich chcą.

- To się da zrobić - powiedziały fachowo.

Stałam w ciemnym korytarzu trzymając w rękę moja nocna koszulę. Nie wiedziałam dokąd mam iść. Pomyślałam najpierw o Luizie i Kapitanie, ale wyobraziłam sobie jak leżą objęci w ciepłe ich własnej miłości. Nie chciałam się do nikogo dołączać. Chciałam czegoś dla siebie. Czułości, spokoju i czegoś jeszcze, co trudno mi było nawet nazwać. Przeszłowałam w rozterce z nogi na nogę, a potem ruszyłam wolno korytarzem w stronę wyjścia na pokład. Po chwili znajdowałam się pod niesamowicie rozgwieżdżonym niebem. Teraz dopiero poczułam, że jestem naprawdę wolna. Nie było przeszłości, Londynu, Kratora, piratów, nie było już nic, co mogłoby stać na mojej drodze... dokąd? Przede mną rozlegał się jak ocean nieodróżnicowany bezmiar czasu. Nie wiedziałam jeszcze jak mam go zapełnić. Pieściłam wzrokiem linię horyzontu, za która wyrastało w górę ogromne niebo. Gdzieś tam była moja Ameryka.

Epilog

Żadna historia wzięta z prawdziwego życia nigdy nie kończy się tak, żeby można było postawić po prostu kropkę, każda jest zawsze początkiem innej, która, być może, też warto by było opisać. Ale to już temat na następną opowieść.

Nigdy nie zapomnę tego poranka, kiedy po raz pierwszy ujrzałam port w Nowym Jorku. Jeszcze tego samego dnia spotkałyśmy się z Henriettą i zamieszkałyśmy w jej przestronnym, pięknym domu. Henrietta prowadzi tu wraz ze swoim mężem mały interes i chce, żebyśmy stały się jej współpracownikami. Jeszcze nie jestem w stanie się zdecydować. Jeszcze chłonę jak dziecko ten nowy świat, w którym po tylu przeżyciach wreszcie się znalazłam. Co wieczór odwiedza mnie Falcon, który porzucił swoje zajęcie opiekuna panicza Altenborough i pisuje teraz opowiadania o Indianach. Jesteśmy ze sobą w dość bliskiej zażyłości i Falcon wciąż nie przestaje mówić o ślubie. Tamtej nocy poszłam w końcu do niego, żeby skończyć to, co zawsze przerywały nam „nieprzewidziane okoliczności”. Falcon okazał się być prawdziwym drapieżnym ptakiem i zdobył mnie swoją ciągłą uwagą, miłością i czułością. Coraz częściej wydaje mi się, że powoli staje się dla mnie czymś więcej niż przyjacielem.

Luiza czeka z utęsknieniem na powrót z Anglii swojego Kapitana, który wrócił do kraju tylko po to, żeby zrezygnować z dalszej służby.

Byłyśmy kilka dni temu na wspólnym koncercie zorganizowanym specjalnie dla Bonettiego. Śpiewał tak pięknie, że publiczność amerykańska zgotowała mu prawdziwą owację. Po przedstawieniu śpiewak zaprosił nas do najlepszej restauracji na bankiet. Pytał Henriettę o biuro pośrednictwa pracy, bo jego smutny lokaj opuścił go, kiedy tylko znaleźliśmy się na lądzie. Bonetti wybiera się teraz na Zachód. Chce stworzyć coś w ro-

dzaju objazdowej opery. Zatrudnił już nawet lekarza, który będzie się nim opiekował w tych podróżach.

Pani Bacon płakała rzewnymi łzami w operze. Widziałam jak jej mąż wcisnął jej wtedy do reki flakonik z solami trzeźwiącymi zupełnie nie rozumiejąc artystycznych uniesień żony. W życiu tej rodziny podróż przez ocean zmieniła bardzo wiele. Przede wszystkim doszło już do oficjalnych zaręczyn z oficerami. Dziwiłabym się, że dzielni oficerowie tak szybko zdecydowali się na ten kładący kres ich wojskowej czy też szpiegowskiej działalności krok, gdybym nie wiedziała jakie to ważne dokumenty chronili własnym ciałem. Następnego dnia po tym, jak poradziliśmy sobie z piratami, przyszła do mnie jedna z panien Bacon i pokazała mi dwie zalakowane wojskowe koperty, które udało się jej „pożyczyć” w trakcie miłosnych karesów. Przyjrzałam się im uważnie, a potem dla zwykłej ciekawości sposobami znanymi każdej kobiecie otworzyłam pierwszą bez naruszenia pieczęci. Pismo zaadresowane było do sir Fredericka Adamsa, generał-konsula tworzącej się w Zjednoczonych Stanach ambasady brytyjskiej. Zaczynało się tak:

„Drogi mój pomarszczony ptaszku!

Twoja maleńka gorąca dziurka płacze za tobą z tęsknoty. Całymi dniami i **nocami** wspomina jak wspaniale umiałeś wić sobie w niej gniazdko. Jak wiesz mąż twojej nieszczęsnej, stęsknionej dziureczki nie jest dobry w wiciu gniazdek. Pi, pi, pi. Słyszysz jak piszczy z żalu...”

Podobnie było na następnych pięciu stronach. Drugi list był utrzymany w tym samym tonie. Napisała go ta sama kobieta, lecz zaadresowany był tym razem do **porucznika** Scotta Horna. Wymowa drugiego listu była prawie taka sama, zmieniono tylko nieco środki ekspresji. Nie było więc „pomarszczonego ptaszka” lecz „waleczny bakłażan”, nie było „wicia sobie gniazdko” lecz

„jazda na oklep”. Tylko „gorąca dziurka” pozostawała nie zmieniona w obu listach. Domyśliłam się, że musiała je pisać żona kogoś z wysoko postawionych dyplomatów albo wojskowych. Chcąc być pewna, że listy dotrą do adresatów wykorzystała kurierów swojego męża. Waleczna kobieta! Śmiałyśmy się z panną Bacon do łez, ale zrobiło mi się niesamowicie żal naszych oficerów. Co by się stało, gdyby dowiedzieli się, że tajemnica, ich wielka chroniona przed światem państwowa tajemnica jest zwykłym liścikiem miłosnym spragnionej seksu damy?

- Musisz to schować tam, gdzie było. Oni nie mogą się o tym dowiedzieć - powiedziałam.

Wszystko jednak wyszło na jaw, a załamanie nerwowe dzielnych oficerów było zupełne.

- To z pewnością jest szyfr — mówił Henry z trudnością powstrzymując drżenie brody i spędził dwie kolejne noce na próbach odnalezienia militarnego sensu wyrażeń „wkładać ptaszka do gniazdka” i „galopować po równinach mojego łona”.

Być może dlatego oficjalne zaręczyny oficerów z pannami Bacon odbyły się wcześniej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Najbardziej zadowoleni byli Baconowie zwłaszcza, że nie długo po tym okazało się, że ich córki spodziewają się dziecka. Wolałam nie zastanawiać się kto mógłby być ich ojcami.

Ostatnio pojawił się u nas na herbacie żurnalista Weiss. Pracuje w jednej z najbardziej poczytnych gazet nowojorskich. Opowiadał nam, że jakiś czas temu wszystkie agencje obiegrała wiadomość o jakimś pirackim statku, który napada tylko okręty płynące z Ameryki do Anglii. Piraci nie są zainteresowani złotem i kosztownościami. Ludzie mówią, że szukają jakiejś kobiety. Podpływają grzecznie i trzymając na muszce mężczyzn zapraszają na swój pokład młode damy. Oddają je rano całe, zdrowe i podekscytowane. Podobno wzrok dam żegnający odpływających piratów mówi więcej niż dałoby się to opisać najlepszym dziennikarskim piórem.

Trudno jest mi oprzeć się pokusie zastanowienia się chociaż przez chwilę co też porabia Krator. Jak daje sobie radę z prowadzeniem kuchni u piratów? Czy naprawił swoją maszynę i czy ostatnie jego przeżycia cokolwiek go zmieniły? Być może odmienieni piraci mieli dość jego paskudnej gęby i wysadzili go na jakiś ład? Może nadal opanowany swoją obsesją czystości snuje teraz wokół kogoś innego swoje brudne sieci? A może zmienił się pod wpływem piratów i widzi teraz świat bez nienawiści i niszczących uprzedzeń? Jeżeli tak, to życzę mu nowych doświadczeń, które codziennie pokazują nam, że świat byłby niejaki i smutny bez miłości.

Kończąc tę moją opowieść chcę jeszcze dodać, że oto wczoraj skończyłam trzydzieści jeden lat. Henrietta i Luiza wyprawiły dla mnie wielkie przyjęcie, na które zaproszeni zostali wszyscy obecni w Nowym Jorku przyjaciele. Nie było tylko panien Bacon z mężami, bowiem będąc już w wysokiej ciąży siedziały ostatnio w domu. Przysłały mi jednak życzenia. Na eleganckim papierze, piękny, wykaligrafowany wiersz trawestował Owidiusza:

„Niech na miłosnych trofeach
wypiszą żony i panny:
uczyła nas sztuki miłości
niezapomniana - Fanny”